

C. BOGUICKA i C. NIEWIADOMSKA

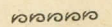
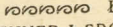
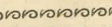
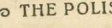
WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ II

(CZWARTA KSIĄŻKA DO CZYTANIA)

WYDANIE SZÓSTE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA  LUBLIN  ŁÓDŹ
KRAKÓW  GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK  THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



Druk Wacława Piekarniaka
Warszawa, Okólnik № 5a.

1. Dziecięce lata.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi;
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.
Kiedym to igrał na matki rękę,
Kolano ojca było konikiem. —
W sercu woń taka i tyle wdzięku —
Oj, nie płakało jeszcze po nikim!

Świat dla mnie wtedy taki był mały,
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;
Gwiazdki miljonem oczu mrugały,
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te isierki.
Lub kiedy księżyc wyrzał na wzgórze,
Biegłem ku niemu — już, już go schwyce!
Znowum po niebie jeździł na chmurze
I za batożek brał błyskawicę.
Widziałem słonko, jako się kładło
W złote łódeczko, z chmurą pod głowę,
Jak je jezioro potem odkradło —
Ledwie już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór jam myślał sobie:
Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I codzień rano, wieczorem codzień
Mówilem pacierz razem za mamą:
Boże, niech będę darów Twych godzien
I niech Cię kocham zawsze tak samo.

Lucjan Siemieński,

autor I poeta polski w. XIX-go.

Czy chciałbyś być prędko dorosłym? Nie umiesz dziś ocenić szczęścia lat dziecięcych, — żałujemy ich, skoro miną. Czy są ludzie dorośli, którzy wyobrażają sobie, że księżyc, ziemia, zwierzęta i kwiaty dla nich zostały stworzone? A ty jak myślisz? Czy rozumiesz, co to znaczy: człowiek jest częścią natury?

Co stanowi świat dziecka i codzienne otoczenie, nim pójdzie do szkoły?

2. Szkoła.

(Notatka ojca w kajecie syna).

„Tak, drogi Henryku. Nauka ci jest ciężka, jak powiedziała twoja matka; jeszcze cię nie widział, idącego do szkoły z wesołą twarzą i duchem ochotnym, jaki bym chciał widzieć u ciebie. Ale pomyśl tylko, jak marne, jak nie nie warte byłyby dni twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszczeby tydzień nie minął, a jużbyś prosił ze złożonymi rękoma, żeby cię znów posłać do niej, przejęty nudą i wstydem, zmęczony rozrywkami i sam sobą.

Wszyscy, wszyscy uczą się teraz, mój drogi Henryku. Pomyślno o tych robotnikach, którzy idą do szkoły wieczornej po całym dniu krwawej pracy; o tych kobietach, o tych dzieciach, chodzących do szkoły niedzielnej po tygodniu ciężkich, często ponad siły trudów; o tych żołnierzach, którzy chwytają za książki, za kajety, ledwo wróciwszy z mozolnych ćwiczeń; pomyśl o dzieciach niewiomych, niemych, które, mimo kalectwa, do nauki się garną; pomyśl wreszcie o więźniach, bo i ci nawet uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rankiem z domu, wspomnij, że w tej samej chwili i w tem samym mieście więcej niż trzydzieści tysięcy chłopców, tak samo jak ty, idzie się za-

mknąć na trzy godziny w klasie. Ale co!... wspomnij raczej o tych milionach dzieci, dających w tym samym czasie, co i ty, do szkoły po wszystkich krajach świata.

Uprzytomnij sobie, jak cała ta wielka armja przyśzości idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, po brzegach mórz i jezior, pod upalnym słońcem, to pod chmurnem niebem, łodziami, gdzie braknie ładu, — końmi, gdzie nogi ustają, saniami po śniegach i lodach, przez doliny, — przez wzgórza, skroś lasów i potoków, po górskich kamienistych ścieżynach, to pojedynkiem, to gromadą, to znów długim rzędem, wszyscy z książkami pod pachą, odziani w tysiące odmian i sposobów, mówiący tysiącem języków i narzeczy, do szkół kresowych północy, w lodach gdzieś zgubionych, do szkół Arabji, ocienionych palmą, miliony idą, miliony, uczyć się tych samych rzeczy tysiącem różnych sposobów! Wyobraź sobie, drogie dziecko, to olbrzymie mrowisko chłopców stu szczepów, stu ludów, stu krain; ten ruch niezmierny, którego i ty jesteś częścią, i pomyśl: gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo on właśnie jest postępem, on jest nadzieją, on jest chwałą świata!

Odwagi zatem, mały żołnierzu miljonowej armji! Książki twoje są twoją bronią, twoja klasa jest twoim regimentem, polem bitwy jest ziemia cała, a zwycięstwem jest cywilizacja ludzkości.

Nie bądźże tchórzem w tym boju, mój Henryku drogi.
Twój ojciec“.

Edmund Amicis,

pisarz włoski („Serce“).

Kiedy wchodzisz do szkoły, świat twój się rozszerza, — dotąd żyłeś w rodzinie, teraz jesteś już częścią społeczeństwa bezpośredniego. Zastanów się nad tą różnicą. W rodzinie cię kochano i nieraz ustępowano przez miłość, — tu mogą cię również kochać, ale wszyscy mają równe prawa i musisz ograniczać swoją wolę i zachcianki obowiązkiem względem kolegów. — Co to znaczy koleżeństwo? Kto jest dobrym kolegą? Kto jest złym kolegą?

— 4 —

3. Praca.

Jest pewna siła, o dziecię moje,
Co ducha krzepi i nudy skraca,
Co skroń ozdabia w szlachetne znoje:
Wiesz, jak jej miano? Zowie się praca.

Widzisz ten kościół z krzyżem u szczytu,

Co Bogu serca zbłąkane wraca?

Któż wieże jego wzniósł do błękitu,

Jeśli nie długa, mozolna praca?

Albo bielone ściany tej szkółki,
Gdzie dzieci marnie chwilek nie tracą,
Lecz nektar nauk sączą, jak pszczołki —
Czyż nie stawiane trudem i pracą?

Patrz na tych ludzi, kiedy wieczorem

Wracają czarni, strudzeni tacy,

I wyszarzanym świecą ubiorem,

Co im wśród krwawej wytarł się pracy...

Ale się nie śmiej z podartej szaty,

Którą się szczyką owi biedacy!

Kiedys, o dziecię, dowiesz się z laty,

Jaka jest wartość sukni — a pracy.

Lecz dłoń ich ujmij w swe rączki małe,

Niech twe uściski trud im odplacą,

I cześć miej dla tych, co życie całe

Walczą wytrwale, usilną pracą.

Bo nie złocone pałaców progi

W oczach ogółu ludzi bogacą —

I droższy często domek ubogi,

Gdy okupiony mozolną pracą!

Władysław Bełza,

poeta polski z drugiej połowy w. XIX-go.

Kto wart więcej: człowiek ubogi, który ciężko pracuje, czy bogaty próżniak?

Objaśnij znaczenie wyrazów: krzepi, znój, szczyt, mozolny, nektar.

— 5 —

4. Józio.

I.

Między kilkudziesięciu pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, a inni byli zdrowi, jak młode żrebaki, znajdował się kaleka—Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem, sinym, blademi oczyma i gładkimi włosami. Był tak wątły, że musiał odpoczywać, idąc z domu do szkoły, a tak bojaźliwy, że gdy go wyrwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, żeby jego nie bili. Gdy mu raz „dano szczupaka“ po suchej jak patyk rączynie—zemdlął, ale otrzeźwiony — nie poskarżył się.

Miał tylko ojca, który pragnął sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginał w handlu trunków i owsianego piwa.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki. Swoją drogą miewał pieniądze, po 6 i po 10 groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po 2 bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc chcąc się jako tako zabezpieczyć, kupował po 5 bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięciu zjednanymi stało trzy razy tylu nieprzejednanych. Dokuczali mu bez ustanku. Ten go uszczypał, tamten pociągnął za włosy, inny ukuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty; czasami prosił: — Dajcie już pokój! — a czasami i nie nie mówił, tylko opierał się na chudych rękach i szlochał.

Koledzy wtedy dokuczali mu jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józkiem i zaczął mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukuło w serce. Schwyciłem dragala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem go tak silnie, że runął jak długi i zawołałem, że tak zrobię każdemu, kto Józka dotknie palcem.

Dragał zbladł jak ściana, i zdawało się że zemdleje. Cała klasa przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: — Dobrze mu tak! niech nie dokucza kalece! — W tej chwili wszedł profesor.

II.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się, zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował mi, ale przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydzil się, a potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj — odparłem — ale prędko.

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?

— A mnie co po tem?

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał ciekawym i stłumionym głosem:

— Dlaczegoż ty nie chcesz, abym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami, jak ty! — odpowiedziałem.

Garbusowi bardziej niż zwykle posiniał nosek. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie, mówiąc:

— Tomoże chcesz, żebym przy tobie siedział? Wi-
dzisz, ja uważam, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem
dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się za 5 bułek odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalcza. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał! Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce nie umywał się do Józka. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami, i robił przytem tak niewinną minę, iż żaden z profesorów nawet go nie podejrzewał.

Ile razy osadzono mię w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu.

Jeżeli nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawil mi komplementy:

— Mój Boże, żebym ja był taki, jak ty, mocny! Mój Boże! żebym ja był taki zdolny! — Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc byłbyś prymusem.

Pewnego dnia całkiem niespodziewanie nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mię na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas odpowiedzieć mi, że do deklinacji czwartej należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. die Frau — pani.

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do deklinacji czwartej należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. die Frau—pani. — Ale na tem skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrzał mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku głośno i płynnie raz, potem jeszcze płynniej drugi raz, ale gdy zacząłem czytać

trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki, spostrzegłem, że Józio bardzo pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę. Machinalnie zapytałem garbuska:

— Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

— Czy ja wiem? — westchnął Józio.

— Ale jak ci się zdaje?

— Ja — rzekł garbusek — dalbym ci piątkę... no, zresztą czwórkę, ale on...

— A on ile mi dał? — spytałem.

— Zdaje mi się, że — palkę. Ale to osioł, co on tam wie! — odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątpliwości chłopczyzna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie rozmaite książki, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał. Dzięki tym korepetycjom zacząłem wkrótce miewać nawet piątki.

III.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie „wypukuje“. Wybiegłem na korytarz, trochę niespokojny, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tegoż mężczyznę z ponową twarzą, fioletowym nosem i czerwonymi oczyma.

Nieznamy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

— To ty, chłopcze, jesteś Leśniewski?

— Ja.

— Zajdź tam do mego syna Józia, do tego garbatego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali.

Przestąpił z nogi na nogę, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, tupiąc głośno o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on — taki dobry i warty...

Po południu wypadła rekreacja. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia.

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta, w dwóch pokoikach parterowego domku. Gdy wszedłem, zastałem garbuska, leżącego w krótkim łóżeczku. Był zupełnie sam, sam jeden, ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Żrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem:

— Co tobie, Józiu?

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale tylko jęknął. Wziął mnie za rękę wyschłymi rączkami i zaczął mówić:

— Ja pewnie umrę... Ale boję się tak... sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł... To... widzisz... niezadługo, a mnie będzie trochę weselej...

Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim, jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kasłać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasem wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę — dwie — trzy, milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia. Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi, że go z tyłu najechał jakiś wóz, że ojciec poszedł szukać nowej służącej...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, żebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdy zaczął: „Kiedy ranne wstają zorze“ — przerwał mi:

— Mów jeszcze — „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Ja się już pewno jutro nie obudzę.

IV.

Słońce zaszło, nadejściła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresz-

tą nie myślałem jej nawet zapalać. Józio był coraz nie-
spokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przy-
tomność.

Już było późno, gdy od ulicy kołatnęła furtka z wiel-
kim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i, gwizdząc,
otworzył drzwi naszej izby.

— To tatko? — jęknął garbusek.

— Ja, mój synu! — odparł przybysz ochryplym gło-
sem. — Jakże ci tam? pewnie lepiej? — Tak być powin-
no. Zawsze uszy do góry, mój synu!...

— Tatku, niema światła — mówił Józio.

— Głupstwo światło! — A to kto? — zawołał, poty-
kając się o mnie.

— To ja — odparłem.

— Aha, Łukaszowa? Dobrze. — Prześpij się dziś,
a jutro sprawię ci wnyki...

— Dobranoc, tatku, dobranoc... — szeptał Józio.

— Dobranoc, moje dziecko — odparł przybysz i, schy-
liwszy się nad łóżkiem, mnie pocałował w głowę.

Józio począł się trząść i mówić coraz niespokojniej:

— Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Ka-
ziu? Kaziu! O, nie bijcie mnie już!...

Nagle przycisnął moją rękę do ust, schwycił zęba-
mi za palec i — puścił. Już nie oddychał.

— Panie! — zawołałem. — Panie! Józio umarł.

— Co tam pleciesz? — mruknął głos z drugiego pokoju.

— Józio umarł — powtórzyłem cały drżący.

Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

— Wynos mi się stąd, błaznie!... Ja, jego ojciec,
lepiej wiem, czy on umarł!

Uczulem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze,
męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Zrana obejrzał
mnie gospodarz naszej stacji, powiedział, że mam gorącz-
kę, że pewnie się zaraziłem od przejechanego Józia, i kazał

mi postawić na krzyżu 12 baniek ciętych. Po tem lekar-
stwie nastąpiło — jak mówił gospodarz — takie przesile-
nie, żem tydzień leżał w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła
cała nasza klasa z nauczycielami i księdzem prefektem.
Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą,
jak pudełko od skrzypiec.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał
trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pocho-
wali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili
z cmentarza.

Bolesław Prus.

(Aleksander Głowacki, powieściopisarz polski w. XIX i począt. XX-go).

Jaki był Józio, a jaki jego kolega? Czy koledzy szlachetnie po-
stępowali z Józiem? Jaki wpływ wywierał Józio na Leśniewskiego?
Jakie uczucia i postanowienia może w nas wzbudzić historia Józia?
Czy widzisz jakie różnice pomiędzy tą szkołą, a twoją? Jakież?

5. Ciche wzgórze.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niem kwitną przy figurze
Przezroczyste polne róże.

Boża Męka pochyłona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo!
Niedotknięte bólem, trwoga,
Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmaci;
Cichnie ludzkiej głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści....

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi —

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
 Pożegnalnym blaskiem strzela
 I całuje stopy krzyża,
 Święte stopy Zbawiciela.

Adam Asnyk.

(Adam Asnyk, poeta, zmarły w Krakowie w. r. 1897, brał udział w powstaniu 1863 r. i dlatego musiał potem wyjechać za granicę).

6. Z życia młodej Polki¹⁾

w połowie XVIII w.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze, wraz z *Madame*; każda z nas ma łóżko żelazne z firankami; Basia, jako najstarsza, ma dwie poduszki i becik mantynowy,—my po jednej i koldrę flanelową. Wstawszy i ubrawszy się naprędce, mówimy z *Madame* pacierz francuski, poczem zaraz do nauki.

Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marysię uczy, a Basię i mnie sama *Madame* (nauczycielka Francuzka). Uczymy się na pamięć rozmów i wokabu²⁾ z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora³⁾. O ósmej godzinie schodzimy na dół, do państwa, na dobry dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dni postne żurek bardzo wyśmienity.

Po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem; tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie, cały dwór i my

¹⁾ Franciszki Krasińskiej, późniejszej żony królewicza polskiego Karola, syna Augusta III. ²⁾ Wokabuły — słówka. ³⁾ Nomenklator — książka, zawierająca zbiór nazw technicznych i trudnych wyrazów.

mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać, co one znaczą? Po tem nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabu i słów niemieckich; piszemy i listy na zadania; *Madame* nam wiersze poety francuskiego Malherba, dyktuje. Mamy też klawicymbał i metra do niego, Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych na rok bierze. Wszystkie się uczymy grać. Basia wcale niczego brzdąka.

Potem kładziemy podwłośniki i fryzjer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wypadnie, osobiwie, kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy: po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotownią siedzę, na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi; ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury, dzisiejsza naprzykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby z niechcenia: włosy wszystkie szesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta spada, kręcąc się, na kark i na ramiona: pudru w nich z pół funta.

Ubieranie nasze trwa ze dwie godziny; przez ten czas uczymy się na pamięć różnych przysłów francuskich, a bez pamięci—cierpliwości. Jak teraz, to czas gotowni krótszy mi się wydaje, bo nam *Madame* czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: *Magasin des Enfants*, przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z uczennicami; wyborne rozповіда im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy na dół na obiad, i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Mamy też raz na raz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic; haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robimy siatkę na wyścigi; świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo

widne; ja tej już zimy wieczorami do całej komeżki zrobi-
łam siatkę z przykrywki i posyłam ją w drobne muszki.

Wieczera o siódmej i zimą i latem; po wieczery już
niema roboty, tylko zabawa: gramy w karty w marjasza
albo w družbarta; warte widzenia, jakie miny wyrabia
Macieńko (trefniś), kiedy ma siódemki; ja pękam od
śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec, wy-
syłany co tydzień do Warszawy, powraca, kapelan czyta
gazety, kurjera, listy; niektórym wiadomościom bardzo
chętnie się przysłuchuje. Często także czyta nam Imię do-
brodziej¹⁾ stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wiele
zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie daleko
więcej od polskich zajmują; i nierównie więcej ich czyta-
łam: nasza *Madame* ani słowa po polsku nie umie; z pań-
stwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak
w zapusty to jeszcze rzadsze czytanie; gości pełno, a wten-
czas gry, muzyka, taniec. Ale co słyszę? już na dwunastą
dzwonią: trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie Anielskie co
tchu odmówić, fryzury poprawić, biedz na dół i zostawić
na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać za-
mierzała.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,

autorka polska z pierwszej połowy w. XIX-go.
(„Dziennik Franciszki Krasińskiej”).

Czy możemy się dziwić, że w różnych czasach i w różnych
krajach rozmaicie wychowują młodzież? Wskaż, czem się różni wy-
chowanie dziewcząt w owych czasach od dzisiejszego.

7. Dziewczyna.

Oj, wesołaż ja dziewczyna!
Wszystko mi się śmieje,
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje.

¹⁾ Jegomość dobrodziej — mowa tu o ojcu.

chodziła wszelkie granice; to też dziś jeszcze, gdy myślę
o tem jako mężczyzna dorosły, uważam go za tyrana.

Twarz miał żółtą, pomarszczoną, z obwisłymi policz-
kami, wąsy długie, spuszciste; nosił wełnianą bluzę i takżeż
spodnie, a na nosie miał okulary, zasłaniające mu pół
twarzy; z wierzchołka głowy spływał mu długi warkocz
szpakowatych włosów.

Zdaleka już czuć było od niego opjum¹⁾, nałogowo
bowiem używał tego zabójczego przysmaku, chociaż sta-
nowczo temu zaprzeczał; dla zachowania pozorów nosił na-
wet przy sobie zwykłą fajkę i worek z tytuniem, zatknię-
te za pasem, wraz z patyczkami do jedzenia ryżu, wachla-
rzem, woreczkiem do pieniędzy, zazwyczaj pustym, krze-
siwkiem i flaszką z tabaką. Słowem, miał za pasem całe
gospodarstwo. To wszystko za każdym poruszeniem wyda-
wało szmer, zdradzający jego obecność. Zwykle też nosił
w ręce dyscyplinę o grubych rzemieniach, którą częściej
machał podczas lekcji niż wachlarzem.

Nietyle jednak bałam się dyscypliny, ile jego war-
kocza. Rozgniewany, chwytał to straszne narzędzie, suche,
twarde, jakby z włosia końskiego uplecione, i tak mnie
niem ćwiczył, że sine pręgi długo miałem na ciele.

Nie skarżyłem się jednak na to tyrańskie obchodzenie
się: znosiłem je ze stoickim²⁾ spokojem, gdyż wiedziałem,
że od niepamiętnych czasów nauczyciele tak postępują
z uczniami. Zresztą wszyscy Chińczycy, bez różnicy wieku
i stanu, podlegają chłości. Zwierzchnik może zawsze ka-
zać wyliczyć bambusy swemu podwładnemu. Nawet ksią-
żęta domu panującego nie są wolni od tego rodzaju kary,
a cesarz, gdy jest niezadowolony z rządów swych mini-
strów, każe ich bez ceremonji okładać bambusami.

¹⁾ Opjum — sok z niedojrzałych główek pewnego gatunku ma-
ku, odurza i sen sprawadza. ²⁾ Stoik — człowiek cierpliwie i z po-
wagą znoszący nieszczęścia.

Tak upłynęło kilka lat, wyrosłem na chłopca i zdaje się, że nauka Tsina nie była najgorsza, skoro uczyniłem znaczne postępy. Matka i siostra okazywały mi widoczny szacunek, a ojciec, jakkolwiek taił się z tem, cieszył się bardzo moją pilnością i jak najlepiej wróżył o przyszłości. Często zachodził do mego mieszkania i oglądał przepisane przeze mnie wyjątki z dzieł Konfucjusza¹⁾. Nie pochwalił jednak nigdy mojej pracy i tylko z niektórych ruchów jego domyślałem się, że jest zadowolony.

Ojciec nie zdradzał też swego zadowolenia przed znajomymi i przyjaciółmi. Prawa grzeczności wymagają u nas, aby poniżać — o ile można — to, co posiadamy, a osoba, z którą rozmawiamy, powinna, przeciwnie, przesadzać w pochwałach dla nas. Tak np., gdy wychwalamy starożytnie nazwisko znakomitego mandaryna²⁾ lub jego wspałały pałac, zwyczaj wymaga, aby on odpowiadał skromnie, że nosi nieznane nazwisko i ma nędzną lepiankę. Dlatego, gdy ojca mego pytano, czy ma dziedzica imienia — odpowiadał zazwyczaj:

— Mam szczeniaka.

Tym szczeniakiem byłem ja.

Berthet.

(„Młodzież w pięciu częściach świata“).

Czy wiesz, jakie są przymioty Chińczyków? Gdzie leżą Chiny? Jakie towary stamtąd przywożą? Do jakiej rasy należą Chińczycy? Czy jest to naród cywilizowany?

9. Osieł i lew.

Śmiał się osieł z niedźwiedzi,

Że na lutni brzdąkały.

— Niechaj waszeć nie bredzi —

Rzekł lew wyrozumiały.

— Niech raczej wprzód nam dowiedzie,

Że lepiej gra, niż niedźwiedzie.

Wytlumacz na przykładach sens tej bajki.

¹⁾ Konfucjusz — sławny filozof i uczony chiński. ²⁾ Mandaryn — wysoki urzędnik chiński.

10. Młody Amerykanin.

„Siłą woli i odwagą można wszystko pokonać“.

I.

Kiedy zaczęły powstawać osady z tamtej strony gór Skalistych, Ryszard Garry zawarł z nimi umowę, że będzie dostarczał do następnego posterunku pocztę raz na miesiąc drogą, idącą koło Źródła Czarownic, przez przełęcz górską, liczącą pięćdziesiąt trzy mile angielskie¹⁾. Na całej tej przestrzeni nie było ani jednej ludzkiej osady.

W grudniu 18... roku, gdy przed świętami przywieziono ostatnią pocztę, i trzeba było nieść ją dalej do osadników za górami, Garry czuł się chory i nie mógł sam wyruszyć tak daleko.

— Słuchaj, Ben! — rzekł do swego piętnastoletniego siostrzeńca. — Trzeba odnieść Scottowi pocztę świąteczną, — czekają jej ludziska. Ja iść nie mogę. Ty pójdziesz.

— Dobrze, wuju! — rzekł Ben.

Uradzono wszystko, jak się należy. Ben miał wyruszyć o świcie z wielką torbą pocztową, zapasem żywności, łyżwami, siekierą i futrzanym workiem do spania, złożonemi na saneczkach, a ważącemi razem około stu funtów. Strzelbę miał na plecach, rewolwer za pasem z jednej strony, nóż z drugiej, rzemienne pasy od sanek skrzyżowane na piersiach i psa u nogi.

— Ben! — upominał go stary — bądźże ostrożny, chłopcze, i dostaw wszystko w porę. Możesz przecie dojść tam za cztery dni?

— Niech wuj będzie spokojny, poczta dojdzie na czas, jeżeli góry się na nas nie zwalą, — prawda, Liściku?

Liścik był to niewielki pies owczarski Ryszarda Garrygo. Na zapytanie Bena odpowiedział szczekaniem.

¹⁾ Mila angielska wynosi przeszło wiorstę.

— Bywajcie zdrowi. Śnieg jeszcze niegłęboki. Będziecie mieli dobrą drogę. Szczęśliwej podróży! Bywaj zdrów, Liściku — mówił wuj.

Liścik podbiegł i z wielką powagą podał łapę na pożegnanie, a po dopełnieniu tej ceremonji, pocztmistrz patrzył jeszcze za nimi, dopóki mu nie zniknęli z oczu za wzgórzem.

Nazajutrz Ben doszedł wcześniej przed wieczorem do Źródła Czarownicy. Było to miejsce zwykłego odpoczynku. Tuż przy źródle stał szałas z chróstu, a w nim zapas rąbanego drzewa. Pozostawało już tylko czterdzieści trzy mile do przebycia, a czasu na to całe dwa dni. Ben zmęczony rozpalil ogień, zjadł wieczerzę, urządził posłanie i usnął z Liścikiem, leżącym u nóg jego.

W nocy Liścik zaczął wyć i łapami uderzać pana po piersi. Przez cały wieczór dwie pantery odzywały się w pobliżu, ale była to rzecz tak zwykła, że nie zaniepokoiła Bena ani psa.

Zadziwiony, że go pies obudził, Ben wziął strzelbę i wyszedł z szałas. Ogień prawie wygasły tlił się tuż przy samej ścianie parowu, do którego dochodziło zaledwie słabe światło księżyca. Ben, uszedłszy kilka kroków, ujrzał nagle jelenia, który zapewne przyszedł napić się do źródła. Myśliwski duch wnet się w nim odezwał:—Wracając, zabiorę go na święta!—Wycelowal i strzelił, lecz mierząc już, zobaczył uszy pantery, sterczące nad brzegiem parowu.

II.

Jeleń ugodzony padł na miejscu, a jednocześnie wielkie cielsko zwierzęcia, podobnego do kota, spadło z góry na Bena, który runął na śnieg, przygnieciony tym ciężarem.

Otrzeźwiawszy, spojrzal i zobaczył panterę, z łapą opartą na jego nodze. Zamiast chwycić go za gardło, nawoływała swego towarzysza i śledziła Liścika, który biegł wokół, szczekając zajadle i grożąc jej napaścią.

Nagle pies skoczył i schwycił panterę za ogon. Pantera, parskając, zwróciła się ku niemu. Ta jedna chwila wystarczyła Benowi. Wyciągnął w mgnieniu oka rewolwer i strzelił jej w łeb. Próbował się podnieść, gdy wtęm druga pantera dała z góry susa i rzuciła się na psa, ale padła też, ugodzona kulą w serce.

Poruszywszy się, Ben uczuł srogi ból w prawej nodze. Nie mógł się podnieść, tylko przyczółgał się do zabitej pantery i usiadł na jej cielsku, żeby obejrzeć swoje rany. Kość w nodze pomiędzy kostką a kolanem była złamana, ubranie poszarpane, a na lewym ramieniu i ręce były długie, głębokie rany. Siedział chwilę, rozmyślając:

— Co robić? Przez jakie dwa tygodnie nie będę mógł chodzić — może nawet miesiąc, a poczta powinna dojść pojutrze... Najbliższa pomoc o dwa dni drogi. Co robić? Najpierw opatrzyć nogę, potem zabrać jelenia na zapas. Szczęściem jest tyle narąbanego drzewa. Myślę, że trzeba będzie siedzieć tu, dopóki nie wyzdrowieję, jeżeli nie przysła kogo na zwiady, gdy poczta nadejdzie...

Przyczółgał się do zarośli i wyciął sześć mocnych, płaskich kawałków drzewa, którymi obłożył złamaną nogę, a wyrównawszy kości, obwiązał wszystko chustką. Dopełnawszy do szałas, odciał długi kawał sznura u sanek i całą nogę mocno osznurował. Poobmywał rany na ramieniu i posmarował tłuszczem, rozżarzonym nad ogniem. Toporkiem uciął dwie zakrzywione tyczki, a zawiesiwszy złamaną nogę na sznurze, uciepionym u ramienia, zaczął posuwać się zwolna, oparty na tyczkach, jak na kulach.

Dowlókl się w ten sposób do zabitego jelenia, obciągnął go ze skóry, pokrajał i z pomocą Liścika zawlókł do szałas. Ponieważ robił to wszystko, dopóki złamanie i rany były świeże, cierpiał nierównie mniej, niż gdyby to czynił później.

Na tej robocie zeszła mu cała noc. Rankiem zjadł śniadanie, ale już rany zaczęły się zaogniać, i ból go obez-

władnił. Pomimo to, wyczerpany cierpieniem, przespał kilka godzin.

Kiedy się obudził w południe, złamana noga bardzo opuchła i bolała mocno. Rany na ramieniu bolały też i paliły niemiłosiernie.

Cztery dni minęły w ten sposób. Nieustający ból, uczucie opuszczenia i bezsilności, zimno, wilgoć, bezsenność, ciągly niepokój, dręczyły chłopca narówni z troską o niedoręczone listy.

Minęły już dwa dni od chwili, kiedy poczta powinna była nadejść, i Ben zaczął się spodziewać, że osadnicy wysła kogo na zwiady, zaniepokojeni nieotrzymaniem listów i przesyłek na kolebę.

Dotąd pogoda była niezła, a Liścik wesoły; szczątki jelenia i panter składały się na biesiadę, z której korzystał dowoli.

III.

Piątego dnia zaczęła się wielka zawierucha, śnieg padał gęsty, a wichher miotał tumanami o skaliste ściany rowu i zasypywał go śniegowymi wałami.

Na szczęście szalas i źródło były pod ochroną ściany, wzdłuż której szła wązka drożyna.

Śnieżna zawierucha zawiodła nadzieję blizkiej odsieczy. Nikt nie wybrałby się na zwiady podczas takiej niepogody. Po trzech dniach zerwała się burza z deszczem i gradem, poczem wziął mróz, i śnieg pokrył się lodową skorupą.

— Gdyby tak posłać wiadomość przez psa? On przecież nieraz chodził z listami — pomyślał nagle Ben.

Rozgrzał w ogniu kolec od klamry i wypalił na kawałku drzewa kilka wyrazów:

„Koleńdowe listy przy Źródle Czarownicy. Złamana noga. Przyslijcie pomoc.

Garry“.

Papier mógł rozmoknąć, a kawałek drzewa pewniejszy. Ben przywiązał go Liścikowi na szyi i zaczął psa uczyć, co ma uczynić.

Nareszcie nad wieczorem zawiązał drewnienko w kawałek płótna, włożył w pysk Liścika i powiedział:

— Idź, Liściku! Idź do Scotta! Zanieś to do Scotta! do Scotta — sam!

Scott był to pocztmistrz, który miał odebrać przesyłkę. Liścik go znał. Zasmucił się bardzo i jakby zamyslił na chwilę, a potem położył paczkę na ziemi i wyciągnął łapę na pożegnanie. Ben uściśnął go za łapę i powtórzył:

— Bywaj zdrów! Idź do Scotta!

Liścik podniósł zawiniątko, zaskowyczał żałośnie i ruszył szparko brzegiem parowu.

Upłynęła godzina — dwie — trzy — pies nie wracał. Ale czy wytrwa całe czterdzieści trzy mile? Czy uniknie niebezpieczeństwa w drodze?

Kiedy minęły dwa dni i dwie noce, a pomoc nie nadchodziła, Ben zaczął się obawiać, że może Liścik zginął, i postanowił wyruszyć sam nazajutrz.

— Kość już się zrosła — pomyślał, opatrzywszy nogę. — Nie mógłbym się na niej oprzeć, ale mogę iść na kulach, na jednej nodze. Będę ciągnął sanki z torbą pocztową, bo listy muszą dojść rąk osadników...

Zrobiwszy to postanowienie, zasnął głęboko. W nocy obudziło go coś, padającego na jego ciało. Zerwał się, chwytając za rewolwer.

— Liścik!

Pies szczekał, skakał, tarzał się po ziemi, stawał na tylnych łapach, podawał przednie łapy do uścisku i objawiał radość na wszelkie psie sposoby. Ale Ben zauważył, że kuleje. Rozjaśniewszy ogień, spostrzegł, że Liścik jest boleśnie poraniony i mocno zmęczony. Widocznie musiał w drodze stoczyć walkę z jakimś dzikiem zwierzęciem. Ale drewnienka u szyi nie było: zapewne je Liścik zgubił.

Ben nakarmił psa i położyli się obok siebie. Za-
ledwie zaczęło świtać, Liścik zerwał się, szczekając, i po-
biegł drogą nad strumieniem. Szczekanie jego słychać było
w oddali, a potem odezwało się głośnie: — Hop! Hop!

Liścik ukazał się po chwili, wiodąc z dumą trzech osad-
ników.

Ben był ocalony...

M. G.

Jakim był ten młody Amerykanin? Pomyśl o jego męstwie,
wytrwałości, przytomności umysłu. Postaw się w jego położeniu, czy
umiałbyś tak sobie radzić? Gdzie leżą góry Skaliste?

Takie niewielkie opowiadanie o jakimś zdarzeniu nazywa się
powiastką.

Czy to wszystko jedno: męstwo i odwaga?

11. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał;
Kontent więc, iż uczony nie nie odpowiadał,
Tembardziej jeszcze krzyknąć przeraźliwie począł.
Nakoniec, zmordowany, gdy sobie odpoczął,
Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:
— Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny.

Ignacy Krasicki,

poeta polski z czasów Stanisława Augusta.

Czy mądrość na gadaniu polega? Ludzie, którzy wiele myśla-
li i nad każdą myślą zastanawiają się głęboko, nie mogą być gadatliwi.
Kto dużo mówi i wygłasza wszystko, co mu do głowy przyjdzie, czę-
sto powie głupstwo. To, co głupiemu wydaje się śmieszne, dla my-
ślącego człowieka jest nieraz bardzo poważne. Co to znaczy: „Czło-
wiek do śmierci rozumu się uczy“?

12. Ptaki i dzieci.

— Posłuchajcie, co wam powiem — mówił Kazio, któ-
rego oczy błyszczały niezwykle. — Czytaliśmy dziś u Karo-
la sprawozdanie „Małego Stowarzyszenia Opieki nad pta-

kami“. Należą do niego prawie same dzieci, a liczy dzisiaj
w Anglii przeszło pół miliona członków! Słyszycie: pół
miliona! Z początku obowiązkiem członków było tylko
karmić ptactwo w zimie i z gniazd nie wybierać, ale wkrót-
ce dzieciom to nie wystarczało, więc zawiązały „Związek
Miłosierdzia“, zobowiązując się słowem uroczystem „być
dobremi, sprawiedliwymi i miłosiernymi dla wszystkich
żyjących stworzeń, tak ludzi, jak i zwierząt“. Okrucień-
stwo jest przez nie uważane za grzech, godny najwyższej
pogardy, i przez to samo stają się coraz lepszemi.

Inna znowu Angielka, lady Paget, założyła w Wiedniu
„Stowarzyszenie Opieki dzieci nad zwierzętami“. Po-
dobne stowarzyszenia istnieją także w Niemczech. Wielki
poeta szwedzki, Zacharjusz Topelius, założył 1 maja 1890
roku w Helsingforsie podobne Stowarzyszenie Opieki dzie-
ci nad zwierzętami i czyn ten uważa za największą zasłu-
gę swego życia. Liczy ono dziś mnóstwo członków, głównie
dzieci, a ustawa zaczyna się od słów: „Chcemy być dobry-
mi i miłosiernymi. Nie będziemy nigdy cieszyli się z cudze-
go smutku. Wszystkich będziemy kochali przez miłość
Boga, bo wszystko, co stworzonym jest, On stworzył“.

Nie pamiętam zresztą już wszystkich zdań pięknych,
ale nie nie zmieniłem. Każdy się podpisuje pod taką usta-
wą i powinien pamiętać zawsze, do czego się zobowiązał.
Czy to nie piękne?

Dzieci słuchały w głębokim milczeniu, tylko blask
zrenie świadczył, jak gorąco odczuwały każde słowo.

Zosia przemówiła pierwsza:

— To jest piękne i uczciwe! Kocham tego poetę i te
wszystkie dzieci. Chciałabym należeć do nich. Jak dobrze
musi być w kraju, gdzie pół miliona dzieci broni od krzyw-
dy zwierzęta i ptaki. O, to nie tak, jak u nas. My też sy-
piemy okruhry za okno dla głodnych wróbli, ale na tem
samem podwórku chłopcy wczoraj zaszczuli kota. Czy
w tem niema naszej winy? Czy nie powinniśmy zebrać za-

raz tych wszystkich dzieci i związać je w Stowarzyszenie Miłosierdzia? To byłaby zasługa. Powinniśmy tak zrobić!

Twarzyczka Zosi płonęła zapalem, z oczu były promienie ciepła, porywała siłą uczucia i pragnieniem czynu.

— Zosia ma wielką słuszość — odezwała się po chwili Ewcia cichym, trochę nieśmiałym głosem — tylko mnie się zdaje, że — może pierwszej jeszcze — nad temi dziećmi trzeba utworzyć opiekę...

Ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk uznania.

— Ach, tak! ach, tak! — koniecznie!

— Trzeba się niemi zająć!

— Uczyć je!

— Nauczyć je miłosierdzia i miłości.

— Skoro poznają dobroć, staną się dobrymi.

— Słuchajcie — przerwał Władzio z niezwykle poważną — propnuję wam rzecz bardzo ważną: łączymy się w „Stowarzyszenie Opieki nad biednymi dziećmi“. Mamy obowiązek porozumieć się ze wszystkimi dziećmi rodziców zamożnych, mieszkających w tym domu, i wspólnymi siłami bierzemy pod opiekę wszystkie dzieci ubogie z tego domu. Jestem pewny, że to wcale nie tak trudno, i że jesteśmy w możności to zrobić. Obowiązki nasze będą następujące:

1. Poznać każde biedne dziecko, jego charakter i potrzeby.

2. Dbać o to, żeby nie cierpiało głodu i miało ciepłą odzież.

3. Zachęcać je do czystości.

4. Uczyć, lub łączyć na jego naukę.

5. Przynajmniej raz na tydzień spędzić z niem godzinę czasu na rozmowie, zabawie lub czytaniu.

6. Starać się o dostarczenie mu odpowiednich przyjemności, jak: wycieczki, zwiedzanie i poznawanie tego, co je może rozwijać, ślizgawka, gimnastyka.

7. Wysyłanie dzieci na wieś podczas lata.

— Może któremu z was jeszcze co przychodzi na myśl?

— Tymczasem nie, ale czy my to potrafimy?

— Jeśli zechcemy szczerze, możemy.

— Ileż ubogich dzieci może być w tym domu?

— Nie więcej jak dziesięcioro, może się i tyle nie zbierze.

— A nas tu jest sześciu. A przecież znajdzie się więcej. O jednym dziecku każde z nas może pamiętać.

— Powinno! — rzekła Zosia z przekonaniem.

— Na koszt sami zdobyć musimy pieniądze. To nasza pierwsza praca dla społeczeństwa. Taka praca nazywa się obywatelską, czyżbyśmy nie byli do niej zdolni?

— Jesteśmy i będziemy! — rozległy się głosy, nie donośne, ale poważne. — Zaczynamy od dzisiaj. Obchodzimy wszystkie mieszkania, werbujemy członków. Robimy spis biedaków i, dla bliższego poznania, urządzamy dla nich szopkę tej niedzieli.

— Doskonale! — zawołały dzieci ucieszone. — Do roboty!

— Jeszcze jedno — rzekł Kazio — postaramy się przez znajomych i kolegów, aby takich stowarzyszeń powstało jak najwięcej.

— O, gdyby mogły być we wszystkich domach!

— Postaramy się o to — szepnęła z wiarą Zosia.

„W kółku rodzinnem“.

Jaką korzyść przynosi ochrona ptaków: ptakom, dzieciom i krajowi? Łączenie się w stowarzyszenia uczy dzieci zbiorowej pracy, która największe wydaje rezultaty. To początek i szkoła życia społecznego. Czemyśmy byli, gdybyśmy nie żyli w społeczeństwie, ale każdy dla siebie? Opieka nad zwierzętami i współczucie dla nich dowodzi wyższego stopnia uszlachetnienia człowieka.

Czy mamy uznanie dla tych, którzy więcej kochają zwierzęta, niż ludzi? Daj przykłady takiego dziwactwa.

13. Nie daj mi, Boże!

Modłę się zawsze w poranku godzinie,

Modłę się zawsze o wieczornej porze:

Pożądać szczęścia dla siebie jedynie

Nie daj mi, Boże!

Dla siebie tylko wonne zbierać kwiaty,

Dla własnych zysków złote zbierać zboże,

Nie wybiedz myślą za progi swej chaty —

Nie daj mi, Boże!

Płaczące dziecko ominąć zdaleka,

Rzucić żebrzącym: „Niech was Bóg wspomóż“,

W zwalczonym nędzą nie uznać człowieka —

Nie daj mi, Boże!

I kęsa chleba z głodnym nie podzielić,

Odmówić dachu, kiedy wichr na dworze,

I tylko własnem szczęściem się weselić —

Nie daj mi, Boże!

Zofja Zacharkiewiczówna.

Jak nazywamy tego, kto tylko o sobie myśli? Małe dziecko kocha rodziców i najbliższą rodzinę, — potem ogarniamy miłością kolegów, przyjaciół, znajomych, — w miarę, gdy coraz więcej pojmujemy, rozwijają się także i nasze uczucia, obejmują rodaków, przeszłość i rodzinną ziemię, na koniec ludzkość całą i ideały przyszłości. Ale czy nowa miłość usuwa z serca poprzednią?

14. Wychowanie małych bocianków.

I. Najprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: — Boćki lecą! — Po bocianach przybyły jaskółki; ostatnimi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieźdzących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najprzód reperacją starego gniazda. Naprzemian więc to jedno, to drugie znosiło

gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wrywali dziobami przegnili chróst, łatali dziury, utykali szpary, zagrządzali, przegrządzali, robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę.

Po skończonej reperacji gniazda żona bocianowa zniosła pięć jaj. Na jajach kolejno przesiadywali—to mąż, to żona, co chyba świadczy o wysoko rozwiniętym poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, naradziwszy się z sobą, wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącone było z gniazda nawet pisklę. Może to był i jaki ptasi przesąd, a może też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi potomka, któryby w późniejszym życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego żywota i obronić, w razie potrzeby, rodzinnego gniazda.

Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż chata bociania umieszczona była na samym rogu stodoły Makoszewej. Czworo bocianków z szarymi dziobkami i takimiż nogami zachowywało się nadzwyczaj przyzwoicie w gnieździe. Od pierwszych pieluch, aż do młodzieńczego wieku nie słyszano tam niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczwały one niekiedy, mianowicie, gdy przybywało do gniazda które z rodziców.

Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzeniu podziału pracy, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość, a nawet czułość rodzicielska, przytem różne inne cnoty — sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nie tylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptactwo.—Zabić boćka to ciężki grzech — mawiali starzy gospodarze,

a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom.

II.

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrem pierzem, rodzice zaczęli je nauczać. Polecono malcom stać prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołężnego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami, nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki wprawiała się w używanie skrzydeł. Potem nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, najprzód o kilka cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silnem, że nie wolno spaść na strzechę, a tembardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoly; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić.

Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koła ponad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a wkółko, a wkółko“. Inne dzieci, widząc, że „nie święci garnki lepią“, poszły też w taniec. Niedosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się na dół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne: niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i śliską, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: — Ratuń się sam, jak umiesz.— Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki. Rozlegało się wówczas głośne klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było.

Ale wychowanie nie kończyło się na tem. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały dotąd

tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnia, ale należy się strzedz rozpustnego psa. Okrom tego przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta, pewna znajomość zoologii: co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zając i t. p. Młody bocian musi wiedzieć, czem ma się karmić, oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są też pewne obrzędy i ceremonje bocianie, polegające na modulowaniu głosu podczas klekotania, na przekrzywaniu szyi oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami i t. p. Ważnym nadto i użytecznym przez całe życie jest sposób tępienia pasożytów,—a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze.

Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielna już była.

Adolf Dygasiński,

pedagog i powieściopisarz w. XIX-go
(„Co się dzieje w gniazdach“).

Rozkład i opowiadanie. Czy tylko ludzie uczą i wychowują dzieci? Opowiedz, jak wychowuje małe pies, kot, kura.

15. Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną

Złocisty słońca krąg —

Ciche odgłosy płyną

Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,

Daleki słychać śpiew,

I cichy szelest rosy

Po drżących liściach drzew.

Prómieni gra różana
 Topnieje w sinej mgle,
 A świeży zapach siana
 Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
 Z gasnącym blaskiem zórz,
 Cicha poezja światów
 W głąb ludzkich splywa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
 Podnoszą widma gór,
 Nocnemi mgłami dymią,
 Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
 Podarty kryjąc stok,
 Jak senne malowidła,
 Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
 Oświecla obraz ten —
 Ludzie w zadumie rzewnej
 Gonią piękności sen.

Adam Asnyk.

Jak wygląda wieczór w mieście i na wsi? Utwórz czasowniki z rzeczowników: krag, głos, śpiew, szelest, rosa, gra, woń, głąb, chmura, stok, mrok, sen.

16. List do kolegi.

Zawierucha, 5 lipca 1907 r., sobota.

Kochany Stašku!

(Porównanie).

Od tygodnia już jestem na wsi, nie uczę się, wcale nie widuję książki, pogoda cudowna, więc bujam po polach, kąpię się, jeżdżę konno, po prostu szaleję z uciechy, nie mo-

gę się nacieszyć niebem, słońcem, lasem, powietrzem, polem, łąką, przestrzenią, tem wszystkim, co wieś daje, a czego, niestety, tak nam brakuje w mieście.

Dzisiaj mieliśmy burzę, i teraz jeszcze leje, ale na pewno wypogodzi się do jutra, a tymczasem znalazłem sobie jakieś pióro, potoknąłem dobrze wyschnięty kalamarz, i — jak widzisz — piszę do Ciebie. Stało mi tak jasno w myśli porównanie naszego życia w zimie i podczas wakacji, że muszę się podzielić z Tobą tą mądrością. To jest mądrość, bo przecież nikt mi tego nie tłumaczył, czerpię tę uwagę i myśli sam z siebie, więc są moim rozumem i moją mądrością.

Otóż przyznać się muszę, że dziś pierwszy raz zateknilem do kolegów i do szkoły. Nic się równać nie może ze swobodą wiejską, ale może dlatego jeszcze tak nam smakuje, że jej nie mamy ciągle. Miasto to jest więzienie; nie lubię miasta, ale nie mogę zaprzeczyć, że zima i szkoła dużo nam dają dobrego. Po powrocie z wakacji skaczemy, jak ten nurek, głową na dół, w rzekę robotę. Otacza nas nauka: rano, w południe, wieczorem. Szkoła, dla szkoły, do szkoły, ze szkoły i t. d. Poza szkołą świat przestaje dla nas istnieć. Nawet przyjemności i rozrywki zwykle łączą się ze szkołą, z koleżeństwem.

I daje nam to wiele bardzo pięknych wrażeń, chwil takich, które zostaną w pamięci na całe życie. Dziś oto pękła mi jakaś szalona zasłona i ujrzałem nowe światy, których nie domyślałem się wczoraj. Stają przede mną jakieś nowe słońca, nowe prawdy i nowe drogi. I to mi dała szkoła, kilka słów nauczyciela. Jakiemże zadowoleniem przejmuję mnie poczucie, że coś wiem, że coś umiem! Albo koleżeństwo! Jakże w nas serce rośnie i wzbiera uczuciem i hartuje się jakąś siłą, gdy jednoczymy się wszyscy w jakiejś wspólnej sprawie, — czy to dajmy możliwość kształcić się kiedze, czy zaznaczamy zgodnie jakieś silne przekonanie!

Piękne jest koleżeństwo, piękna jest nauka, choć życie jednostajne nuży i męczy czasem. Zapominamy prawie, że poza szkołą i miastem jest świat szeroki, natura, do której tęsknimy bezwiednie.

A wtem nadchodzi lato. Pękają mury naszego więzienia, wyrwamy się z klatki i jesteśmy na swobodzie. Kto tu myśli o książce? i poco? Tu prostujemy się, jak drzewa zgięte, wyciągamy ramiona het, daleko, szeroko, a z nieba, ziemi, słońca — spływa w nas siła i wiedza. Naprawdę, Staśku, ja to czuję. O siłę nikt nie wątpi: ten ruch, swoboda, odpocznok wzmacniają nasze ciało, nabieramy zdrowia, sił do pracy. Ale ja utrzymuję, że, nie się nie ucząc, uczymy się i mądrzejemy podczas lata. Najpierw coś tam w głowie samo się porządkuje i układa z tego, cośmy słyszeli w zimie; a powtóre — patrzymy na życie natury i mimowolnie robimy tysiące spostrzeżeń, z których w nas rodzą się myśli, nasze własne myśli. Czyż nie nazwiesz tego nauką?

Powiedziałbym także, iż życie nasze w zimie jest więcej sztuczne, w lecie naturalne, ale sam sobie dokończ tego porównania, a może zanotujesz jeszcze niejedną różnicę, co przyniesie ci wielką korzyść, gdyż będzie samodzielnem Twojem spostrzeżeniem.

Tymczasem bądź zdrow i odpisz, gdy deszcz zacznie padać, bo w dzień pogodny nie mogę żądać, abyś trawił czas przy stoliku.

Pozdrawiam Cię serdecznie i życzę przyjemnego lata.

Twój Adaś.

Wytlumacz przysłowie: „Szkolne gospodarstwo, a z książek maństwo, oboje niepewne“. Czy tylko szkoła nas uczy? Co to znaczy: szkoła życia? Co każda z nich nam daje? Co znaczy: wykształcenie, rozum, mądrość?

17. Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając ze swobody,

Posł się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.

A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go wszystkie zwierzęta lubiły;
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.

Raz gdy wyszedł w świtanu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął, słucha, — dziwuje się;
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.

Spojrzy się poza siebie: aż dwa psy i strzelce!
Strwożon wielce,

Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosił go, iżby się użalił:
— Weź mnie na grzbiet i unieś. — Koń na to: — Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę. —
Jakoż wół się nadarzył. — Ratuj, przyjacielu! —
Wół na to: — Takich, jak ja, zapewne niewielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię,
A tymczasem masz kozła, on ci dopomoże. —
Kozieł: — Żal mi cię, niebożę,
Ale ci grzbietu nie dam, twardy, nie dogodzi,
Oto welnista owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć: — Owca rzecze:

— Ja nie przeczę,

Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;

Udaj się do cielecia, które się tu pasie. —

— Jak ja ciebie mam wziąć na się,
Kiedy starsi nie wzięli? — ciele rzekło

I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Ignacy Krasicki.

Co znaczy przysłowie: „W biedzie poznasz przyjaciela”? Kto jest naprawdę naszym przyjacielem? Przykłady prawdziwej przyjaźni. Używamy tego imienia lekkomyślnie. Czy należy ten wiersz rozumieć dosłownie? Kogo oznaczają te wszystkie zwierzęta? Jaka myśl główna?

Tego rodzaju utwór, w którym ludzkie ułomności i charaktery są przedstawione pod postacią zwierząt, nazywa się bajką. Wymień tytuły znanych ci bajek.

18. Zabawa dziecięcą.

(Wyjątek z listu do matki).

W tym miesiącu miałem przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił panią Pattey¹⁾, aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła. Porobiono więc w ogrodzie wszelkie przygotowania, jako to: zasadzono słup, na wierzchołku którego zawieszono były cacka dla dzieci, pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły, i do tak urządnego ogrodu o godzinie pierwszej weszły dzieci ordyńkiem²⁾, z bębniami wojskowymi na czele, niosąc mnóstwo chorągiewek... Nie uwierzysz, mamó, jaki to ładny widok 400 dzieci, ładnie ubranych, ubogich, bogatych; z jaką wesołością wchodziły do ogrodu, jak mrówki rozsypały się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiały...

Pani P., która zostawiła w Rosji małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego

¹⁾ W pensjonacie pani Pattey w Szwajcarii mieszkał Juliusz Słowacki.

²⁾ Ordynkiem — w porządku wojskowym.

nie znajdzie, i lzy miała w oczach. Ja także, nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne, i coś mię dusiło w gardle... Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem samego siebie, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła.

Podczas gier cała nasza kompanja domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego¹⁾, przypomniałem własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia.

Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego, 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas. Wziąłem go za rękę, powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój... prosząc, aby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych lzy miało w oczach... mały chłopczyk ścisnął mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Droga mamó, są czasem chwile, w których myślę, że tybyś była ze mnie kontenta, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi.

Juljusz Słowacki.

Czy znasz jakie wiersze Juljusza Słowackiego? Czy wiesz, że ten poeta żył współcześnie z Adamem Mickiewiczem i niemięj pięknie od niego pisał, choć nie tak zrozumiale dla wszystkich? Był wygnanecem i umarł młodo. Matkę bardzo kochał i często pisywał do niej długie, szczere listy. Kształcił się w Wilnie, tak samo jak Mickiewicz.

19. Z pamiętnika Zofji.²⁾

Niechaj mię Zosia o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do kraju powróci,

¹⁾ Tadeusz Czacki, założyciel sławnego liceum krzemienieckiego.

²⁾ Juljusz Słowacki pisał ten wierszyk na emigracji, tęskniąc za krajem, którego już nigdy nie miał zobaczyć.

To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
 Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
 Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
 Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.
 Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
 Będą ci całe poematy składać.
 Jabym to samo powiedział, co one,
 Bo ja się od nich nauczyłem gadać,
 Bo tam, gdzie Ikwy¹⁾ srebrne fale płyną,
 Byłam ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.
 Dzisiaj daleko pojechałem w gości,
 I dalej los mię nieszczęśliwy goni.
 Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
 Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
 Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba;
 Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

Juljusz Słowacki.

20. Mali niewidomi.

(Z dziennika chłopca).

20 czerwca, czwartek.

I.

I. Nauczyciel jest chory i przysłał na swoje miejsce tego, który był dawniej nauczycielem w Instytucie Niewidomych. Zaledwie wszedł do klasy i zobaczył jednego z uczniów z zawiązanem okiem, zaraz zapytał, co mu jest w to oko.

— Szanuj, chłopcze, wzrok! Strzeż oczu! Dbaj o nie — mówił mu, dowiedziawszy się, że to nic wielkiego.

A wtedy Derossi zapytał: — Czy to prawda, panie nauczycielu, że pan uczył niewidomych chłopców?

— Prawda. I przez długie lata.

— To niech pan opowie co o ślepych!

Nauczyciel odszedł od ławki, siadł przy swoim stoliku i pokiwał siwą głową.

— Ślepych... ślepych... Tak mówisz ślepych, jakbyś mówił chorych, biednych, czy tam co... Ale czy ty dobrze rozumiesz znaczenie tego słowa? Pomyśl tylko:

Być ślepym... Nie widzieć nigdy, nigdy nie! Nie odróżniać dnia od nocy, nie widzieć słońca i nieba, ani rodzi-ców własnych, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza, czego się dotknąć można. Być pograżonym w wieczystej ciemności i jak gdyby pogrzebanym we wnętrzościach ziemi. Spróbujcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że tak zostanieie na zawsze! Alboż nie czujecie przestachu i zgrozy? Alboż wam się nie zdaje, że niepodobna tak wytrzymać, że zaczniecie zaraz krzyczeć, że zwarzujecie chyba i pomrzecie...

A przecież, moje dzieci, kto wejdzie po raz pierwszy do Instytutu Niewidomych podczas rekreacji, a posłyszysz tych biedaków, jak grają na skrzypcach, na fletach, jak rozmawiają głośno i ze śmiechem, kto zobaczy, jak wbiegają na schody i zbiegają z nich szybkimi krokami, z jaką swobodą kręcą się po korytarzach, po sypialniach, ten nigdyby nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jak są w istocie.

Trzeba im się tylko przypatrzeć.

Są tam młodzieńcy szesnastoletni i osiemnastoletni, silni i weseli, którzy kalectwo swoje znoszą jakby od niechcenia, owszem, jakby z brawurą¹⁾; ale widać z gorzkiego i dzikiego wyrazu ich twarzy, ile wycierpieli, ile przewalczyć musieli, zanim się pogodzili ze swoim nieszczęściem.

Są inni z twarzą bladą i łagodną, w której uderza wielka rezygnacja²⁾, a przytem taki przejmujący smutek,

¹⁾ Brawura — śmiałość.

²⁾ Rezygnacja — pogodzenie się z losem.

¹⁾ Ikwa — rzeka Wołynia, rodzinnych stron Słowackiego.

iz łatwo zrozumieć, że jeszcze nieraz płaczą nad sobą w ukryciu.

Ach, dzieci moje! Pomyślcie tylko, że wielu z tych nieszczęśliwych straciło wzrok nagle, w dni kilka; że inni znowu oślepli po latach męczeństwa, po różnych okropnych operacjach. Ze jeszcze inni urodzili się już niewidomy-mi, w jakiejś straszliwej nocy, która nigdy dla nich rozednieć nie miała, i że weszli w świat, jakby w wielki grób czarny, że nie wiedzą, jak twarz ludzka wygląda.

Więc kiedy pomyślę, ja, który na nich patrzałem lat tyle, kiedy wspomnę wszystkie te oczy, raz na zawsze zamknięte, wszystkie te źrenice bez wzroku, bez światła, bez życia, a potem spojrzę na was, to zdaje mi się niepodobieństwem, żebyście nie czuli, jak ogromnie szczęśliwi jesteście! Pomyślcie tylko: jest we Włoszech około dwu dziesiętu sześciu tysięcy niewidomych!

Dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, którzy nie widzą jasności dziennej! Rozumiecie? Przecież to cała armja, której przejście pod oknami naszej szkoły zabrałoby przy-najmniej cztery godziny czasu!

Nauczyciel zamilkł. W całej klasie nie było słychać nawet oddechu.

II.

Po chwili Derossi przerwał tę ogólną ciszę, pytając, czy prawda, że ociemniali mają zmysł dotykania delikatniejszy, niżli ci, co widzą?

— Prawda! — rzekł nauczyciel. — I nie tylko dotykani-e. Wszystkie inne zmysły doskonałą się u nich szybko, bo każdy z nich musi w pewnej mierze wzrok im zastępować. Po głosie mówiącej osoby umieją wzrost jej rozpoznąć. My z oczu, ze spojrzenia odgadujemy duszę człowieka, oni z dźwięku mowy. Latami też całemi pamiętają brzmienie czyjegoś głosu. Rozpoznają, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej, choć jedna tylko mówi. Dotknięciem miarkują, czy łyżka jest dobrze oczyszczona. Małe

dzieci rozróżnić potrafią, wzięwszy wełnę w palce, czy jest farbowana. A gdy idą parami przez ulicę, rozróżniają powonieniem każdy sklep nieomal, taki nawet, w którym my żadnej nie czujemy woni.

Strzelają z procy i po świcie pocisku wiedzą, gdzie padł, i prosto po niego idą. Biegają za kółkiem, grają w kręgle, skaczą przez sznur, wyrabiają pudełka, kobiałki, koszyki, dokładnie podług rysunku. Takie mają czucie w palcach...

Ogromnie to wzruszający widok, kiedy ich poprowadzą do Muzeum przemysłowego i pozwolą im tam dotykać wszystkiego! Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na figury geometryczne, na sprzęty domowe, na instrumenty, narzędzia, na modele domów, kościołów! Z jaką uciechą obwodzą dłonią kształt każdy, jak pocierają przedmioty palcami, jak wszystko obracają w rękę, ażeby *widzieć*, jak to jest zrobione.

Uczą się z wielką łatwością. Mają do tego umyślnie przygotowane książki z wypukłym drukiem. Czytają biegle. Piszą bardzo chętnie wypracowania, a także listy pomiędzy sobą. A żebyście wiedzieli, jak pamiętają wszystko, jak malcy nawet rozprawiają między sobą o gramatyce i historii!

Każdego nauczyciela rozpoznać potrafią po odgłosie kroków, po woni odzieży. Między sobą żyją zgodnie, życzliwie: dobrzy z nich koledzy!

Mają bardzo jasne, bardzo głębokie pojęcie złego i dobrego. Żaden też z was, moje dzieci, nie odczuwa tak żywo, z takim uniesieniem pięknego, szlachetnego czynu!

Muzykę miłują nadzwyczajnie. Muzyka to ich radość, ich życie! Muzyka dla ich serca tem, czem światło jest dla naszych oczu...

III.

Zamyślił się nauczyciel, podparłszy głowę, gdy wtém Derossi zapytał, czy nie możnaby iść tam ich zobaczyć.

— Owszem — odpowiedział nauczyciel — ale lepiej później, kiedy będziecie starsi, kiedy będziecie mogli pojąć cały ogrom takiego nieszczęścia i uczuć całe współczucie dla tych, którzy są niem dotknięci.

To bolesny widok, moje dzieci.

Wszak, przechodząc tam niekiedy, widzicie chłopców, siedzących w otwartych oknach dla odetchnienia świeżem powietrzem, którzy, zdaje się, patrzą na szerokie, zielone doliny, na błękit gór, widnych tam zdala. I pomyślcie, że oni, siedząc tak i patrząc, nie widzą nic i nic nigdy nie zobaczą z tej niezmiiernej piękności rodzinnego kraju. Jeden z tych nieszczęśliwych tak mówił do mnie pewnego dnia z niewysłowionym smutkiem:

— Chciałbym, pragnąłbym gorąco, choć na jeden moment odzyskać wzrok dawny, żeby zobaczyć twarz mamy, bo już jej nie pamiętam prawie!

A kiedy matka przyszła go odwiedzić, dotykał twarzy jej rękoma, od czoła wodząc dłonią aż do brody, żeby uczuć jej drogie rysy, i jakby nie mogąc wyperswadować sobie, że jej nie zobaczy, wołał na nią: — Mamo! mamó! — jak gdyby błagając, żeby mu się objawiła, pokazała, żeby mu się dała widzieć choć na jedną chwilkę.

Kiedy się stamtąd wychodzi, to zdaje się, że ci, co widzą niebo, słońce i ludzi, współbraci, są jakimś szczęśliwym wyjątkiem. Pewien jestem, że niema wpośród was takiego, któryby, opuszczając tamte smutne progi, nie pragnął oddać choćby odrobiny swego wzroku tym nieszczęśliwym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza.

Edmund Amicis.

Jakie uczucia w człowieku szlachetnym budzi kalectwo, słabość, nieszczęście, cierpienie bliźniego?

Powiedz (napisz) wyrazy podobnego znaczenia, co: niewidomy, brawura, rezygnacja, twarz, brzmienie, kolor, powonienie, woń, smutek.

21. Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkolo,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczę.

Słonko na to: — Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myśle świecie
I o ludzi ciężkich losach;

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną;
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść — i świecić!...

Adam Asnyk.

Jaki przykład daje nam słońce? W jaki sposób można „świecić” ludziom? Wymień mi czyny, które nam „świecą”. Czy tylko wielkie czyny świecić mogą?

22. W terminie.

I. Majster dobry był człowiek. Z początku, co prawda, wydawał mi się straszny, szczególnie gdy stał oparty na trzonku młota, oczekując póki żelazo nie zacznie hycować¹⁾). Piersi miał zakryte grubym skórzanym fartuchem, który się zwieszał do kolan, ręce zakasane do łokci, grube i żylaste, twarz zaczerwienioną odbłaskiem ognia. Obawiałem się, aby go czem w gniew nie wprowadzić, bo zdawało mi się, że jak wpadnę w jego ręce, żywy z nich nie wyjdę. Z biegiem czasu przekonałem się, że nie był on wcale straszny, a nawet był to człowiek wesóły i dobry. Przy pracy ciągle rozmawiał z uśmiechem na zasmolonej twarzy; gdy mu młotem uderzałem, zwracał do mnie ten uśmiech i ze mną rozmawiał, jakby z równym. Byłem z tego bardzo dumny. Lubilem go też za to, że lubił małego brata mojego, Karolka. Na tyle co chłopiec nakreślił się po kuźni, nigdy na niego nie krzyknął, nieraz zaś krotochwilnie²⁾ z nim rozmawiał i obiecywał, że skoro dojdzie do lat 12, przyjmie go do terminu.

Najwięcej mi pochlebiało, że miałem u majstra już nie łaski, ale zaufanie. Sam słyszałem, jak mówił do majstrowej:

— Franek to rzetelny chłopak.

Co prawda, byłem mu dosyć rzetelny i jeśli co ruszyłem, to kawalki chleba dla Karolka. Od czasu więc, jak Andrzej, jego krewny, opuścił kuźnię, nikogo po zakupy żelaza nie posyłał, tylko mnie, chociaż byli starsi terminem.

Umiałem czytać, bośmy z bratem jeszcze za życia ojca przez trzy lata chodzili do ochrony. To też po kolacji czytywałem *kurjera* na głos, z czego majsterstwo byli radowi. Majster był niezmiernie ciekawy polityki, a zwłaszcza

¹⁾ Hycować — spajać się.

²⁾ Krotochwilnie — żartobliwie.

wojny, majstrowa zaś cheiwa morderstw i zbrodni. Zrazu tom czytał, nie rozumiejąc, aby się majsterstwu przypodobać, dopiero później coraz więcej pojmować zacząłem i zajmować się pismami i książkami. Pożyczałem ich, skąd się dało, i w święto po południu siadywałem z niemi na progu kuźni.

Wogóle nie mogę się skarżyć na termin. Nie był lekki, to prawda, ale wytrzymać można. Majster uderzył tylko, gdy był pijany. Wprawdzie rękę miał nie lżejszą i nie miększą od kowalskiego młota, ale bił rzadko. Po trzeźwemu był dobry, łagodny i krotochwilny. Majstrowa musiała też być bardzo rozzłoszczona, jeśli którego w twarz chlasnęła, a choć i mnie to nie minęło, lubiła mnie trochę i chętnie się mną posługiwała. Chodziłem za nią z koszykiem na targi, a nieraz nawet sam robiłem mniejsze zakupy. Gdy zaś majsterstwo ze swojemi kumotrami i kumami wybrali się na Saską Kępę, mnie zabierano do nstawiania samowara i usługi. Zazdrościli mi tego inni terminatorzy, bo przy takich uctach obrywało się kawałek kielbasy, a i z butelek wysaczyć było można trochę wódki i piwa.

II.

Było nas u majstra pięciu terminatorów, dla których urządzono w kącie kuźni oddzielne miejsce na spanie. Na półtora łokcia od sufitu był pokład, dostatecznie długi i szeroki, który opierał się na rusztowaniu drewnianem. Pod tym pokładem stawiano koła, wymagające kucia, na pokładzie zaś leżały nasze sienniki, do których dostawaliśmy się po drabinie. Nie można tu było zachować innej pozy, tylko leżącą, bo tuż nad głowami — deski sufitu.

Gdy Karolek dostał którego dnia od opiekunów więcej klapsów, a mniej chleba, niż zwykle, przychodził wieczorem do kuźni, wdrapywał się z trudnością na drabinę i na czworakach pętał do mego siennika. Obejmowałem go wtedy ramieniem i przytulałem do siebie. Zasypialiśmy

razem, bardzo szczęśliwi. Rano pomagałem mu ubierać się, aby wyszedł, zanim majster wejdzie do kuźni.

Zdawało mi się, że gdybym Karolka dostał w swoją wyłączną opiekę, gdyby majster pozwolił mu sypiać ze mną i dzielić się mojem jedzeniem, byłoby już wszystkim nam dobrze na świecie. Nie śmiałem się jednak odezwać: obawiałem się majstra, nawet wtedy, gdy śmiał się i był dobrym. Więcej śmiałości miałem do majstrowej i pewnego razu poprosiłem jej, ażebym mógł mieć Karolka przy sobie. Zbyła mnie byle czem, niewiele zważając na to, com mówił, i nie rozumiejąc, aby to było tak ważną rzeczą dla mnie.

Niedługo potem zaszła ważna zmiana w życiu Karolka. Opiekunka jego wyprowadziła się na drugi koniec Solca. Gdym się o tem dowiedział, zląkłem się zrazu, ale potem przyszła mi dobra myśl.

— Nie chodź z nimi — rzekłem mu.

I pozostał. Spał razem ze mną i karmiłem go, jak mogłem. Coś trzeciego dnia majstrowa zauważyła:

— A cóż ten dzieciak przylata tu z tak daleka?

— E! — odrzekłem — on nie przylata, on tu został, nie chcieli go wziąć.

Majstrowa zaczęła się nad nim litować:

— I cóż on robi teraz *sierota*?

— Żeby to pani majstrowa pozwoliła mu być przy mnie...

Pocałowałem ją w rękę i mrugnąłem na Karolka. Zrozumiał i pocałował ją także.

— Ale któż mu jeść da? — zapytała.

Obawiałem się, żeby o ten punkt nie rozbił się mój plan. Żeby więc uspokoić majstrową, iż żadnych ciężarów ponosić nie będzie, rzekłem wesoło:

— Walus (starszy brat) zapłaci za niego pracce, co w suterrenach mieszka.

Wprawdzie Walus nie mógłby tyle zapłacić, byłem

jednak pewny, że utrzymanie Karolka nie przyjdzie mi z trudnością. Chleba kupować nie potrzebowałem, bo u majstrowej (taki był zwyczaj) nie zamykano go: gdy kto był głodny, to krajał i jadł. Wtedy już posyłano mnie na miasto z odnoszeniem wykończonej roboty, a przy tem obrywało się niekiedy kilka kopiejek za fatygę. Było więc za co do chleba dokupić jaki dodatek. Gdy zaś zbrakło tego, posyłałem malca do siostry Marysi, skąd wracał wesoly i syty.

Tak więc Karolek pozostał przy mnie.

III.

Przez ten czas w kuźni zmieniło się nieco na lepsze dla mnie. Ponieważ jedni terminatorzy, wyzwajając się na czeladników, opuszczali nasz warsztat, a inni nowi, nie jeszcze nie umiejący, wstępowali, coraz więc było mi lepiej. Uczyłem się już teraz pilnie roboty i grubsze, a ważniejsze rzeczy od biedy sam potrafiłem odrobić. Kułem już konie podkować, którą sam wykępowałem, również mogłem, choć z trudnością, zrobić obręcz i naciągnąć ją na koło. Brakło mi jeszcze siły, chociaż, jak na lat 14, byłem dosyć mocny, i nie znajdowałem silacza, któryby równy był mi jednocześnie i siłą i wiekiem. Do kuchni już teraz nie zaglądałem, chyba zawołany do jedzenia; młodsi nosili za majstrową koszyki i torby. Tylko na Saską Kępę lub na Bielany zabierano mnie po dawnemu i z łask u majstrowej nie wypadałem. Lubila mnie ciągle, choć doprawdy nie wiem, czem na to zasłużyłem... chyba, żem sierotą wstąpił do terminu.

W. Kosiakiewicz,

współczesny dziennikarz i powieściopisarz.
(„Nasz Mały”).

Czy znasz bliżej jakiego terminatora? Czyja praca jest lżejsza ucznia w szkole czy terminatora? Jakich rzemiosł młodzież uczy się w terminie? Czy mogłaby się ich nauczyć prędzej i łatwiej? gdzie?

Co znaczą wyrazy: uczeń, terminator, czeladnik, majster, terminować, wyzwolić się?

23. Szopka.

Słońce w Wisłę się chyli,
Mrze niedzieli dzień świętej,
Chce uciechę familji
Zrobić majster Jacenty.
Miasto huczy i brzęczy,
Bo karnawał na świecie,
I sen złota i tęczy
Jacentemu się plecie.

Wspomnił lata dziecięce,
Wspomnił dawne zwyczaje,
Serce bije goręcej,
A w żrenicach łza staje.
Próżno duszy wezbranie
Obojętną kryć maską,
I Jacenty, mospanie,
Woła szopkę warszawską.

W dużej izbie rodzina
Siadła społem pod ścianą,
Zacny majster wziął syna,
Swą latorośl kochaną.
Tuż majstrowa z córkami,
Babka stara i siwa.
—Kasiu, pójdźno, siadź z na-
Niech i sługa używa. mi,

Już przybyli szopkarze,
Już się szopka zaczyna:
Zaraz śmierć się pokaże,
Co królowi łeb ścina.
Ot, Krakowiak wywija,
Błyszczy świetnym sukma-
Ot, uroczą lilią, nem!
Małgorzatka z ułanem!

Dziatwa klaszcze radośnie,
Zachwycona z widoku;
Jacentemu pierś rośnie,
I łza srebrzy się w oku.
Babka patrzy i mruga
Zmęczonemi oczyma...
A pieśń płynie, jak struga,
Na uwięzi myśl trzyma.

Aż gdy śmierć się z Herodem
Załatwiła nareszcie,
Z torbą, jakby z niewodem,
Wyszedł dziadek po kweście.
Pan Jacenty, człek znany,
Sypnął suto „co łaska“:
— Naści, dziadku kochany,
Wiwat, szopka warszawska!

Or-Or.

Czy widziałeś kiedy szopkę? Co w niej stanowi najważniejsze przedstawienie? Co malują inne sceny? Czy wiesz, skąd powstała szopka? Dawniej nazywano to *jaselka*; chłopcy sami odgrywali je w kościele.

24. Przyjaciele robotnicy.

(Uwagi ojca w kajecie syna).

...Dlaczego, Henryku: „Już nigdy“!? Przecież to będzie zależało od ciebie. Gdy skończysz czwartą klasę swojej szkoły, pójdziesz do gimnazjum, a oni zaczną pracować; prawda. Ale będziecie w jednym mieście, być może przez długie lata.

Więc dlaczegożbyście się widywać nie mieli? Kiedy wstąpisz do uniwersytetu, albo do liceum, będziesz ich odwiedzał w ich sklepach, w ich warsztatach, i zobaczysz, jak ci będzie miło mieć przyjaciół i towarzyszy lat dziecięcych między ludźmi pracy.

Czyżbyś nie pobiegł do Coretti'ego, do Precossi'ego, gdziekolwiekby byli? Pobiegiesz nieraz, spędzisz niejedną godzinę wraz z nimi i zobaczysz, poznawszy świat i życie — ile od tych dawnych kolegów będziesz mógł nauczyć się takich rzeczy, których nikt inny nauczyćby cię nie potrafił. I o ich rzemiosłach, i o ich stanie społecznym, i o twoim własnym kraju.

I to jeszcze uważ, że gdybyś tych przyjaźni zachować nie umiał, to byłoby ci niezmiernie trudno zawrzeć w przyszłości podobne przyjaźni, t. j. poza klasą towarzyską, do której należysz. Człowiek zaś, który tylko w zakresie swojej klasy czyli sfery żyje, podobny jest do tego, kto umie czytać z jednej tylko książki.

Postanówże zaraz, mój chłopcze, dotrzymać przyjaźni swoim towarzyszom szkolnym i wtedy także, kiedy się rozłączycie, i odrazu zacznij wyróżniać tych przyjaciół właśnie dlatego, że są dziećmi robotników.

Widzisz, to tak: ludzie, należący do klas wyższych, są jakby oficerami, a robotnicy jakby żołnierzami wielkiej armji narodowej. Ale tak samo w społeczeństwie, jak i w wojsku: żołnierz nie jest mniej godnym, niżeli oficer;

bo godność w pracy leży, a nie w zapłacie, i leży w wartości, a nie w stopniu. Owszem, jest prawie coś godniejszego tak w żołnierzu, jak i w robotniku, którzy, ciężiej pracując, mniejszy zysk odnoszą. Kochaj więc ich nad innych kolegów, szanuj synów wielkiej armji pracowników, uczcij w nich trudy i ciężką dolę ich rodziców! Wzgarz różnicami klas i stanów, podług których nizezemni ty stopniują grzeczność swoją i uczucia swoje; pamiętaj, że ta krew błogosławiona, która ci odrodziła ojczyznę, wypłynęła wszystka niemal z żył robotników, pracujących w polach i przy warsztatach.

Kochaj Garrone'a, kochaj Precossi'ego, kochaj małego Coretti'ego, kochaj twojego „mularczyka“, bo oni w swoich piersiach małych robotników mają książęce serca, i niech żadna odmiana losu nie wydrze ci z duszy tych świętych dziecięcych przyjaźni.

I pomyśl: jeśli po latach czterdziestu, przechodząc koło jakiejś stacji kolei żelaznej, poznasz w bluzie maszynisty dawnego Garronne'a, z czarną od dymu twarzą... czyż nie skoczysz na maszynę, nie zarzucisz mu rąk na szyję, choćbyś był senatorem państwa?

Edmund Amicis.

(„Serce“).

Co ludzi naprawdę różni między sobą: czy sfera, w której się urodzili, czy uczucia i charakter? Jeżeli jesteś kupcem, urzędnikiem ziemianinem, czy bliższym ci jest wieśniak lub rzemieślnik Polak, czy kupiec, urzędnik lub ziemianin cudzoziemiec? Czy więcej cenisz szła chetnego robotnika, czy bogacza samoluba? Czy masz przyjaciół z innych klas społecznych?

Wszelką uczciwą pracę z głębi serca szanować należy.

25. Przytułek noclegowy.

Czy byliście kiedy w domu noclegowym, wy, młodzi czytelnicy? Jabym was wszystkich zaprowadzić tam chcia-

ła, pokazać ten przybytek prawdziwej nędzy, bo pewna jestem, że na całe życie zachowalibyście jego wspomnienie.

Wielkie cztery sale mieszczą około trzystu osób. Pomyślcie: trzysta osób nie ma własnego dachu, a domów noclegowych jest w Warszawie cztery i zawsze są przepełnione.

Wejźdźmy na lewo. Jest już późno, godzina jedenasta, przytułek pełny. Rzędami na ziemi, na gołej ziemi, leżą szeregi mężczyzn. Ostrożnie stąpajmy, bo jest ich tylu, że się pod ścianami pomieścić nie mogą; możemy nadeptać tych, którzy leżą na przejściu. Są między nimi zbrodniarze, są nałogowi pijacy, — ale ileż jest kalek, nieszczęśliwych, wydziedziczonych, iluż miało niegdyś dostatek, rodzinę? Dziś w przytułku szukać muszą schronienia.

Bywają między tym tłumem i młodzi, żądni nauki, i starzy, którzy, goniąc za ideałem, nie zdobyli chleba, i chłopcy w waszym wieku, których tu zapędziła nędza lub próżniactwo.

Chodźmy na prawo: to sala kobiet. Jakież ich mnóstwo! Ach, jakież biedne te staruszki, których zbolale ciało leżeć musi na gołej podłodze! Uważajcie: bez żadnej pościeli, bez odrobiny słomy.

Słyszycie: tu płaczą dzieci, więc są tu i matki. Tak, są, bywa ich nawet dużo. Matki, które dla małych nie mają kołyski, ani poduszeczki, nie, coby podłożyć mogły pod wychudzone ciała.

Widziałam między temi kobietami matkę, która karmiła dwoje bliźniąt.

Pomyślcie, och, pomyślcie, młodzi i szczęśliwi, o tej nędzy!

A jednak przytułek jest dobrodziejstwem. Za osiem groszy dostaje tu każdy biedak kubek herbaty, kawałek

chleba i prawo do przebycia nocy w ogrzonym pokoju. I może tu ukryć swą niedolę, bo nikt nie pyta go o nazwisko. A szkoda, że tych nazwisk wymienić wam nie mogę, znaleźlibyście między niemi dużo takich, które w herbarzu Niesiecki¹⁾ wspomina. Stary, wytarty szal, cienka bielizna, schludny wygląd — zdradzają czasem przeszłość dostatnią, może świetną, ale to przebłyśki, przy których dzień obecny jeszcze straszniej się odbija. Czy znajdą się serca, któreby z tego przybytku nędzy, upadku, próżniactwa wyławiały dzieci, potrzebujące opieki, matki, przeciążone obowiązkami nad siły, starców, których przeszłość karty dziejowej zasługi w wspomnieniach swych mieści?

A jednak ci najnędzniejsi i ci wydziedziczeni mają jaśniejszy dzień w roku.

Takim dniem jest dzień wigilijny Bożego Narodzenia. W przytulkach noclegowych zapalono także wigilijne drzewko dla tłumu nędzy, który odnajduje w tej uroczystości wspomnienia lepszych chwil i szlachetnieje może tem wspomnieniem.

Znalazły się może własnym bólem złamane serca, może osierococone i pozbawione pociech wigilijnej wieczery, które tę wigilję poszły dzielić z nędzarzami w przytulku. To ludzie dobrej woli łamali się oplatkiem z trzystu takimi, którzy, prócz łachmanów, nie mają nic: — ani dachu, ani nawet sprzętu żadnego.

Zofja Bukowiecka,
autorka współczesna
(„Dzieci Warszawy”).

Czy człowiek, który ma rozum i serce, może żyć spokojnie, szczęśliwie, bez troski, nic nie robiąc dla nędzy i nieszczęścia?

Wytłumacz przysłowie: „Długo radź, prędko czyń”.

¹⁾ Autor historii wielu rodów szlacheckich, czyli heraldyki.

26. Święta toga.

(Legenda).

Jak zakonowi był Jan Kanty wierny,
Tak był dla nędzy ludzkiej miłosierny.
Raz, gdy z kolegum spieszył do kościoła,
Mróz był straszliwy; patrzy: człowiek leży,
Skostniały wszystek, prawie bez odzieży,
Siność twarz całą obeszła od czoła.
Strapił się Kanty, — nie było nikogo,
A więc zziębłego, co leżał nad drogą,
Jak mógł, otulił własną swoją toga.
A gdy mszę cichą w kościele odprawił
Na tę intencję zziębłego żebraka,
Uprosił ludzi, by znieśli biedaka.
Ale Bóg cudem dla Kantego sprawił,
Że gdy w to miejsce spojrział ponad drogą,
Miejsce na śniegu znacznie odtajało,
Lecz na ulicy nie było nikogo:
Znać ktoś go podjął — i dobrze się stało.
Lecz, gdy Jan Kanty do swej celi wrócił,
Toga wisiała w swem miejscu na ścianie.
To się zatrwożył zrazu i zasmucił...
I wielkie było ludzi zadziwienie:
Bo cela była pod kluczem zamknięta,
To skąd się wzięła w celi toga święta?
Po dziś dzień jeszcze ta toga się chowa
U świętej Anny, i w dziejach Krakowa
Słynie łaskami. I był zwyczaj stary,
Kiedy po Kantym obrano dziekana,
To po wyborze i mszy świętej, zrana
Odwieczną togę na niego wkładano,
Aby Duch Święty zlał na niego dary,
Jakie Jan Kanty dał szkole na wiano.

Wskazują jeszcze miejsca na ulicy,
W których mąż Boży w miłosierdziu stawał,
I gdzie spotkawszy bosego człowieka,
Własne obuwie bez namysłu dawał;
Więc i oddawszy, pośpiesznie ucieka,
Nagie swe stopy przysłoniwszy toga
Aby to jeszcze nie zgorszyło kogo;
Bo się to działo w zimie i po śniegu;
I wtedy tylko widziano go w biegu.
I lata biegły, i rosła nie złota
W cichem ukryciu świętego żywota.

Wincenty Pol.

Św. Jan Kanty, profesor Akademii krakowskiej, słynął z miłosierdzia i pobożności.

Utwór wierszem lub prozą, opowiadający o zdarzeniach nadzwyczajnych, które się dzieją za sprawą Boga lub świętych, nazywa się legendą.

27. Zdarzenie prawdziwe.

Pewien lekarz wracał raz od chorego robotnika smutny i zamyślony. Nie spostrzegł nawet, że szedł pustą i źle oświetloną ulicą, co sięga już okopów.

Nagle uczuł, że ktoś go chwyta za rękę. Nie miał nawet kija, a zaczepiającym był silny, wyższy od niego mężczyzna.

— Obedrze mnie — pomyślał i przeliczył w pamięci pieniądze, wraz z wartością złotego zegarka.

— Czego chcesz? — zapytał jednak ostro, bo chciał nadrobić miną.

— Głodny jestem — odpowiedział pokornie nieznajomy, — puszczono mnie wczoraj tu z tego więzienia, nie mogłem znaleźć żadnej roboty. Zlituj się, panie, daj na chleb, bo inaczej będę musiał ukraść znowu.

Doktor odpiął palto i wyjął pugilares. Z mimowolnym jednak niedowierzaniem spojrzał na nieznajomego: sądził, że skorzysta z tej chwili, żeby mu wydrzeć pieniądze.

Biedak może odczuł myśl doktora, bo odsunął się o kilka kroków.

Na ulicy było wciąż pusto. Zdaleka tylko migotały światła w oknach więzienia, które lud zwykle Pawiakiem zowie.

Lekarz, zawstydzony niesłusznym posądzeniem biedaka, wręczył mu rubla.

— Gdyby taki, jak pan, był się znalazł wtedy, kiedy kradłem po raz pierwszy, nie byłbym złodziejem.

W głosie nędzarza drżały łzy.

— Co teraz myślisz robić z sobą? — zapytał doktor.

— Szukać roboty; za tego rubla kupię chleba i siekiere. Z siekierą znajdę zarobek przy galarach na Wiśle.

— Nie potrzebujesz więc pomocy?

— Nie, niech ją pan da takim, jak ja, którzy, wychodząc stąd, stają się znów złodziejami z głodu.

Wskazał na Pawiak i odszedł w stronę Powązek. Doktor popatrzał za nim, potem wolnym krokiem minął więzienie i dążył do miasta.

Pilno mu było uciec z pod tych ścian, poza którymi mieściło się tyle występków i tyle łez.

A ludzie nie zrobili nic dla wyrzutków, które po odsiedzeniu kary wracają do społeczeństwa.

Kainy, prawda. Winni, prawda. Ale między nimi może być głodny, co ukraść chleb dla dzieci; może być nawrócony, który chciałby odzyskać straconą godność. Czyż nie znajdzie się nikt, ktoby powołał szlachetnie myślących ludzi do czuwania nad wychodzącymi z więzienia?

Zofja Bukowiecka.

(„Dzieci Warszawy”).

Obowiązkiem oświeconych czuwać i pracować nad ciemnymi, nie dopuszczać do występku, dostarczając im możliwości pracy, oświaty, rozrywki szlachetnej.

„Chcesz drugich poprawiać, przyjrzyj się wpierw sobie, czy do poprawienia niema czego w tobie”.

28. Za służbą.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,

I stanęło spokojne u progu —

Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,

Żłotowłose, w twarzy żółte szpetnie,

Oczka żywe, choć pół płaczu w mince.

Wnet ją ujrzał anioł mego domu.

— Co chcesz, dziecię moje?

— Sława Bogu!

— Na wiek wieków. Co chcesz, dziecię moje?

— Ta za służbą... O pies! ja się boję!

— Pies ten złego nie robi nikomu,

— Chodź tu bliżej. A czyjaś ty?

— Ta niczyja.

— A gdzież matka?

— Zmarła maty.

— A gdzież ojciec?

— Ojciec w karczmie siedzi.

— Cóż ty robisz?

— Żywią mnie sąsiedzi,

Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;

W zimie często do pierza posadzą,

Teraz nie... Ot, człowiek bieduje...

— Jaki człowiek?

— Ta ja, pani miła,

Złe na wierzchu ziemi być sierotą —

Ciężkie życie — lepiej, gdzie mogiła,

Tam, gdzie matka...

— O, moje ty złoto!

Takie małe, tak mówi rozumnie —

To ty, dziecię, ty chcesz służyć u mnie?

Cóż ty umiesz?

— Ta chatę zamiatać,

Wody przynieść...

— Figle umiesz płać?

Ono myśli długo: — Także umiem,

A i gęsi ludzkie paść rozumiem...

— Czyś ty głodna?

— O, o, bardzo głodna!

*

*

*

O, ty ziemio polska! ty zawodna!

O, ty ziemio polska! tak bogata,

Że wyżywić mogłabyś pół świata,

A dla własnych dzieci nie masz chleba!...

Bujne twoje łąki, żyzne niwy,

Zawsze pełne rosy twoje nieba,

A podobnaś do popiołów urny,

I twój naród chodzi smutny, chmurny,

Często grzeszy, ach! bo nieszczęśliwy.

O, ty ziemio polska! ty zawodna!

Taka strojna licem i swobodna —

Grzybne twoje lasy, wody hojne,

Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,

A dla większej części swego rodu

O! nie owoców już, ani miodu,

Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź, mój synu,

Powitajcie tę siostrzyczkę waszą;

Ta, co zmarła, równie była małą.

Niech was plamy w koszulce nie straszą,

Bo, jak wasze, białem jest jej ciało;

No, rączkami twarz jej poglaskajcie,

Ale najprzód jeść — o, jeść jej dajcie!

Kornel Ujejski.

poeta polski, umarł we Lwowie w r. 1897.

29. Miłość bliźniego.

Piękny wzór prawdziwej miłości bliźniego daje nam święty Wincenty à Paulo.

Razu pewnego spotkał znajomą staruszkę, której twarz blada i wielkie cierpienie, malujące się w oczach, zwróciły jego uwagę.

— Cóż wam to, matko Le Brun? — zapytał z litością. — Czy spotkało was jakie nieszczęście?

Wtedy staruszka ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła ciężkim, długim płaczem. Bo też dotknął ją cios okropny. Jedyny syn jej, którego św. Wincenty znał dobrze, człowiek młody, pracowity i uczciwy, lecz gwałtowny i nie umiejący panować nad sobą, zabił w kłótni przeciwnika i skazany został na dziesięć lat ciężkich robót na galeryach¹⁾.

Św. Wincenty usiłował ją pocieszyć, że dziesięć lat niedługo upłynie, że za winę odpokutować zawsze trzeba, lecz w głębi duszy żal mu było nieszczęśliwego. Wiedział, że dla niego wyrzuty sumienia będą już ciężką karą, wiedział, że rozmyślnie nigdy nie popełniłby zabójstwa i że myśl o rodzinie, którą zostawił bez chleba, cięższą jeszcze dla niego musi być pokutą.

A tymczasem staruszka z płaczem opowiadała o wypadku i wskazywała statek w pobliższej przystani, gdzie jej syn wśród zbrodniarzy pracował okuty w kajdany.

Św. Wincenty przyrzekł jej nakoniec wstawić się za nieszczęśliwym i prosić zwierzchności o złagodzenie kary, a pożegnawszy staruszkę, udał się niezwłocznie do komendanta galer.

Pobożnego kapłana znano w mieście i szanowano, gdyż słynął z miłosierdzia i dobrych uczynków. Nie zdi-

wiło to też komendanta, że prosił o pozwolenie odwiedzenia Jakóba Le Brun.

— Wprawdzie do galerników nikt nie ma dostępu — rzekł urzędnik — wam jednak nie mogę odmówić pozwolenia.

Gdy zobaczył pracującego w ciężkich okowach Jakóba, zbliżył się do niego i pozdrowił go życzliwie:

— Jak się masz, przyjacielu Jakóbie.

— Przyjacielu? — powtórzył galernik z goryczą — czyż mam jeszcze przyjaciół?

— Widzisz mię przecie — rzekł św. Wincenty — przyszedłem cię uwolnić.

— Uwolnić? Jakim sposobem?

— Bardzo łatwym: weź swoje suknie i odejdz, zostanę na twojem miejscu. Nikt nie zwróci na to uwagi, bo dozorcóm o liczbę więźniów chodzi, a nie o ich osoby.

Nieszczęśliwy Jakób uszom wierzyć nie chciał, — patrzył na księdza, pot wystąpił mu na czoło, głosu wydobyć nie mógł.

— Nie, nie — szepnął nareszcie, opierając się pokusie — to byłoby gorszą zbrodnią. Być tu więźniem gorzej, niż utracić życie.

— Zastanów się — rzekł kapłan — że masz pięcioro dzieci, które zginą z głodu i nędzy. Jam samotny na świecie, służę Bogu, — tu czy tam — wszystko mi jedno. Może mię Bóg tu posłał, abym wśród tych nieszczęśliwych głosił Jego naukę. Ty idź w pokoju i służ w miłości braćiom swoim.

— Nie mogę, nie mogę! — powtórzył jeszcze Jakób.

Ale św. Wincenty, korzystając z mroku, szybko zarzucił mu swój habit, sam wziął topór do ręki i schylił się nad pracą. Jakób sam nie wiedział prawie, jakim sposobem znalazł się znów na wolności.

¹⁾ Galery — statki duże, na których pracują zbrodniarze.

W kilka tygodni potem zaczęto mówić w mieście o zniknięciu znanego wszystkim pobożnego księdza. Poszukiwano go wszędzie, badano ludzi, którzy coś o nim wiedzieli.

Nagle komendant galer przypomniał sobie odwiedzi-ny św. Wincentego i natychmiast domyślił się prawdy. Znalaziono go rzeczywiście na statku, pracującego gorliwie pod palącymi promieniami słońca. Naturalnie, że został uwolniony, ale do końca życia nosił ślady kajdan na ręku.

Czy wielu ludzi byłoby zdolnych do takiej miłości bliźniego? Jak taki czyn nazwać można? Daj przykład spełnienia trudnego obowiązku, poświęcenia i bohaterstwa.

30. Przypowieść o talentach.

Podobne jest królestwo niebieskie panu, odjeżdżającemu w daleką podróż, który, wezwawszy sługi swoje, rozdał im majątność swoją, dawszy jednemu pięć talentów¹⁾, drugiemu dwa, trzeciemu jeden. A który był wziął pięć talentów, robił nimi i zyskał drugie pięć; również i ten, który wziął dwa, zyskał drugie dwa; lecz ten, który dostał jeden, poszedł i zakopał go w ziemi. Gdy pan powrócił, przystąpił ten, który wziął pięć talentów, mówiąc:—Otom drugie pięć zyskał.—Rzekł mu pan jego:—Dobrze, sługo dobry, gdy wiernym byłeś nad małym, nad wielką cię postawię; wnijdź do wesela pana swego. To samo się stało ze sługą, który wziął dwa talenty. A gdy przystąpił ten, który był jeden talent wziął, rzekł pan: — Sługo zły i gnuśny, weźmijcie od niego talent dajcie temu, który ma dzisiaj talentów, a niepożytecznego sługę wrzucicie do ciemności.

Ks. Serwatowski.

¹⁾ Talent — moneta starożytna, wartości około 60 funtów srebra.

Co należy rozumieć przez „talenty“, które Pan powierza swym sługom do dobrego spożytkowania? Czy można za taki talent uważać zdrowie, siły, rozum, naukę, dostatek, władzę i t. p.? Co ma oznaczać zakopanie talentu w ziemi? Jak powinniśmy naszych talentów używać?

31. Chrystus z nami.

Łódź gibka na modrem jeziorze usiadła,
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła;
Płynęli łagodnie wietrzykiem owiani,
Aż fala zahuczy, wełnami bałwani;
To wody się nagle podniosą, to zwiną
I z łodzią igrają, jak z wątlą łupiną.

Więc ucznie się zlekli i w okropnej chwili
Uśpionego Mistrza z przestachem budzili.
— Ach, ratuj nas, Rabbi! — wołali ze łzami.
A Chrystus: — O słabi! wszakże jestem z wami. —
I kazał się burzy uciszyć, — opadła,
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła.

O duszo chrześcijańska! gdy burza szalona
Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
To rozpacz odepchnij świętymi piersiami
I spojrzysz spokojnie, bo — Chrystus jest z nami.

Antoni Czajkowski.

Jakie uczucie ten wiersz wypowiada?

32. Kamienie wyklęte.

(Legenda bretońska).

I. Była to Wigilja Bożego Narodzenia. Wiadomo, że w taką noc woły mogą się odzywać głosem ludzkim...

a mówią ludzie, że dlatego się to dzieje, ponieważ te zwierzęta były świadkami Narodzenia Chrystusa Pana.

W owym czasie tulał się po tutejszej okolicy żebrak, zwany Plankoet.

Ten człowiek, jak mówiono, nie był ani Żydem, ani chrześcijaninem, nigdy nie widziano go wchodzącego do kościoła i dziwne o nim obiegały wieści. Utrzymywano, że umie rzucać uroki na ludzi i na bydło, że potrafi zsuszyć zboże na pnju, opróżnić orzechy z ziarna, zmrozić winne grona, skwasić wino w kadziach, stopić sól, przemieniać wszystkie pszczoły na trutnie i odjąć mleko krowom. A co najgłówniejsza, byli tacy, którzy twierdzili, że ów żebrak, jak tylko zechce, może się przemienić w gobelina¹⁾.

Owóz ten niedowiarek wiedział, tak jak i wszyscy w okolicy, że co sto lat wyklęte kamienie z tej góry chodzą napoić się do morza, i że podczas kiedy piją, skarby, które się kryją pod nimi, pozostają jawnymi dla każdego przechodzącego tamtędy, i dostępnymi dla lada śmialka, który po nie sięgnąć się odważy. Jednakowoż takiemu śmialkowi wielkie grozi niebezpieczeństwo, bo kamienie wyklęte, napoiwszy się w morzu, powracają na swoje miejsca, i to tak szybko, że przygniatają zwykle tych, którzy podczas ich nieobecności odważyli się sięgnąć po skarby. Istnieje jednak jeden sposób ustrzeżenia się od nich: należy im dać na pastwę jaką chrześcijańską duszę, a przytem trzymać w ręku kwiat paproci; każdemu zaś wiadomo, jak trudny jest taki kwiat do znalezienia. Ale Plankoet znalazł już był ten kwiat, brakło mu tylko duszy chrześcijańskiej, i w tym zamiarze wpadł mu jakoś w oko mój pradziadek Piotr Bernez.

Poszedł więc Plankoet odwiedzić mojego pradziadka w wigilję Wigilji Bożego Narodzenia.

¹⁾ Gobelina albo wilkołaka — człowiek, który może, ile razy zechce, przybrać kształty zwierzęcia.

— Pojutrze — rzekł — wypada czas, w którym kamienie wyklęte mają iść napoić się w morzu. Czy chcesz, ażebyśmy poszli razem w celu wykradzenia skarbów, które znajdują się pod nimi?

— A czy masz paproć? — zapytał mój dziadek.

— Naturalnie, że mam.

— Ale wiesz przecie, że oprócz tego potrzeba im dać na pastwę duszę chrześcijańską? — mówił dalej mój pradziadek.

— O, to znowu nie jest tak koniecznie potrzebne — rzekł Plankoet, który umyślił był sobie poświęcić w ofierze mojego pradziadka. — Zwykle się zdarza, że one, powracając, przytłoczą kogoś, a więc zawsze znajdują sobie duszę.

— To ma znaczyć — rzekł Bernez — że, ażeby pojąć skarby tych wyklętych kamieni, ty pragniesz szatanowi iść na służbę. Ale ja wolę się trzymać Pana Boga, i zobaczymy, kto wygra.

— A jakże sobie poradzisz? — zapytał go Plankoet.

— Pójdź ze mną — rzekł pradziadek — a zobaczysz.

To powiedziawszy, wziął młot i dłuto i udał się ku górcom. Przybywszy tam, wybrał największy i najgrubszy z kamieni, przyłożył do niego dłuto i, bijąc młotkiem, począł w nim krzyż żłobić. Widząc to Plankoet począł się śmiać, ale to tak głośno, że echa okoliczne powtarzały śmiech jego, i zdawało się, że wszystkie kamienie wyklęte śmieją się także. Ale pradziadek, nie zważając na to, kończył dalej swoje dzieło. I kiedy krzyż był gotów, rzekł do Plankoeta:

— A więc jutro o północy.

— Jutro o północy — odpowiedział Plankoet.

II. Nazajutrz (byłato właśnie Wigilja Bożego Narodzenia) obaj trochę przed północą spotkali się u stóp góry. Plankoet niósł z sobą jakie dwanaście sporych sakw, zawieszonych naokoło pasa, a pradziadek mój miał

65

w rękę poświęconą gałązkę palmową, którą w Kwietnią Niedzielę wyniósł był z kościoła. I obaj zaczęli wchodzić na górę.

— Cóż myślisz zrobić z nabytymi skarbami? — zapytał Plankoet, ciesząc się już z góry z pomyslnego skutku zamierzonego przedsięwzięcia.

— Udzielę ich ojcu, matce, braciom i siostram.

— A dalej?...

— Dalej... wybuduję piękny kościół dla Pana Boga.

— A dalej jeszcze?...

— Dalej... no. i cóż?... dalej... będę rozdawał pieniądze tym wszystkim, co mnie o to poproszą. — Ale teraz ty mi powiedz, Plankoecie, co zamierzasz z swoimi skarbami uczynić?

— Zachowam je w wielkich skrzyniach i codziennie będę przerachowywał.

— A dalej? — zapytał pradiadek.

— Dalej... każę sobie piękny pałac postawić.

— A dalej jeszcze?...

— Dalej... dalej... będę pokazywał te pieniądze wszystkim tym, którzy mnie prosić będą o wsparcie, ale nie dam im ani grosza, żeby pozdychali z zawiści.

Tak rozmawiając, przybyli wreszcie na szczyt góry. I jak raz w tej chwili nadeszła północ, a obaj śmiałkowie usłyszeli nagle wielki huk i łoskot, jak gdyby ogromnych głazów. uderzających o siebie i roztrącających się na sztuki. Były to kamienie wyklęte, które biegły napoić się w morzu. Bernez i Plankoet zobaczyli je tuż obok, staczające się z góry, a czyniły to one tak szybko, iż widocznem było, jak wielkie pragnienie im dokucza. Kiedy wreszcie ostatni kamień przeleciał, Plankoet i mój pradiadek zbliżyli się do miejsc, które zajmowały przed chwilą, i stanęli w osłupieniu. Było tam co niemiara złota, srebra, drogich kamieni i Bóg wie jakich skarbów. Bernez upadł na kolana i począł dziękować Bogu, że takie skarby oddał mu do

rozporządzenia, ale Plankoet, nie tracąc czasu, począł napelniać sakwy i to tak szybko, że zadyszał się cały, co mu jednak nie przeszkadzało śmiać się z mojego pradziadka, który nie wziął był żadnego worka ani naczynia.

Ale mój pradiadek, pomodliwszy się, podniósł się także i zaczął nabierać złota do kieszeni, kiedy nagle straszny hałas dał się słyszeć. Były to kamienie wyklęte, które, napoiwszy się do syta, wracały na swoje miejsca, łamiąc i druzgocząc wszystko po drodze.

— Nogi za pas! — zawołał Plankoet, cofając się na bok i wystawiając naprzód rękę, w której trzymał paproć.

Mój pradiad tak się zląkł, że ze strachu zapomniał nawet wyjąć z za pazuchy poświęconą palmową gałązkę, a widząc kamienie toczące się na niego całą masą, rzucił się na kolana, polecając duszę Bogu, bo zdawało mu się, że to już ostatnia jego godzina... I widział, jak kamienie ustępowały na jedną i na drugą stronę przed czarodziejskiem zieleń, które Plankoet trzymał w ręku, a wszystko się ku niemu waliło z hałasem. Ale w tej chwili, kiedy ten z kamieni, który biegł na przedzie, miał już uderzyć o niego, jakiś ogromny glaz, gruby a wysoki, stanął pomiędzy nim a napastnikami, odtrącając ich na stronę. Spojrzał pradiadek i spostrzegł, że to ten sam kamień, na którym był krzyż wyłobit.

Zwolna wyklęte glazy pozajmowały swoje dawne miejsca, więc też i kamień z krzyżem. wypełniwszy swoją powinność, począł się toczyć ku odwiecznemu łożysku; ale w drodze napotkał Plankoeta, który stał z wystawioną naprzód paprocią. Ponieważ jednak ziółko czarnoksiężskie nad kamieniem z krzyżem żadnej władzy nie miało, a nawet owszem, glaz ten, jako świeżo znakiem świętym opatrzone, miał wstręt do wszelkiego szataństwa, więc niby nie widząc czarownika, potracił go tak silnie, że ten bez życia padł na miejscu. A pradiadek mój, odziedziczywszy

po nim sakwy i wielkie skarby, został bardzo bogatym, wymurował, jako był przyrzekł, kościół dla Pana Boga, a z reszty wraz z rodziną żył długo, swobodny i szczęśliwy.

Wacław Szymanowski,
pisarz polski z drugiej połowy XIX w
(„Obrazki z życia znakomitych ludzi”).

Gdzie leży Bretanja? Nad jakim morzem? Czy w kraju, w którym niema gór ani morza, mogła powstać taka legenda? Czy w innych baśniach i legendach spotykamy martwe przedmioty, obdarzone życiem? Przypomnij sobie baśń albo legendę, w której natura żyje, czuje, mówi, działa. Co to znaczy: „Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął”?

33. Faryzeusz¹⁾ i celnik²⁾.

Do niektórych, co przez zarozumiałość mieli się za sprawiedliwych i innymi pogardzali, zastosował Jezus następujące podobieństwo:

„Jeden faryzeusz a drugi celnik weszli raz do kościoła, aby się pomodlić. Faryzeusz tak się modlił: — O Boże, dziękuję Ci, że nie jestem, jako inni ludzie, rozbójnikiem, niesprawiedliwym, ani też takim, jak ów celnik. Poszczę dwakroć w tydzień i oddaję dziesięcinę ze wszystkiego co posiadam. — Celnik zaś stał z daleka, bił się w piersi i mówił: — Boże, bądź miłosierny mnie grzesznemu! — Powiadam wam, że ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego, ów zaś nie; albowiem kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się poniża, będzie wywyższon“.

Ks. Serwatowski.

Jacy ludzie są podobni do celnika, a jacy do faryzeusza?

¹⁾ *Faryzeusz* — uczony żydowski, biegły w Piśmie Świętem.

²⁾ *Celnik* — urzędnik, pobierający cło. Cło — opłata za towary, wchodzące do kraju.

34. Omyłka, błąd i fałsz.

Pewien sędziwy Arab miał trzech synów. Czując się blizkim zgonu, chciał jednemu z nich zostawić mienie i błogosławieństwo, dwom pozostałym zaś pewną część trzód swoich. Zwyczaj odwieczny w jego rodzinie kazał majątność oddać nie najstarszemu, lecz najgodniejszemu. Ale jakże odgadnąć, który najgodniejszy? Serce ojcowskie wszystkich trzech zarówno miłowało.

Postanowił przeto starzec odbyć pielgrzymkę do Mekki¹⁾ i w gorącej modlitwie u grobu proroka prosić o natchnienie. Przed wyjazdem przywołał synów, uwiadomiwszy ich o swoim zamiarze.

— Tobie, Ali — rzekł, zwracając się do najstarszego — oddaję pieczę nad całym mojem mieniem do mego powrotu; mam nadzieję, że, wróciwszy, zastanę wszystko w należytym porządku. Tobie, Achmecie, powierzam mych biednych; jedni co tydzień dostają jałmużnę, innym rozdawałem codziennie, innych ze stołu mojego żywiłem; wiesz o nich, zastąp mnie. Sądzę, iż nieobecności mej tutaj nie uczują.

Ty najmłodszy jesteś, Osmanie, tobie najłatwiejsze zadanie wybrałem. Znasz sługę mego, Jusufa, lat pięćdziesiąt spędził w mych usługach; niemoc złamała jego siły, choroba do łoża przykuła. Codziennie go odwiedzam i pocieszam starość jego, codzień noszę mu lekarstwo, które dla niego lekarz zostawił; przynosi mu ono ulgę w cierpieniach. Zastąp mnie przy nim, mój synu, a Allah trud twój nagrodzi.

Poczem wyjechał starzec. Czekano go długo, bardzo długo. Wreszcie powrócił i znowu do siebie przywołał synów:

¹⁾ Mekka — święte miasto dla Mahometan, miejsce urodzenia Mahometa.

— Ojcie — odrzekł zapytany o stan majątku Ali — mienie twoje w dobrym stanie; pomnożyłem nawet twoje trzody. Pewnego poranku przybłąkały się do nas cudze wielbłądy; kazałem je schwytać; przez miesiąc nikt nie żądał ich zwrotu. Po miesiącu przyszedł sługa jakiś i w imieniu pana swego o wielbłądy się upominał. Ale ich nie oddałem: pasły się na pastwiskach naszych,—nasze być po winny.

Achmet rzekł: — Biedni twoi zadowoleni; wszak sam widziałeś dziś, do domu się zbliżając, jak karmiłem biedną ciemną sierotę.

— Widziałem to dzisiaj — odparł starzec smutnie. — Ale wczoraj, gdy o staję stąd spoczywałem w gaju palmowym, ujrzałem, przez ciebie nie widziany, jak Nielitościwie odtrąciłeś kalekę, którego nieraz u stołu mego żywiłem.

Zbliżył się Osman nieśmiało:

— Najlżejszą mi dałeś pracę, ojcie, przecież i tej sprostać nie zdołałem. Codzień odwiedzałem wiernego sługę twego, żywność i leki mu nosiłem. Pewnego wieczora w mej obecności mocno zaniemógł; pobiegłem spiesźnie do namiotu twego po wiadome leki, lecz w pośpiechu i trwodze chwyciłem inną flaszę, a gdy plynem z niej chorego napoiłem, w godzinę życie zakończył. Wielki ucisk cierpi dusza moja, bo mozem śmierci winien starca tego.

Ojciec podumał chwilę.

— Dziś — rzekł wreszcie do synów — mam dać miennie moje i błogosławieństwo najgodniejszemu z was. Ty, Osmanie, będziesz spadkobiercą.

— On — który może winien śmierci człowieka? — zapytali zdziwieni bracia.

— On, bo popełnił tylko *omyłkę*. Ty, Ali, drugim jesteś w sercu mojem; przywłaszczyłeś sobie wprawdzie cudze dobro, ale nie wiedziałeś, iż źle czynisz. Popełniłeś *błąd* tylko. Ty, Achmecie, serce me głęboko zraniłeś: gdy

tylko sam Allah¹⁾ patrzył na ciebie, odtrąciłeś nieszczęśliwego, a tuliłeś do łona sierotę, gdy oczy moje na tobie spoczęły. Ty chciałeś mnie oszukać, *falszu* się dopuściłeś. Dla ciebie niema przebaczenia!

Wypisy Dygasińskiego.

35. Co jabym ci chciała dać?

Co jabym ci chciała dać?

Chciałabym ci dać, kochanie,
Pyszny pałac na mieszkanie,
Z kolumnami, kryształami,
Złocistemi wezgłowiami
I miękkimi kobiercami
Pod twe drobne stopy.

Co jabym ci chciała dać?

Chciałabym ci dać, kochanie,
Mały domek na mieszkanie,
Z okienkami zielonemi,
Z laweczkami brzoźowemi,
Z akacjami cienistemi
Na twe białe czoło.

Co jabym ci chciała dać?

Chciałabym ci dać, kochanie,
Szafir nieba na ubranie,
Promień słońca na wianeczek
I z gwiazdeczki pierścioneczek
Na twą śliczną rękę.

Co jabym ci chciała dać?

Chciałabym ci dać, kochanie,
Biały muślin na ubranie,

¹⁾ Allah — Bóg po turecku.

Wianek z chabru upleciony,
Krzyż, z olszynki wyrobiony,
I pierścione, poświęcony
W samej Częstochowie.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co tylko Boga stanie:
Wiare, niczem niewzruszoną,
Miłość, nigdy niezdradzoną,
I szczęśliwość wymarzoną,
A trwałą na wieki.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co biedną ziemię stanie:
Śmiech z próżności tego świata,
Pobłażanie na grzech brata
I modlitwę, co ulata
Ku niebu w złej doli.

Narcyza Żmichowska.

poetka polska w. XIX-go (1819—1876).

36. Wagi Ofira.

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemię jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru¹⁾. Miał 2,000 niewolników, nad nimi 100 ekonomów i włodarzy, i posiadał wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju, Nie widzieli już ludzie ówcześni tego miejsca, skąd przylatują i dokąd odlatują dusze, i wielu z nich przestało wie-

rzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie Jehowę¹⁾, siedzącego na tronie złotym, z jaspisowemi²⁾ kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) — wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikały. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały skarby doczesne, i ten, na którym były skarby wieczne — stały w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego, i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Pewnego dnia (miał Ofir już lat 120 i, chodząc, opierać się musiał na prawnukach) ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki ostatnich zbiorów.

Było 20,000 owiec, 10,000 bydła, 4,000 wielbłądów, 3,000 niewolników, 500 osłów, 100,000 miar ryżu, 10,000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl³⁾ wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i sierść zwierząt, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunał makaty, bogacz widział zdaleka ognie, zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A je-

¹⁾ Tygr, Tygrys — rzeka w Azji.

¹⁾ Jehowa — Bóg, stwórca i władca świata. ²⁾ Jaspis — rodzaj kwarcu zielonego. ³⁾ Sykl — moneta.

żeli który ustał, albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży, dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgimi batami od stóp do głowy. I całą noc słychać było w tamtej stronie turkot młynów, szczełk łańcuchów, chłostanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jaki niewolnik wyzionął ducha, a wtedy wagi jego zdejmowano z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunał makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał się na wierzch, a wtedy kleli go i potracali inni, że im spać nie daje. Czasem spadał który w obrzydłą wilgoć i — topiąc się, ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci, siedząc, rozmawiali o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś, co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie siedział wielki Jehowa z obliczem spokojnem, i patrzył daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

— Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?

Wtem zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: Wagi Ofira. Jeden ich talerz, ze „skarbami wiecznymi“, był tak lekki, że unosił się w górę aż tam, gdzie już nie było. Drugi talerz, ze „skarbami doczesnymi“, zdawał się wciąż pochylać nad zamysłonem czo-

łem Stwórey. Ile razy niewolnik jęknął, albo bat chlusnął, albo kobieta zapłakała — tyle razy talerz „skarbów doczesnych“ pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potrąca Przedwiecznego.

Bogacz struchlał i uczył straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego w tej chwili.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyludzie, i wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wejść nad ziemię z obawy, aby nie zobaczyć, jak Pana potrąca wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła, i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął, i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykapani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą...

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej zołędzi jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni: czy ich pan nie zwarjował? Ale gdy poczęto rozdawać im mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz „skarbów wiecznych“ — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do blizkiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten schwytał batożek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego kozaka, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto, zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt, rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotania.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary i bogacz stał się jak dziecko, które, przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy z ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony, spojrzął na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną, jak dziecko, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości, i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Bolesław Prus.

37. Ksiądz definitor¹⁾.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana;
Krzyżyk się wznosił na facyjacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie:
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny.
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi;
Wziął półwłócz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewijarza²⁾,
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę.
— Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojczyście!
I tak modlitwę szepecząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, później.

¹⁾ *Definitor* — radca zakonny.

²⁾ *Brewjarz* — zbiór modlitw do codziennego nabożeństwa kapłańskiego.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
 Jego przekosów¹⁾ nie znosi woda;
 Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
 Pewno dni kilka będzie pogoda.
 Z długich doświadczeń jego żywota
 Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:
 Drożyzna, pomór, pogoda, słońce —
 Książd definitor zawsze przepowie.
 I cóż dziwnego? Wszak jego oko
 Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
 Myśłami w niebo wsiąknął głęboko,
 Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
 Może mu nawet w samotnej celi
 I święci Pańscy coś poszepnęli.
 Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
 Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie;
 Rzekłbyś: — Apostoł! kiedy w niedzielę
 Prostemi słowy uczył owczarnię;
 Kiedy tłumaczył ze świętej księgi,
 Jak to pokorny Zbawiciel świata
 Składa majestat Bożej potęgi
 I w ciele ludzkim z człkiem się brata,
 Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
 Między grzeszniki siada do stołu,
 I daje siebie przybić do krzyża,
 I składa ciało w człowieczym grobie:
 Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
 By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
 A u nas szlacheć — jasne wielmożę,
 Rad, że mu herby dała ojczyzna,
 Bóg został człkiem, a on nie może,
 Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
 Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,

¹⁾ Przekosy — pokosy, rząd złożonej kosą trawy.

Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
 Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
 Za jeden puhar starego wina
 Głodna i chłodna chłopska rodzina
 Na rokby miała chleba i soli.
 Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
 Pany się waśnią, idą na noże:
 Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
 Bo nie dla niego honor człowieczy!¹⁾

Tak to bywało głośno i śmieło
 Książd definitor gromił w kościele.
 Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
 Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
 W oczach do braci prośba za braćmi
 Ale za ludźmi prośba do Boga.
 Ani przeklina, ani się dąsa,
 Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy,—
 Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
 Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
 A spowiedź jego — wieczna nauka!
 Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,
 Nim w trybunału kratkę zapuka,
 Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
 I tak przekona, i tak poruszy,
 Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
 Że choćby grzesznik miał skalę w duszy,
 Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
 A po spowiedzi długo, ach, długo
 Będzie spokojne sumienie twoje,
 Będziesz skwapliwy z bratnią posługą,
 Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
 Wesole serce — och, popamięta,
 Że w niem złożona Hostyja²⁾ święta!

¹⁾ Książd definitor żył za czasów saskich.

²⁾ Host ja, brewijarz, facyjata — dla rytmu.

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
 On pieszo zwiedzał pobliskie domy:
 Z dala poznałeś definitora
 Po kapeluszu z zielonej słomy.
 Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
 Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
 Jak owca biały i kędzierzawy,
 Pamiętam: *Servus* jego nazwisko.
 A ksiądz czeczotką¹⁾ kroki podpira,
 Idzie powoli i kwiatki zbiera.
 On i w pałacu i w prostej chacie
 Pomagał, radził, krzepił na duchu,
 Z panem i chłopem za panie-bracie,
 Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Ludwik Kondratowicz.

poeta polski wieku XIX-go.

Jaki był ksiądz definitor? Opowiedz wszystko, co z tych wier-
 szy wiesz o nim. Czego uczył własnym przykładem?

Co znaczą wyrazy: definitor, brewjarz, przekosy, czeczotka
 (4 znaczenia)?

38. Na pasterce.

W wiejskim kościółku pełno, z całej okolicy zgroma-
 dziła się ludność na pasterkę, a bliżej ołtarza migają ucz-
 niowskie guziki: Jaś realista, z tych, co ich w Warszawie
 „uczniami wodnymi“ zowią, gdyż gimnazjum mają nad
 Wisłą; Feluś „dzwonkarz“, bo uczęszcza do gimnazjum
 koło Ś-go Jana, pod dzwonnica: Józio „łacinik“, z filolo-
 gicznego gimnazjum, i brat jego, Adaś „chyrowiak“²⁾, słu-
 żą do mszy. Pełno młodych główek, na które rodzice patrzą

¹⁾ Czeczotka — 1) drewno z pnia brzozy, nierówne, sęczkowate,
 2) kij z drzewa czeczotkowego, 3) gatunek pliszki, 4) papla.

²⁾ Chyrów (w Galicji) — zakład wychowawczy Jezuitów.

z miłością i nadzieją. I lud, zebrany w kościele, patrzy na
 paniczów, a ten i ów myśli:

— Czego też oni uczą się w szkole?

Przed kratką, oddzielającą prezbiterjum, stało ośmiu
 gospodarzy. Każdy świecę i paciorki różańca w rękę trzy-
 ma, a ręce czarne jak siermięga, która okrywa zgięte pracą
 plecy. Kościół natłoczony, bliżej ołtarza klęczą kobiety,
 dalej mężczyźni stanęli zwartym szeregiem, poważni i do-
 stojni postawą. Proboszcz wszedł na ambonę, mówi sło-
 wa proste, co zwiastują pokój ludziom dobrej woli, i każe
 kochać bliźnich, braci.

— Gdzież ci bracia? — myśli Józio. — Ot, tu przede-
 wszystkim, wśród skupionego ludu. — Józio, oparty o oł-
 tarz, patrzy na tłum modlących się do wspólnego Ojca
 w niebie. Ławki zasiedli jego rodzice i krewni oraz kilka-
 naście osób z sąsiedztwa. To są panowie, a tamto lud. Tak
 przywykliśmy dzielić dzieci Boże. Ale na cmentarzu za
 kościołem śmierć zrówna wszystkich, wiatr rozwieje i po-
 miesza prochy tych, co się modlą w ławce szkarłatem wy-
 bitej, z tymi, co pokornie klęczą na kamiennej posadzce
 świątyni.

— Bracia! — myśli Józio, a w sercu coraz rzewniejszą
 nutą brzmi mu to wielkie słowo. Chciałby dla wszystkich
 nauki i chleba, przestronnej izby i jasnego jutra. Nie zapo-
 mina nawet o koledze Żydzie. Przecież i Żydzi są braćmi,
 czemuż żyć w nienawiści, kiedy kochać tak miło?

Nabożeństwo trwało długo, ludzie jednak rażno wy-
 chodzą z kościoła, bo mróz siarczysty na dworze. Sanki
 zajeżdżają jedne po drugich. Żegnają się znajomi, mło-
 dzież układa projekt wspólnej ślizgawki—powoli rozjeżdża-
 ją się wszyscy.

Zofja Bukowiecka.

Czy byłeś kiedy na pasterce? Co to jest za nabożeństwo? Co
 myślał Józio na pasterce? Kto są nasi bracia? Kto w każdym czło-
 wieku kazał nam widzieć brata?

39. Anielka.

I. Anielka siedziała na niewielkiem wzgórzu i patrzała na drogę. Za ogrodzeniem ciągnął się gościniec do miasteczka. Zdaleka widać było furę, otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca.

Blżej, między konarami drzew, tuż naprzeciwko białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okrucami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się niem, jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ, jak magnes na żelazo. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgórka, ale po chwili zatrzymała się.

Gajdy, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki, nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na terytorjach¹⁾ swego niegdyś pana dopuszczał się nadużyć.

Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada, ale wieśniak ani słuchał podobnych propozycji. Nie było prawie miejsca, żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni. On wówczas chodził ze skargą do gminy²⁾ i odbierał bydlę albo je wykupywał. Dziedzic mówił, że Gajda płacił pieniędźmi, wziętymi za drzewo, kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele o tem słyszała, bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny, bawiącej się z pogardzanem przez wszystkich prosiątkiem.

¹⁾ *Terytorjum* — obręb ziemi, przestrzeń ziemi.

²⁾ *Gmina* — kilkanaście wiosek pod zarządem jednego wójta obieranego przez mieszkańców gminy.

Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą — coś ciągnęło ją tam...

Odgarniając gałęzie krzaków, Anielka powoli zbliżała się do plotu, zbudowanego naksztalt palisady. Był on stary, obrosły ciemno-zielonym mchem i popielatym porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zastrzone słupy, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód, albo wywracały wtył.

II.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku dziedziczki, Anielka przez jeden z szerszych otworów wydostała się na dziedziniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu. Otworzyło szeroko usta, podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i, ukazując go dziewczynce, zawołała:

— Nie bój się mnie, ja ci przecież nie złego nie zrobię. Widzisz, com dla ciebie przyniosła! Pokosztuj to!

I włożyła dziecku do ust kawałek lukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła, nie spuszczając z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci? co?

— Dobrze! — odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczynka.

— Jak ci na imię? — spytała, głaszcząc dziecko po jasno-żółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jeszcze sucharek. A to prosię, czy twoje? — dodała, patrząc na prosiaka, którego Karus chciał za ogon schwytać, i który odwrócił się do niego rykiem, pokwikujać w sposób, okazujący mało ufności.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. — Żeby go choć pies nie zagryzł...

— Karusek, do nogi!... To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A juści. Jałoszka już urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelili?

— Bo ją zdybał dziedzic w szkodzie.

— Wyście tylko jedną mieli?

— A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc, głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

— I bardzo ci było żal maciory?

— O, i jak! A jeszcze lepiej, kiej mię tatuś zbili...

— Zbił cię?

— I — nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to bardzo spokojnie. Anielka aż pobladała. Zdawało jej się, że Karusek został zabity, że ją samą skatowano tak okrutnie. Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej, ale czem? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę, — lecz dziś... cóż jej da?

Wtem spostrzegła, że Magda pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli malej.

— Teraz będziesz ubrana tak, jak ja — rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos, wyobrażając sobie, że już posiada nie tylko szafirową wstążkę, lecz i różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

— A to jeszcze sobie zjedz — mówiła Anielka, dając jej drugi sucharek.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagrodę, najmniej oddziaływał na Magdę. Ścisłała ona sucharek i co chwila spoglądała na szafirową wstążkę, myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

III.

Za konie, złapane w szkodzie, musiał Gajda zapłacić dziedzicowi trzy ruble. Odchodząc, groził pięścią i zaklinał się, że porachuje kości swojej dziewczynie.

Anielka słuchała tego z przerażeniem.

— Porachuje kości swojej dziewczynie! — powtórzyła i dreszcz ją przebiegł. — Biedna Magda!

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?

Na prawo od ganku, za inspektami¹⁾, leżały budowle gospodarskie: stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z farnalem po swoje konie. Za kilka minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.

Anielka okrążyła dwór, skreśliła na lewo za inspekta i pobiegła do plotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu się zatrzymała, czekając na Gajdę, równie zatrzwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, żeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopca. W tej części plotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogą Gajdzie.

¹⁾ Inspekta — zagon w ogrodzie, opatrzony pokryciem ze szkła.

Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzał ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mię, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie? Ona jest taka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takimi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może gonila je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił...

Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie, graniczące z przestraczeniem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potężna uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona się boi teraz!... Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... bo coż ona poradzi? Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?

— Anielko! Anielko! — odezwał się głos z ogrodu.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejmowała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchnioną, szybkim ruchem wydobyła z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzenie, Gajdo. Ta Matka Boska jest złota i poświęcana w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo... więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i ka-

zała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nie ztego nie zrobili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, urosła w oczach chłopca do znaczenia księdza, trzymającego Hostję. Zdjął czapkę i, bardzo wzruszony, przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takimi rzeczami handlował.

— A będziecie bili Magdę?

— Niech mię Bóg broni! — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał.

— Anielko! Anielko!

— No, to bądźcie zdrowi! Dziękuję wam!

I cofając się do plotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył na nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno, ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

Bolesław Prus.

Jaka była Anielka? Co to znaczy: „Kto wiatr sieje, burzę zbiera“?

Jak nazwiesz tego rodzaju utwór?

40. Dwór wiejski.

...Śród takich pól przed laty nad brzegiem ruczaju, Na pogórku niewielkim, we brzozowym gaju Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany; Świeciły się zdaleka pobielane ściany,

Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użatku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto, jak gwiazdy, widać z liczby plugów,
Orzących wczesnie lany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, nakszałt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama, nawściąż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryczką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu, konie, porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kolkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać:
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
Kończył nauki, końca doczekai nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne;
Te same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdaly.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,

Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żaloszny po wolności stracie;
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon¹⁾ i żywot Katona²⁾.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny;
Stoją na szanecach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkolo pali,
Nawet stary, stojący zegar kurantowy³⁾
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Adam Mickiewicz.

Kto to był Rejtan? Jasiński?

Objaśnij wyrazy: ruczaj, chędogi, nawściąż, oburącz.

Opisz dwór wiejski, jaki znasz. Czem się dwór różni od chaty?
Czem się różni od pałacu lub zamku? Czy pałac i zamek to jedno
i to samo.

Objaśnij przysłowie: „Pszczola, owca i pszenica — bogaciła
dawniej szlachcica“.

41. Izba wieska.

I. Izba Łuczyny jest duża i czysta. Łuczyna lubi porządek, bo wie, że on i ubóstwo przyozdobić może. Coraz to przyniesie w cebrzyku wapna i obieli komin i ściany; czasem nawet coś nie coś się z tego dostanie poczerniałym belkom pułapu. Drzwi do izby zbite są z desek sosnowych.

¹⁾ *Fedon* — tytuł dzieła filozofa greckiego, Platona, o nieśmiertelności duszy.

²⁾ *Kato* — Rzymianin dzielnego charakteru i nieskażonej cnoty.

³⁾ Zegar grający.

Kiedy słońce zabłyśnie na wschodzie, to smolne szpary i sęki przeświecają jakby szczerem złotem.

A tuż zaraz odzywa się jaskółka, która w sionce nade drzwiami ulepila gniazdko i świergotem swoim budzi Małgosię, najstarszą córkę Łuczyny.

U drzwi na zewnątrz jest skobel żelazny, a przy nim na sznurku drewniana przetyczka. Kiedy Łuczyna z Małgosią w pole na robotę idzie, a Jędrus i Kasia, dwoje młodszych dzieci, pasą graniastą krowę na ugorze, to skobelek zatyka się przetyczką, żeby do izby nie wchodziły kury i prosięta. W kącie przy drzwiach stoi duża, brzoźowa miotła, którą Łuczyna codziennie chędogo wymiata izbę. W izbie niema podłogi z desek, tylko ubita mocno glina; taka podłoga z gliny nazywa się boisko. W boisku pod ścianą, w najciemniejszym kątku jest otwór, którym ze swojej jamki wysuwają się na izbę białe, puszyste króliki. Jak tylko zobaczy to Jędrus, zaraz je do siebie zwołuje i daje im to liści kapusty, to listków salaty, to ziemniaków trochę. Jędrus bardzo się w królikach lubuje i wychował już sporą ich gromadkę. Jak nachowa ich więcej, to sprzeda i kupi sobie bucięta na zimę, bo matce ciężko wszystkiemu zaradzić.

Obok miotły stoją w kącie grabie, rydel i motyka. Narzędziami temi uprawia Łuczyna swój mały, zarosły wiśniami ogaródek, w którym, oprócz zagonków kopru, buraków, bobu i salaty, widać zbite w kupkę pod okienkiem różowe malwy i żółte nagietki. Okienko ma szybki drobne i od dawna przepalone słońcem; śnieg je zasypuje ziarnem, a w lecie brzęczą po nim uprzykrzone mucky.

II. Znaczną część izby zajmuje wielki, rozłożystym okapem¹⁾ opatrzone komin. Wczesnym rankiem, w południe i przed wieczorem rozpala Łuczyna wesoły, od suchego chróstu trzaskający ogień, i gotuje przy nim to groch

i kapustę, to barszcz z żytniej mąki, do którego czasem buraka dorzuci, to zacierkę, to kaszę tatarską albo jaglaną, to nawet niekiedy, przy dużym święcie, siaki taki kawalek mięsa, ale najczęściej, bo trzy razy na dzień, gotuje Łuczyna ziemniaki. Ziemniaki bywają albo skrobane albo w mundurach, czasem do kapusty, a nieraz do barszczu albo do polewki, czasem do kwaśnego mleka, a na przednówku, kiedy w chacie bieda, to wprost tak gołe z solą.

Z prawej strony komina stoi na trzech wysokich nogach tak zwany „miśnik“. Łuczyna zmywa w nim miski, garnki i łyżki. Nad miśnikiem przeciągnięty jest po ścianie sznurek, za którym sterczą pozatykane pokrywki. Nad sznurkiem przybite są dwie police. Na górnej, większej, stoją oparte o ścianę miski i rynki. Niższa i węższa powyrzynana jest z brzegu w rowki, w których tkwią blaszane i drewniane łyżki i warząchwie.

Z lewej strony komina stoją dwie konewki i kubek z wodą; nad kubkiem wisi na ścianie drewniana czerpaczka do picia. Na szerokim okapie stoi sól w drewnianej solniczce, leży nożyk żelazny do szatkowania kapusty i skrobaczka do skrobienia kartofli. Wszystkie te statki Łuczyna pięknie co sobota piaskiem u studni szoruje, tak, że zawsze wyglądają, jak nowe. Zaraz za konwiami stoją żarna. Jest to płytko wyżłobiona, ciężka, dębowa kłoda, w której otworze obraca się duży, płaski kamień, osadzony na ruchomym drągu. Na tych żarnach miele Łuczyna mąkę dla dzieci i robi kaszę. Twardy to chleb i w pocie czoła zdobyty.

III. Za żarnami stoi na czterech ceglach ustawiona skrzynia. W skrzyni przechowuje Łuczyna swój nowy, w domu utkany welniak, piękną kraciastą chustkę, fartuch zielony, watowany kaftan, trzewiki i welniane zimowe pończochy. W półskrzynku leżą zawinięte w szmatę dwa sznurki koralu po matce i kilkanaście groszaków za jajka

¹⁾ Okap — rodzaj dachu murowanego nad kominem.

od siemieniatej kokoszy. Odzież Malgosi i Jędrka wisi na kolku nad skrzynią; mała Kasia przez lato tylko w koszulini nie chodzi, dopiero na zimę kupi jej matka jaką taką katankę cieplejszą, tylko uskłada pieniędzy za masło. Wie o tem Kasia i pilnie pasie Granulę, żeby aby więcej mleka na masło owo dała.

Wprost okienka stoi łóżko, na którem sypia Łuczyna. Wysłane jest ono prostą żytnią słomą i grubą lnianą płachtą, na której leży pierzyna i dwie kraciaste poduszki. Pod pierzyną tulą się przez całą zimę przy matce Kasia i Malgosia. Latem śpią dziewczęta na drugim, tylko słomą i płachtą zasłanem łóżku. Jędrus już wtedy wynosi się z izby do stodółki na siano, i dopiero kiedy św. Marcin przyjeździe na białym koniu¹⁾ i zimnem przestraszy, wraca chłopak na szeroki zapiecek, gdzie mu tylko z pod sukman-ki nos widać.

Nad łóżkami wiszą oprawne za szkło obrazy: Matka Boska Częstochowska, św. Józef z lilją w ręku, św. Antoni z Dzieciątkiem Jezus i św. Barbara. Obrazy te stroją dziewczęta w kwiaty i pachnące ziółka. Czasem to i Jędrus zatknie za ramę pawie piórko, gdy je gdzie znajdzie, przechodząc mimo dworskiego podwórka. Tuż przy łóżku stoi zydelek, a przed nim kołowrotek z nawiniętą lnem miękkim przęślicą. Na tym kołowrotku przędzie Łuczyna przez zimowe wieczory i „doświtki“, nim to jeszcze późny dzień zimowy na dobre się rozwidni. Za belką zatknięte motowidło i drażek, na którym wisi przędza, pięknie w pasma pomotana. Cały kąt pomiędzy łóżkami a stojącą pod okienkiem ławą, przed którą stoi prosty, wązki stół, zajmuje tkacki warsztat domowy. Kiedy jesienią roboty w polu i w ogródku skończone, rozsnuwa na tym warsztacie Łuczyna zeszłoroczną przędzę i tka płótno. To cieńsze na sprzedaż do miasta albo do dworu, a to grubsze, „po-

czesne“, na koszule dla siebie i dla dzieci. Z najgrubszego, które się „zgrzebne“ zowie, szyją się potem worki i płachty.

W takiej to izbie mija dzień po dniu pracowite i pełne trudu życie wieśniacze. Dużo w niej troski, mało chleba i pociechy skapo...

Marja Konopnicka.

poetka polska w. XIX-go i początku XX-go.
(„Opowiadanie dla Tadzia i Zosi“).

Czy byłeś w chacie wiejskiej? Czy umiałbyś nazwać sprzęty, jakie się w niej znajdują? Czy wszystkie chaty są jednakowe? Opisz chatę wiejską, jaką sam widziałeś.

Porównaj pożywienie włościanina i swoje; które jest posilniejsze? A kto więcej pracuje?

Co to jest: pułap, boisko, okap, warząchew, rynka?

42. Wiochna.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece,
Oj, na rosę, na białą,
Poleceż ja, polece!
Jak to z brzozy placzącej,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką;
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki!

O mój Boże! mój Boże!
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się wkółko;
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.

Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę.
Niechno krówki wydoję,
Poleceż ja, polece!
Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten piękny świat stworzył,
Tak go ślicznie ozdobił,
Tyle kwiecica namnożył,
I że dał mi braciszka,
Z którym codzień się pie-
szczę.

Pójdę cicho, jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?
Śpi w kolebce, więc dalej,
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozпали,

¹⁾ 11 Listopada.

Pójdę włosy uczesać.
Oj, robotaż to nudna
Te warkocze do ziemi,
Płatanina, och, zmudna,
Tak tam bawić się z niemi!
Kiedy mówią o oczach,
W których ja nie nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko nawstydzę.
Skarżą się też, mój Boże,
Ze mam oczy uroczone—
Może prawda — a może...
Ale cóż ja z tem pocznę?

Mateńka mi powiada,
Ze ja wcale nie rosnę.
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wyskoczę
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża!
Pająk przedzie, oj, przedzie
Swoje szare włókienko,—
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie.

Bo ja przecie coś umiem:
Kądziel przędę i piekę,
I na książce rozumiem
I zaśpiewam w kościele.
Jakem raz na święcone
Ulepila baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka,
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział, jak żywy,

Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.
Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świątą Pannę i Syna,
I czarnego Murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z lilią staruszka,
I z lirenką pastuszka —
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowy się brali,
Matce wierzyć nie chcieli!

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę.
Kwiatki lubię ogniście;
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije.

Oj, niedobra to córka,
Co się próżno zabawia,
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć zórawia!
Oj, da—dana!... A cicho!
Matka będzie się gniewać,
Podkusiło mię lichy,
Chciałam sobie zaśpiewać.

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje;
Spojrzę w wody lustro —
W niem ja druga się śmieję.
Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,

Aż mię zimno przechodzi!
Nie spotka mię nic złego—
Choć nad studnią tak stoję,
Nie boję się niczego...
Oho! prawda — nie boję!
Najprzód straszą mię baki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki,
I jałówka, co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzie-

czy,
Pijąc wodę z potoku.
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła—broń Boże!
Z ziemi unieść mię może
Do białego miesiąca,
Wreszcie straszą mię grzmo-
I piorunów trzaskania, ty
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni —
Mnie tam radość przejmuję,
W sercu jeszcze mi raźniej,
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie;
Ludzie szepeczą wokoło:
— Ot, się cieszy, bo głupie!

A co mi tam, niech sobie!
Mnie ogarnia myśl błoga.
Co ja robię? Co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyc może skowronek,

Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni
I spoglądać z radością.

U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada,
Mówił, gdybym zgrzeszyła,
Ze pokutę mi zada.

Więc umyślnie dlatego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.
Niechże zada raz przecie,
Boby mi się myślała:
Otóż żyłam na świecie,
A pokutym nie znała.
Jako ptaszek na roli
Prześpiewałam dni płoche
I nie znałam niedoli...

Oj, znam ci ja, znam trochę...
Już trzy razy płakałam,
I serdecznie, mój Boże!
Raz—gdy babka skoła
W tej tam ciemnej komorze,
A drugi raz—gdy w nocy,
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc na gwałt pomocy,
Ze kościółek się pali!
A trzeci raz, gdy w progu
Stał dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły,

I piosenka zabrzmiąla
 O tułacz, niewoli —
 Wtedy bardzo płakała,
 Bo mnie zaraz tu boli.
 Całowałam go w rękę:
 — Nie smućcie się, dziadulu.
 A łzy żalu i bólu
 Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słonko powstało,
 Wrona kracze na roli,
 Nie wiem, co mi się stało.
 Coś mię smuci, coś boli...
 To chciałabym zapłakać,
 To mię pusta myśl łechce,
 Weselić się i skakać —
 I chciałabym i nie chcę...

Teofil Lenartowicz.

Porównaj Anielkę i Wiochnę. Czy znasz bliżej jaką wiejską dziewczynę? Co wiesz o niej?

43. Woda i wino.

Przymawiało jednego razu wino wodzie:

— Ja panom, a ty chłopom służysz ku wygodzie.
 — Nie piloby cię państwo — rzecze woda skromnie —
 Gdy chłop nie dał na cię, co chodzi pić do mnie.

Ignacy Krasicki.

Jak to rozumieć?

44. Co Kurta robił w podwórku?

I.

Pan Kurta miał w podwórku niemało roboty, za dużo nawet, jak na psa o trzech tylko nogach, bo czwartą już dawno postradał w jakiejś wojennej przeprawie.

Zaledwie z rana pan Pietuch Pietusiński, czerwony kogut z drugiego podwórka, krzyknął mu przez płot: — Dzień dobry, sąsiedzie! — zrywał się zaraz Kurta, biegł do sionki i łapą wę drzwi skrobał, póki gospodyni po wodę z wiadrem nie wyszła. Skakał wtedy koło niej pan Kurta wesoło, bo wiedział, że ta woda to na barszcz, na śniadanie, i że jak się gospodarze najedzą, to mu też resztkę dadzą.

Ale do tego śniadania to jeszcze daleko. Gospodyni wodę do chaty wniosła, skopek wypłukała, wzięła stół i poszła do obórki krowę doić. Pan Kurta wie, że tam niepotrzebny, mógłby jeszcze mleko wylać. Nie idzie więc do obórki, tylko się uwija koło gospodarza, który kosę na progu chaty klepie i wybiera się kosić łąkę. Słonko wzeszło pogodnie, rosa aż pachnie z pola, skowronki w powietrzu dzwonią, jak te dzwoneczki Boże. Gospodarz rad z takiego złotego dzionka, tylko sobie pogwizduje, a pan Kurta ognem macha i także się raduje, choć sam nie wie, czego.

— Pamiętaj, Kurta — mówi gospodarz — żebyś mi tu domu pilnował, jak gospodyni poniesie w pole śniadanie albo i obiad. Niech cię Bóg broni, żebyś tu jakiej szkody dopuścił, miałbyś ze mną sprawę!

Pan Kurta wie, że sprawa z gospodarzem niebardzo bezpieczna dla jego grzbietu, podwinał tylko ogon i łąsi się i naszczekuje z cicha, jakby mówił: — Już tylko wy się nie bójcie, gospodarzu, już tu wszystko będzie dobrze.

II.

Wyleciały z gniazda jaskółki na świat Boży, a z izby wyszedł Maciuś i dalejże do Kurty:

— A mój Kurta! a moje psisko! A cożeś ty w nocy robił?

Tu mój Kurta opowiada, jak umie, a wtem już gospodyni od doju wraca. Zaraz też Maciuś krajką się podpasuje, bierze w rękę okropne biczysko i krówkę w pole wygania. Za krową pędzi cielak, zadarłszy ogona. Pan Kurta wskok za nim. Wiadome rzeczy cię głupie, w szkodę wpaść może, a i krowa też rada skubnąć, co nie dla niej: rozsądę¹⁾ albo co. Więc Maciuś biczem śmiga, a Kurta zagania to od prawej, to od lewej strony, aż ich wszystko troje szczęśliwie za wrota wyprawił. Okrutnie się przytem

¹⁾ Rozsada tu znaczy kapusta gęsto zasiana, którą się potem rozsadza rzadziej.

naszczekał i zmęczył, więc wpadł do chaty i siadł sobie na dwóch łapach przed kominem, gdzie gospodyni właśnie gotowała śniadanie. Woda wre i kipi, mój Kurta tylko macha ogonem z uciechy; wtem mała Maryś odetchnęła i zapłakała w kołysce. Pan Kurta niezmiernie lubi małą Marysię, zrywa się tedy od komina i sztykut, sztykut, biegnie do kąta, gdzie kołyska stoi, leb na nią zakłada i Marysiną buzię czerwonym językiem liże raz i drugi. Jak tylko Maryś Kurte zobaczyła, zaraz się roześmiała; a tu już gospodyni barszcz dymiący na miskę wylewa, dwojaki szykuje, jedno dla gospodarza, drugie dla Maciusia; sama też podjadła, do reszty trochę wody dolala i zawołała: — Na tu, Kurta, na!

Pan Kurta nie da sobie tego dwa razy powtarzać. Skoczył tedy do misy, leb w niej zanurzył i chlap, chlap, chlap, chlap! wychlapał wszystko do czysta, a resztę dobrze wylizal. Gospodyni tymczasem małą Maryś nakarmiła, umyła, włoski jej zaczesala, koszulkę czystą włożyła i posadziła ją na piasku przed chałupą. A tu już kury gdaczą w komórcie, wypuścić je trzeba; poszła gospodyni do komórki zobaczyć, czy która kokoszka jajka nie zniosła. Za ledwie drzwi otworzyła, wszystkie kury z okrutnem gdakaniem i trzepotem wyleciały na podwórko, ponad głową, ponad płotem, gdzie! kto je tam dogoni! A mój Kurta za niemi! Kury gdaczą, Kurta szczeka, nibyto je zagania, a jeszcze bardziej płoszy, gospodyni krzyczy: — Kurta, tu! Kurta, na! Do nogi, Kurta, tu!

Wszystko na nic! Jak zaczął gonić jarzębatą kokoszkę, tak jej wyrwał dwa pióra z ogona i dopiero wtedy się uspokoił, zgrzany, zziajany i z wywieszonym językiem.

Więc gospodyni raz i drugi przez leb go trzepnęła, ale niewiele, bo jej było pilno nieść w pole śniadanie. Wzięła dwojaki, Kurta na nią miłosiernie patrzy, radby też w pole razem...

Ale gospodyni nogą tupnęła: — A leżeć! — Więc się

zaraz przy Marysi położył, bo wiedział, że to jego rzecz dziecka pilnować, kiedy starsi w polu.

III.

Skrzypnęła furtka, gospodyni wyszła; Marysia w piasku grzebie się, jak wróbel, a Kurta muchy łapie, ale nie złapać nie może. Co mu która mucha na nosie usiadzie, to on klap pyskiem, a moja mucha już gdzie... daleko...

Aż mu się to sprzykrzyło, więc się wyciągnął i chrapał sobie. Tak chrapał, że nie słyszał nawet, jak Marysia płakać zaczęła. Płacze Marysia, a tu gospodyni do domu wraca. Usłyszała głos dziecka i zdaleka już woła:

— Co ci to, Maryś, co? cicho, córeczko, cicho!

Zerwał się Kurta, jakby nigdy nic, i raduje się, a ogonem macha i w oczy gospodyni patrzy, właśnie jakby mówił: — A to czysta bieda z temi dziećmi, proszę pani gospodyni! Co się tutaj Marysi nie nabawiłem, nie naperswadowałem, i to wszystko na nic! Maże się to, maże, sama nie wie, czego. — A o tem, że spał, ani piśnie. Nakarmiła gospodyni Marysię, uspiła, ugotowała obiad, zjadła, statki pomyła, Kurcie też zacierkę z serwatką dała. Mój Kurta jakby jeszcze nie dziś w pysku nie miał, chlap, chlap! wychlapał i wylizal wszystko do czysta. Przygotowała gospodyni znów dwojaki i niesie obiad w pole, a Kurcie przykazuje: — Pamiętaj, Kurta, żebyś tu chałupy pilnował. Niech ręka Boska broni, żeby się tu cò stać miało!

Pan Kurta ogonem macha, podskakuje, zupełnie jakby obiecywał, że wszystko będzie dobrze, a kiedy gospodyni na skobelek izbę zamknęła, położył się na progu i warczy.

— Będę warczał — myśli sobie — to jak tu przyjdzie dziad jaki, albo kto, to sobie pomyśli: — To jakieś zjadliwe psisko! — i pójdzie dalej. — Warczy więc i nogi pod siebie podulił, żeby nie widać było, że ma tylko trzy, boby go się może nie bali. A tu słonko przygrzewa silnie, a drogą

co wóz przejedzie, to kurzawa taka powstaje, że stracił. Zdala, zdaleka, słyhać klepanie kos i stukot grabi i głó Maciusia, jak zawodzi na pastwisku: — Dana, oj dana! — I tak wszystko jakoś razem zmorzyło pana Kurte, że warczał coraz ciszej, aż nareszcie westchnął, ogon pod siebie podwinął i znów chrapnął. Aż tu furtka skrzyp, skrzyp, wszedł dziadek siwy, żebrzący, z sakwami na plecach i koszturem w ręku. Wszedł i od furtki zaraz się odzywał — Niech będzie pochwalony! — A mój Kurta jak nie skoczy, jak się na dziadka nie porwie, jak nie zacznie ujadac ham, ham! ham, ham! aż ochrypl. A co go najbardziej gniewało, to że dziadek nie sobie jakoś z tego szczekania nie robi, tylko się zwolna koszturem opędza, a pacierz sobie mówi. Już głosu z siebie Kurta wydobyć nie mógł, tak się zmordował, kiedy gospodyni nareszcie wróciła z pola. Jak zobaczyła dziadka, tak zaraz na Kurte: — A cicho a leżeć, do nogi, a nie rusz! — Uspokoił się też Kurta niecierpliwie i pod próg leżeć poszedł. Ale co spojrzał na dziada, to się w nim jeszcze gotowało ze złości, i coraz to warknął i zęb pokazał.



IV.

Leży sobie Kurta i zęby pokazuje, aż tu wieprzak wyrwał się z chlewa. Gospodyni za nim: — A do chlewa! A do chlewa! A ciu! — Zerwał się i Kurta i dalej za wieprzakiem. Co prawda, niebardzo mu się chciało tak uganiać, bo się z tym dziadem już okrutnie zmordował, ale bał się gospodyni. Mogłaby mu kartofli na wieczór nie dać, i do pieroby było! A gospodyni jak na złość woła: — Nuż go Kurta! — niby tego wieprzaka. Mój wieprzak w ogród — Kurta za nim; tylko smyrgnął przez płot, zaleciał z prawej strony, wieprzak wlewo! zaleciał z lewej — wieprzak w prawo. Oj, namęczył się niemało, zanim go nareszcie przy pomocy gospodyni z ogrodu wypłoszył i do chlewka zapędził.

Dopadł potem do studni i z koryta wody się napił, a potem pod gruszę, co na podwórku rosła, na trawę się rzucił i dyszał, wywiesiwszy język. Właśnie i słońce zniżać się poczęło. Od pastwisk, od boru słyhać było klaskanie biczów i poryk wracającego bydła, gospodyni nawoływała swoje kokosze na grzędę, wieprzak krząkał przy pełnem korycie, a siwy dym ulatywał z białego komina, bo już się warzyła wieczerza.

Słuchał tego i patrzył na to Kurta, bijąc lekko ogonem o ziemię, aż gdy usłyszał Maciusiowe granie na fujarce, skoczył, żeby mu pomódz zapędzić krówkę do obory. A nie tak krowę, jak cielę, bo krówka zawsze sama do obory szła, a cielęciu to się coraz zachciewało gdzieś biec. Więc Maciuś za niem, za Maciusiem Kurta, a cielę bryka. Byliby tak wółko do północks biegali, ale że gospodarz nadszedł z kosą na ramieniu i cielęciu drogę zastąpił, więc je już potem łatwo Maciuś do obórki nawrócił.

Gospodarzowi od dziennej roboty na skwarze słonecznym aż koszula do pleców przyłgnęła, a pot mu na czole stał, jak rosa. Siadł tak ciężko na ławie przed chatą a koło siebie oparł kose, błyszczącą jak srebro. Nim gospodyni misę z ziemniakami i z mlekiem kwaśnem wyniosła, poklepał Kurte po łbie, a widząc, że wszystko w porządku, rzekł: — Dobre psisko! Dobre psisko! — Uradował się Kurta z tej pochwały, aż zaskomlał z uciechy, a kiedy wreszcie ogień w izbie zagasił, i wszystko się uciszyło, on zasiadł pod progiem i patrzył, pilnując chaty swoich gospodarzy.

Gwiazdy już wzeszły i księżyc błysnął, a Kurta przez sen jeszcze poszekekiwał i mruczał, jak na wiernego stróża przystało.



Marja Konopnicka.

Wytłumacz przysłowia: „Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie“, „Żyje, jak pies z kotem“, „Ni pies, ni wydra“, „Nie dla psa kielbasa“.

45. Chłopski koń.

A czegoż rżysz po rosie,
Koniku ty mój siwy?
Nie będę ja ci w jedwab
Zaplatał długiej grzywy...
Hej! długiej grzywy!...

Nie będę ja cię wodził
Na uździe z karmazynu...
W parciankach¹⁾ będziesz
chodził

U pługa, chłopski synu,
Hej, chłopski synu!...

Nie będziesz ty się pysznił
Pod siodłem, pod czerw-
nem;
Łeb jeno zwieszysz smutnie
Nad czarnym tym wygo-
nem²⁾...

Hej, nad wygonem!...

Zębata ciągnąc bronę,
Spotniejesz białą rosą...
Ani cię wiatry one
W kraj świata nie poniosą...
Hej, nie poniosą!...

Ani ja nie dam ciebie
W złociste kuć podkowy,
Cobyś tak stapał z góry,
Jakoby nasz garbowy!...
Hej! jak garbowy!...

Nie będą drobną sieczką
Karmiły ciebie panny...
Nie padniesz w krwawem
polu,

Świszczącą kulką ranny...
Hej, kulką ranny!...

Na piasku, na ugorze
Gospodarz cię zostawi...
A rosa oczy wyžre,
A słońce kości strawi,
Hej, kości strawi!...

Nie będą tobie grały
Muzyki, ni trębacz...
Jeno cię wiatr pogrzebie,
A deszczyk cię oplacze...
Hej, deszcz zapłacze...

Marja Konopnicka.

Czy dobrze jest koniom na świecie? Jak im się człowiek od-
placa za służbę? Czy jest to sprawiedliwie i szlachetnie? Które ko-
nie uważasz za najszcześliwsze?

¹⁾ *Parcianka* — szmata płócienna.

²⁾ *Wygon* — droga, którą bydło w pole na pastwisko wyga-
niają.

46. Kot, który zawsze chodził
własnymi drogami.

Działo się to przed bardzo dawnymi czasy, kiedy zwie-
rzęta, obecnie oswojone, żyły jeszcze w stanie dzikim
i chodziły po dzikich lasach, samotnymi, dzikimi ścież-
kami. Ale najdzikszy ze wszystkich zwierząt był kot.

Naturalnie, że i człowiek był wtedy także dziki, ale
spotkał kobietę, która wyszukała mu ładną jaskinię, wy-
sypała wnętrze suchym, miałkim piaskiem, a w głębi roz-
nieciła ogień; wejście zaś zasłoniła skórą końską.

Tego dnia na kolację jedli już pieczeń z dzikiego ba-
rana, przyprawioną dzikim czosnkiem i dzikim pieprzem,
dziką kaczkę z dzikim ryżem, dzikie czereśnie i dzikie
owoce granatu.

A po kolacji mężczyzna położył się spać przy ogni-
sku, a kobieta zaczęła czesać długie włosy i śpiewać.

Z wilgotnych lasów wybiegły dzikie zwierzęta i zda-
leka patrzyły na ognisko, nie wiedząc, co to ma znaczyć.
Ale dziki pies począł węszyć dzikim nosem, poczuł woń
pieczonej baraniny i rzekł:

— Muszę tam pójść i zobaczyć, bo zdaje mi się, że
tam jest coś dobrego. Chodź, kocie, pójdziemy razem.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi włas-
nymi drogami. Nie pójdę z tobą,

— Więc nigdy już nie będziemy przyjaciółmi —
rzekł dziki pies i sam ruszył w stronę jaskini.

Ale zaledwie uszedł kilka kroków, kot mruknął do
siebie: — Wszystko mi jedno, kędy chodzę. Dlaczegoż nie
miałbym pójść także ku jaskini, jeśli mi się spodoba? —
I cichutko, na palcach pomknął za psem i ukrył się w po-
bliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć.

Dziki pies tymczasem podniósł głowę skórę końską,
zawieszoną u wejścia do jaskini, i począł węszyć przyjem-
ną woń pieczonej baraniny.

— Czego potrzebujesz, dzika istoto z dzikich lasów? — zapytała, spostrzegłszy go, kobieta.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, jaka to woń rozkoszna rozechodzi się po lasach?

Roześmiała się kobieta i rzuciła psu dzikiemu kość z pieczeni baraniej.

Pies ogryzł kość, oblizał się pięciokrotnie i powiedział:

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, daj mi jeszcze jedną.

A kobieta odparła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, pomagaj memu mężowi polować w ciągu dnia, strzeż w nocy naszej jaskini, a będziesz miał tyle kości z pieczeni, ile sam zechcesz.

A pies natychmiast wsunął się do wnętrza jaskini, położył łeb na kolanach kobiety i rzekł:

— O moja przyjaciółko, żono mego przyjaciela, będę z mężem twym polował w ciągu dnia, a w nocy będę strzegł waszej jaskini.

(Czy bardzo piękny był postępek psa?)

II.

— Ach, szepnął kot, który podsłuchiwał — ta kobieta jest bardzo mądra, ale pies jest bardzo głupi! — I pomknął w stronę dzikich lasów i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem, ale nikomu o tem wszystkim nie rzekł ani słowa.

A nazajutrz kobieta nazbierała sporo trawy, wysuszyła ją przy ogniu, że pachniała jak świeże siano, i położyła u wnijscia do jaskini.

A w dzikich lasach dziwiły się dzikie zwierzęta, co za rozkoszny zapach idzie do jaskini, a dziki koń tupnął dzikiem kopytem i powiedział do kota:

— Chodź, kocio, do jaskini, przekonamy się, co znaczy ten rozkoszny zapach.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi własnymi drogami — odpowiedział kot, ale cichutko ukrył się

zaraz w pobliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć.

I widział, jak dziki koń, dla garstki pachnącej trawy pozwolił kobiecie włożyć na siebie chomąto. I widział potem, jak dzika krowa za tę pachnącą trawę oddawała piękne, białe, pachnące mleko.

— Ta kobieta jest bardzo mądra — myślał kot — ale zwierzęta są bardzo głupie.

(Jakby je inaczej nazwać można?)

III.

Nazajutrz kot, jak zwykle, ukrył się w pobliżu jaskini i czekał, ale już żadne zwierzę nie zbliżyło się do niej. Wtem zobaczył, jak kobieta doła krowę, poczuł przyjemne ciepło, bijące od ogniska, i zapach ciepłego mleka. Więc zapytał:

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, powiedz mi, co się stało z braćmi mymi, dzikim psem, dzikim koniem i dziką krową?

Ale kobieta roześmiała się i rzekła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, wracaj, skąd przyszedłś, bo nie potrzeba mi więcej ani sług, ani przyjaciół.

A kot rzekł:

— Nie jestem przyjacielem, ani sługą, lecz kotem, który zawsze chodzi własnymi drogami, a teraz chciałby wejść do jaskini.

Lecz kobieta roześmiała się i rzekła:

— Jesteś kotem, który zawsze chodzi własnymi drogami i wszystko ci jedno kędy. Masz dość na świecie miejsca, ta jaskinia jest moja.

Wtedy kot udał szczere zmartwienie i zapytał:

— Więc nigdy nie będzie mi wolno przyjść do waszej jaskini, usiąść przy ciepłym ognisku, skosztować białego, ciepłego mleka? Jesteś taka mądra i piękna, że nawet dla kota nie powinnaś być okrutną.

— Wiedziałam, że jestem mądra — odparła kobieta — ale nie wiedziałam, że jestem piękna! A za to, żeś mi o tem powiedział, zrobię z tobą układ: Jeżeli kiedykolwiek powiem choć jedno słowo na twoją pochwałę, będzie ci wolno zawsze wejść do naszej jaskini.

— A jeżeli powiesz drugie słowo? — spytał kot.

— Nigdy! — odrzekła kobieta — ale gdybym to uczyniła, wolno ci będzie usiąść przy ognisku.

— A jeżeli powiesz trzecie? — spytał kot.

— Przenigdy! — odparła kobieta — ale gdyby się to kiedy stało, natenczas po wiek wieków będziesz mógł trzy razy dziennie pić białe, ciepłe mleko.

Wówczas kot wygiął grzbiet i rzekł:

— Dobrze! Niechaj ta zasłona, wisząca u wnijścia jaskini, i to ciepłe ognisko i te garnki z mlekiem zapamiętają, co mi przyrzekła moja nieprzyjaciółka, żona mego nieprzyjaciela.

I rzekłszy to, pomknął w stronę dzikich, wilgotnych lasów i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem. Tylko nietoperz wiedział, gdzie się kot ukrywa, i co noc leciał do niego z wiadomościami.

IV.

Pewnego wieczora nietoperz doniósł kotowi:

— W jaskini jest małe dziecko, zupełnie świeże, nowe i tłusciutkie, a kobieta bardzo je lubi.

— Ach! — mruknął kot do siebie — teraz nadszedł mój czas.

Nazajutrz ukrył się w pobliżu jaskini i czekał, aż mężczyzna z psem i koniem wyszli na polowanie. Kobieta gotowała obiad, lecz dziecko wciąż płakało i przeszkadzało jej w robocie. Więc wyniosła je na trawnik i ułożyła wygodnie, ale dziecko płakało ciągle.

Wówczas zbliżył się kot, wyciągnął miękką łapkę i pogłaskał dziecko po policzku. I dziecko uspokoiło się

w jednej chwili. Potem zaczął się ocierać o jego tłuste kolanka, laskotać je ogonem w szyjkę, aż dziecko śmiać się zaczęło tak głośno, że kobieta w jaskini usłyszała śmiech jego i uśmiechnęła się z zadowolenia.

A wówczas rzekł nietoperz, wiszący u pułapu:

— O moja gospodyni, żono mego gospodarza, jakaś dzika istota z dzikich lasów prześlicznie bawi się z twoim synkiem.

— Błogosławieństwo na tę dziką istotę — rzekła kobieta. — Byłam dziś bardzo zajęta, i oddała mi przysługę.

I zaledwie kobieta wymówiła te słowa, skóra u wnijścia do jaskini spadła z szelestem, przypomniawszy sobie o układzie z kotem. A gdy kobieta poszła ją zawiesić, kot jednym susem wskoczył do jaskini i usiadł w jednym z kątów.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś słowo na moją pochwałę i odtąd po wiek wieków wolno mi przebywać w tej jaskini. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnymi drogami i wszystko mi jedno, kędy.

V.

Kobieta zagniewana usiadła do kądzieli, ale dziecko zaczęło znowu płakać, że twarzyczka mu posiniała, a kobieta w żaden sposób uspokoić go nie mogła.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela, rzuć wrzeczono na podłogę, i ja uczynię taki czar, że dziecko śmiać się zacznie — odezwał się kot.

— Dobrze — rzekła kobieta — posłucham twej rady, ale z góry ci mówię, że chwalić cię nie będę.

I rzuciła na podłogę wrzeczono, a kot je chwycił w łapki, podrzucił do góry, udawał, że je zgubił, by znów pochwycić, podrzucić, aż dziecko rozbawione śmiać się poczęło głośno. Wyciągało rączki do kota i wydawało

okrzyki radości, aż zmęczone długą zabawą zasnęło, obejmując kota tłustemi rączkami.

— Teraz — rzekł kot — zaśpięłam dziecku piosenkę, przy której całą godzinę spać będzie. — I zaczął mruczeć głośno i przeciągle, a dziecko spało mocno i spokojnie, jak nigdy przedtem. Kobieta, widząc to, uśmiechnęła się i rzekła:

— Doskonale się sprawiłeś. Jesteś istotnie bardzo przebiegłym stworzeniem.

I zaledwie to wymówiła, gdy z ogniska dym buchnął wielkimi kłębami, bo przypomniał sobie o układzie z kotem. Kot zaś zaraz wygodnie rozsiadł się w pobliżu ognia.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś drugie słowo na moją pochwałę, i wolno mi po wiek wieków zostać przy tem ciepłym ognisku. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnymi drogami.

VI.

Wówczas kobieta rozgniewała się mocno i uczyniła czar milczenia, aby się zabezpieczyć od wymówienia trzeciej pochwały. Milczenie też zapanowało w jaskini tak wielkie, że z dziurki wybiegła myszka i zaczęła tańczyć.

Przestraszona kobieta szybko wskoczyła na ławę i zaczęła zwijać swoje długie włosy, aby się mysz przypadkiem w nie nie zaplątała.

A kot, widząc jej trwogę, skoczył jednym susem, pochwycił mysz i pożarł w mgnieniu oka.

— Stokrotne dzięki! — zawołała uszczęśliwiona kobieta. — Doprawdy, kocie, jesteś bardzo mądrym i zręcznym stworzeniem.

Lecz zaledwie to wymówiła, garnek z mlekiem, stojący przy ognisku, rozprysł się na drobne skorupki, gdyż przypomniał sobie o układzie z kotem. A kot przyskoczył i zaczął chleptać białe, ciepłe mleko.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś trzecie słowo na moją pochwałę i wolno mi po wiek wieków pić trzy razy dziennie białe, ciepłe mleko. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnymi drogami i wszystko mi jedno, kędy.

Wówczas roześmiała się kobieta i postawiła przed nim miskę białego i ciepłego mleka.

Podług R. Kiplinga.

Czy można mieć kotu za złe, że chce zawsze chodzić własnymi drogami? Co to znaczy? Czy pies, koń, krowa i kot są w jednakowym stopniu poddane człowiekowi? Jakie przymioty widzimy w kocie? Czy słusznie mówią, że kot jest fałszywy? W jaki sposób ogień i kobieta przyczyniły się do skupiania ludzi, żyjących pierwotnie w rozproszeniu?

47. Pogrzeb Filusia.

Idą porządkiem szykowane rotty,
 Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
 Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
 Wyborne czoło od innych współbraci;
 Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty.
 Nieboszczykowscy zatem koligaci¹⁾,
 W żałobne flóry²⁾ ich łapki uwite,
 Ostre pazury wciągane i skryte.
 Przyjazne zatem nadchodzą orszaki,
 Jak który może, boleść ciężką znaczą:
 Żałosne głosy wydawają ptaki;
 Synogarlice w parach swoich płaczą;
 Swojskich zwierzątek rodzaj wieloraki,
 Rozkoszne nawet wiewiórki nie skaczą;

¹⁾ Koligaci — krewni. ²⁾ Flóry — przepaski żałobne.

Milezą papugi, niegdyś rezolutne;
 Igrać malpeczki zapomniały smutne.
 Niesie Minetka obróż cętkowaną,
 Hektorek grzebień ze słoniowej kości,
 Irys kolderkę, złotem haftowaną,
 Bebe manelki¹⁾ dziwnej wspaniałości,
 Miledy czarłę, wewnątrz wyłacaną,
 Z której zwykł jadać i częstować gości.
 Sprzęty szacowne od łapek i szyje²⁾,
 Już was kochany Filuś nie użyje!
 Leżą na złotych marach położone
 Ulubionego faworyta zwłoki,
 Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
 A całun mary okrywa szeroki;
 Bujażą w puchu członeczki pieszczone.
 Dym się z kadzidla wznosi pod obłoki;
 Niosą trumienkę, naksztalt kolebeczki,
 Najukochańsze księżniczki, malpeczki.
 Już się do stosu zwłoki znamienite
 Zbliżyły: w kiry³⁾ przybrani rycerze;
 Cyfry z posępnych cyprysów uwite;
 Mruczysław długie zaczyna pacierze;
 Dalej obrządki czyni należyte,
 A w drżące łapki gdy pochodnię bierze,
 I stos i Filuś splonęły pospołu —
 Garstka się tylko została popiołu.

Ignacy Krasicki.
 („Myszeis“).

Jest to żartobliwy opis pogrzebu faworyta księżniczki Duchny, poległego w bitwie szczurów i myszy z kotami. Autor żartuje trochę z przesadzonych lub udanych żalów. Język inny, niż dzisiaj, bo więcej, niż 100 lat temu napisane.

¹⁾ *Manelki* — naramienniki, obrączki. ²⁾ *Szyje* — zamiast szyi.
³⁾ *Kiry* — żałoba.

48. Roześmiała mi się dusza.

Roześmiała się dusza,
 Kiej dziewucha na odpusćcie!
 Gdym wioskowe ujrzał drzewa,
 Moje drzewa w barwnej chuście!
 Moje lipy pozłociste,
 Osypane piosnką pszczelną —
 Te topolki wystrzeliste
 Ponad wieżę, nad kościelną!
 Szmaragdową mą dąbrowę,
 Srebrnokore moje brzoźki!
 Tę sosenkę z obrazikiem,
 Co w oplótkach strzeże wioski!

Roześmiała mi się dusza,
 Kiej dziewucha na odpusćcie!
 I wybiegła z piersi drżącej
 Na te łąki przy upusćcie.
 Na te łąki, na te pola!
 Między maki i bławaty —
 Za jaskółki biegła lotem
 Ponad strzechy, ponad chaty!
 Popłynęła na zagrody
 Z skowronczaną pieśnią społem,
 Razem z rosą porankową
 Opadała ponad siołem.

Roześmiała mi się dusza,
 Kiej dziewucha na odpusćcie!
 Skorom ujrzał starą matuś,
 Kmiecią matuś w białej chuście!
 Starą matuś z dwojakami,
 Co do żniwa niosła warzę, —
 Wiejską dziatwę na wygonie,
 Swoich ludzi, swoje twarze!

Te kapoty, te sukmany,
Te magierki zgięte z ucha!
Roześmiała mi się dusza,
Jak w weselny czas młoducha!

Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuscie!
Gdy mię kurny dym zaleciał
Po świerkowym smolnym chróście. —
Roześmiała mi się dusza
Do tej ziemi z chlebem w łonie,
Do tych drzewin, do tych ludzi —
Do tej dziatwy na wygonie!
Zanuciła mi piosenkę
Taką swoją, jak ta macierz!
I kazała nosić w sercu,
Za codzienny wtórzyć pacierz.

El.

(Kazimierz Laskowski, niedawno zmarły pisarz i poeta).

Jakie uczucia wyraża ta piosenka?
Wypisz stąd i wytłumacz trudniejsze wyrazy.

49. Wieczór w lesie.

Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieniejsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gasienice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała, czarna pszczołka leśna i, śpiewając radośnie zwykle: dana, oj dana!

dopełniała ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej zaczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żalosną piosnkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzioby kos, lub zalopotały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy drzewo, zaczęły się klócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyzna podnosiła swe listki do góry, król dębów przemruknął z cicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieniejszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już i wszystkie szmery leśne zwały się w poważne i ciche, choć ogromne chóry: — to bór, nim zaśnie, przed nocą modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą, i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Pierwszy chór dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiazdzistą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwala Mu na wysokościach, na wodach, na łąkach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaszkach ich listeczki nasze złote są i palące. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają jak harfy, o dobry Ojciec nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na zmęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry, radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osieczyna drży lekko, bo dała drzewo na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmiłkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy jak brzęczenie komara, cichy, jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już stworzenia, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca płóg ostrzem do góry i spieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kółki kolacze, owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok pada, w dalekiej wsi skrzypią zórawie od studni, potem błyskają okienka i zdaleka, zdaleka dochodzi szczełanie psów.

Henryk Sienkiewicz,

niedawno zmarły powieściopisarz polski.

(„Stelanka”).

50. Nocleg na paszy.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze

Konie w paszę z rąk —

I już chłopcy w jednej chwili

Stosy chróstu naznosili

I zasiedli w krąg.

I ziemniaki w żarze pieką, —

Płomień bucha, ej, daleko

Widać ogień nasz!

Co tam śmiechu, co tam wrzasku!

Ktoś upiorem straszy z lasku,

Człowiek ani dbasz!

Choć kto w dzień się namozoli,

Choć drugiego serce boli,

To najmniejsza rzecz.

Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,

Smutek duszy nie ogarnie,

Wszelka bojaźń precz!

Na rosnącej trawie rozścielamy suknie,

Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,

I chór: — Dobranoc, o Jezu! — jak huknie,

To aż się echo w olszniaku zatrząsie.

I daleko po równinie

Świętej pieśni echo płynie,

Czasem słowik wtór nam poda,

W sercu rzewność tak głęboka,

Ani ujrzysz, gdy ci z oka

Łzy poleją się, jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni

Do nowych śmiechów, do pogadanek;

We wsi już kury pieją poranek,

A o spoczynku żaden z nas nie śni.

Bo jakże usnąć w majowe noce?

Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,

A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
 Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
 Chróst na stosie, ogień bucha,
 Księżyc świeci — a gromada
 Pieśni, skazki¹⁾ opowiada,
 Skazek, pieśni bacznie słucha.
 Miłoś wkółko sieć na ziemię!
 Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
 Jeden, drugi niby drzemie —
 Miłoś drzemać na murawie!
 Ptactwo milknie po kolei,
 Ogień zwolna gasnąć zaczyna,
 A nam sen powieki klei,
 Ale czujnie, ale bacznie!
 Każdy słyszy, jako żywo,
 Czy koń parsknie, czy podskoczy,
 Brzęknie trendzla²⁾, wstrząśnie grzywą,
 Albo zarży na uboczy.

Po chwilce drzemki oko się przetrze,
 Blizko poranek, znać już po wietrze.
 Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
 Po głosie drozda i przepióreczki.
 I koń już częściej stuka w kopyta,
 Zroszoną trawę pospieszniej chwytą.
 Cyt, już i słowik strzela piosenką,
 Już i skowronek wita się z dzionkiem;
 My za słowikiem i za skowronkiem
 Nucim: — Zawitaj, ranna Jutrzenko!

Ot, i szaro, ot, i dnieje,
 Ot, i gaśnie blask księżyca.
 Ot, i zorza jak dziewczica
 Miłą barwą rumienieje;

Ot, i we wsi ruch niedzielny,
 Kogut głosi czas świtania;
 Ranny ptaszek, dziad kościelny,
 Na pacierze już wydzwania.
 Jakże pięknie dzwon daleki
 W łąkach porannych się rozplywa!
 Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
 Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
 Oblało ziemię światłem i cieniem,
 A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
 Ziemia w zieloność strojna wesolą,
 A człowiek wtedy, patrząc wokoło,
 Stalby, jak wryty, przez całe życie.
 Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
 Ani by sobie przypomniał kiedy,
 Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
 Że on nie więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:
 Konie syte nocną paszą —
 My weseli hukniem śpiewnie
 I porzucim łąkę naszą.
 I wtórując trąbką z rogu,
 Na wyścigi, hej, przez rowy!
 Ot, i nocleg nasz majowy,
 Spieszmy oddać chwałę Bogu.

Wład. Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

(„Urodzony Jan Dęborów“).

Dzieci miejskie nie znają takiej rozkoszy, jak spędzenie nocy
 na pastwisku; żyją zdala od natury, nie znają jej, i dlatego budzi
 w nich trwogę np. noc, las, burza, wichur.

Jak nazwiesz ten utwór?

Dokończ: mówimy: tabun... (czego?), stado..., trzoda..., groma-
 da..., tłum..., stos..., rój..., zgraja..., sfora...

¹⁾ Skazka — baśń, klechda, powiastka.

²⁾ Trendzla — uзда na konia.

51. Czarnoziem.

I. Gdy wyjdziemy w pole, na łąkę, do lasu lub do ogrodu, widzimy ziemię czarną. Czarna ziemia leży zawsze tylko na powierzchni, nigdy jej nie ma w głębi ziemi, nawet nie sięga głęboko; pod nią leży piasek i glina. Przypatrzcie się takiej ziemi, choćby w doniczce,— odrazu zobaczycie, że się składa z czarnych grudek; a lepiej się przypatrzysz, zobaczycie w niej i ziarenka piasku. Zwykle w ziemi takiej znajduje się i trochę gliny, wapieni i t. d. Czarną część tej ziemi, t. j. owe czarne grudki, nazywamy *próchnicą*.

Jeżeli w takiej ziemi znajduje się bardzo wiele piasku, a mało innych części, to taki grunt nazywamy *piaszczystym*. Ziemia, w której znów będzie dużo gliny, a mało innych części, nazywa się gruntem *gliniastym*. A jeżeli mamy w ziemi dużo wapiennych części — gruntem *wapnistym*. Ziemia zaś, zawierająca dużo próchnicy, zowie się *czarnoziem*.

W czarnoziemie najlepiej rosną rośliny. Trawy, zboża, ziola, drzewo i t. d. potrzebują koniecznie ziemi czarnej — na innej nie rosną; ważną więc jest rzeczą wiedzieć, czym jest ta ziemia czarna? — Przekonano się, że czarna część ziemi, czyli próchnica, składa się tylko z ciał gnijących. W ziemi gniją ciągle różne ciała, np. korzonki zwiędłych traw i ziół, liście, które co jesień spadają w wielkiej ilości z drzew, przekwitłe i opadłe kwiaty. Muchy, komary, motyle, mrówki, osy i różne inne owady, a także robaki, po śmierci padają na ziemię i gniją. Zwłaszcza w lesie gnie co rok mnóstwo takich istot, a nawet i daleko większych, np. myszy, szczury, krety, ptaki i wiele innych zwierząt. Wogóle wszystkie rośliny i wszystkie zwierzęta po śmierci gniją w ziemi; a także różne odpadki, t. j. co wyrzucamy z pokarmów, śmiecie i t. p. Gdy takie ciała gniją, przedewszystkiem czernieją, i stąd tworzy się próchni-

ca. Czy widzieliście kiedy liście, które dawno opadły z drzewa i leżały przez czas długi w ziemi? Są one zupełnie czarne, tak jakby się zwęgły, bo też rzeczywiście zamieniają się na węgiel, tak jak drzewo ogrzewane zwęgla się bez płomienia. Ale drzewo ogrzewane zwęgla się prędko; a ciała, gnijące na powietrzu, zwęglają się powoli; potem powoli rozpadają się i kruszą.

II. W czarnej ziemi zawsze znaleźć można resztki korzonków, liści, owadów i t. p. ciał, niezupełnie jeszcze, albo zupełnie zwęglone. Wiecie, że takie ciała, jak korzenie, liście, owady i t. p., w ogniu się palą; nie więc dziwnego, że gdy pomieścimy trochę ziemi czarnej w ogniu, wówczas spala się ona tak, że pozostaje tylko trochę piasku i gliny, które zawsze znajdują się w czarnej ziemi obok próchnicy. Gdybyśmy wzięli trochę ziemi czarnej i zważyli ją, następnie wypalili w niej całą próchnicę, t. j. wypalali ziemię tak długo, aż przestałaby się dymić i przestała być czarna, a pozostałe części niepalne znów zważyli, przekonaliśmy się, że ziemia po wypaleniu waży mniej, niż przedtem; dlaczego? Bo w ziemi była próchnica. Więc ziemia po wypaleniu będzie ważyła mniej o tyle, ile ważyła zawarta w niej próchnica. Jeżeli więc chcemy wiedzieć, ile się w ziemi znajduje próchnicy, a ile innych części, to należy tak postąpić: zważyć trochę ziemi, wypalić ją, i powtórnie zważyć, ten ostatni ciężar odjąć od pierwszego, a różnica wykaże ciężar próchnicy. Tym właśnie sposobem przekonano się, że zawsze w każdej ziemi czarnej jest więcej piasku i innych części, niż próchnicy. Im więcej jest próchnicy, tem lepiej rosną w takiej ziemi trawy, zboża, ziola, krzaki, drzewa i t. p.

M. Heilpern,
Współczesny przyrodnik.

Zrobić rozkład tej rozprawki.
Czarnoziem w Hrubieszowskiem, na Kujawach, na Żmudzi, Po-
dolu i Ukrainie.

— 118 —
52. Wstań, o dziecię...

Wstań, o dziecię, idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnym naszym niebem
Kłosa brzęczą żytym chlebem,
Jako struny szklane...

Idź i słuchaj, a w tym szumie
Może serce twe zrozumie,
Jakie to tam rosy świecą,
Jak masz uczcić dolę kmiecia
I zgrzebną sukmanę.

Ucz się, drogie dziecię moje,
Nosić wcześniej twarde zbroje,
Jak dawni rycerze;
Nie z żelaza, nie ze stali,
Te, co ludzie wykowali,
Hełmy i pancerze;
Ale jasną, ale dzielną
Zbroję ducha nieśmiertelną,
Co się strzał nie boi,
Ale taką tarczę złotą,
Co się zowie wolą, cnotą,
A za oręż stoi.

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy, złanej potem,
Odgadujesz dolę twardą:
Uchyl czoła, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi;
Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoi.

Szanuj, drogie dziecię moje,

— 119 —
W małym ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropli — przyszłe zdroje,
W szelągu — miljony.
W każdej myśli — zaród czynu,
Życie — w chwili, co ucieka,
A sam w sobie — szanuj, synu,
Przyszłego Człowieka.

53. Wet za wet.

Pewien kmieć, prawując się z sąsiadem, oddał papiery swoje jakiemuś pokątnemu doradcy z prośbą, aby mu do sądu napisał podanie, tylko aby długie.

Pisarz spełnił żądanie chłopca, ale za swoją pracę kazał sobie dużo zapłacić.

— Ej, proszę jegomości — rzecze kmieć, przeglądając uważnie papiery — toć to co prawda długo, ale strasznie rozwlekło pisane; nie mogłoby to być odrobinę ściślej?

— Nie rozumiecie się na tem, mój bracie — odparł pisarz z powagą — tak pisane, jak *potrzeba*, bo takie jest właśnie urzędowe pisanie. Jeżeli nie macie pieniędzy, to możecie mi za nie zaościć parę morgów.

Poskrobał się kmiotek w głowę i wreszcie rzekł z westchnieniem:

— Ha, cóż robić? Kiedy trzeba, to trzeba.

Nazajutrz wyruszył w pole, i zaczął orać grunt pisarza, ale skiba¹⁾ od skiby na dwa łokcie.

Około południa nadszedł i pan pisarz, a zobaczywszy taką rzadką orkę, skoczył jak oparzony.

— I cóżecie też zrobili! — zawołał. — Na cóż zdała się taka robota?

— Pan się na tem nie rozumie — odpowiedział kmieć spokojnie. — Zrobiłem jak potrzeba, to jest właśnie orka urzędowa.

Takie krótkie a zabawne opowiadanie nazywa się *anegdota*.

¹⁾ Skiba — wążki i długi pas ziemi między dwiema bródzami.

54. Przysłowia gospodarskie.

Na Nowy Rok przybywa dnia na kurzą stopę, na barani skok.

Święty Maciej zimę traci albo ją bogaci (25 lutego).

Na świętego Grzegorza idzie zima do morza (12 marca).

Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka (21 marca).

Święty Marek (25 kwietnia) wrzuci do wody ogarek (światła na kominach przestają w chatach palić). (Ogarek — świeca lub głównia niedopalona).

Święta Zofija kłosy wywija (15 maja).

Na święty Wit słowik cyt (15 czerwca).

Święty Jan — jagód dzban (24 czerwca).

Kiedy człowiek łakę kosi, lada baba deszcz uprosi.

Od świętej Anki chłodne wieczory i ranki (26 lipca).

Na święty Wawrzyniec czas orać w ozimiec (10 sierpnia).

Na święty Wawrzyniec — orzech wyrębieniec.

Święty Idzi nie już w polu nie widzi (1 września, po żniwach).

Święty Michał z pola wszystko pospychał (29 września).

Michałkowe sianko, marcinkowe żytko — licha warte wszystko (siano suszone na św. Michał i siew żyta w listopadzie).

Na Szymona i Judy koń boi się grudy (16 i 28 października).

Święta Katarzyna adwent zaczyna (25 listopada).

Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie (4 grudnia).

Na święty Szczepan każdy sobie pan (26 grudnia, gdy czeladź odprawia się ze służby.)

55. Święta miłości...

Święta miłości kochanej ojezyny,

Czują cię tylko umysły pocziwe!

Dla ciebie zjadł smakuja trucizny,

Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!

Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,

Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!

Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!

Byle cię można wspomódz, byle wspierać,

Ignacy Krasicki.

(„Myszeis“).

Kto był Krasicki?

56. Przyroda kraju naszego z przed lat tysiąca.

Cała przyroda kraju naszego, jak zresztą i innych krain Europy, była przed lat tysiącem zupełnie odmienna i do dzisiejszej niepodobna.

Gdyby kto mógł wówczas wzbić się wysoko nad polską ziemią i, niby ptak bujając, z góry na nią spojrzeć, to cały kraj wydałby mu się jedną olbrzymią, ciemną puszcza, w której polyskiwała siatka wód płynących: strumieni, rzeczek i rzek. Były one inne nieco od dzisiejszych, bo obficie zasilane wilgocią wielkich lasów, a przez to wspaniale nabrzmiałe i szeroko rozlane. Nad wstęgami wód tych, gdzieś tam, w miejscach przystępniejszych, świeciły obszerne polany, opanowane i zajęte przez pierwotnego człowieka pod uprawę lub na wypas bydła.

Lesistość i wodnistość były główną cechą kraju. A i lasy różniły się od dzisiejszych, bo dziksze były od naszych i po kilkakroć obszerniejsze od największych. Wszelkie gatunki drzew, jakie tylko znosić może nasz klimat, buj-

nie tu wyrastały. Dąb i lipa, klon i olcha, jesion, modrzew—rosły wspaniale, ale najczęściej po piaszczystych równinach sosna, ku niebu wierchołkiem swym strzelająca.

A w tych napozór spokojnych ostępach¹⁾ przez całe wieki wrzała zażarta walka, w której dąb z dębem, klon z klonem, olchą, sosną i modrzewiem zawzięcie walczyły o każdą kroplę wody, o piędz ziemi każdą, o każdy promień słońca, do życia im potrzebne.

A kiedy po kilku stuleciach, starością już wyniszczony i nieustannem napieraniem złych sąsiadów lub siłą wiatru pokonany olbrzym zwałił się na posłanie miękkich mechów, wrzosów i paproci,—to całem swem brzemieniem dziesiątki słabszych sąsiadów przywalał i gałęzie ich druzgotał...

Tak skłębione i splątane konary i pnie powalone gniły, rozkładały się w ciągu całych dziesiątków lat,—a nim zdołały zupełnie w próchno się rozsypać, tworzyły naturalne zasieki, które tem trudniejszym robiły dostęp do puszczy.

II.

Te wielkie, dzikie i niedostępne knieje były wspaniałym schronieniem dla wszelkiego rodzaju zwierząt. Tysiącami więc gnieździły się w zaciszu podmokłych brzegów wspaniale przystrojone bobry, bezpiecznie królując w wysokich, misternie skleconych przez się zamekach; nie straszyl ich żaden hałas, pokolenia całe rodziły się, żyły i marły, szelestem kroków ludzkich nie spłoszone. Całymi tysiącami stad wypasały się tury i żubry; na lesistych równinach w pobliżu bagnisk przebiegały rącho olbrzymie łosie o rosochatych rogach, a na rozległych trawiastych dolinach, wśród odwiecznych lasów, spotkać się można było

¹⁾ *Ostęp* — las wielki na miejscach niskich, błotnistych, albo sieci, któremi zwierza osaczają.

z tabunami koni i osłów zdziczałych. Dość było wstąpić na brzeg lasu, żeby na każdym kroku potrafić o niezliczone mnóstwo wilków szkodników, przynęconych smaczem mięsem dzików, sarn, jeleni, danieli, wreszcie lisów, kun, lasic, wiewiórek, których każda osada biła tysiące na przyodziewek zimowy.

A nie wspominać już o tych chmarach dzikiego ptactwa, wśród którego sokół, skrętnie przez łowców poszukiwany, królował; o tych dobroczynnych rojach pszczół, od których lasom polskim nazwa miodopłynnych się dostała.

A jakie ryb niezliczone gromady żyły w głębinach tych strumieni i jezior, tego już dziś wyobrazić sobie niełatwo, bo w większej części wodnych przestrzeni jeszcze nie płoszyła ich sieć ani wędka.

Wobec tak dzikiej przyrody pierwotne osady ludzkie trzymały się przedewszystkiem wód. Tu tylko świeciły bezleśne polany, stosowne do wypasu bydła lub nęcące do uprawy namulnym czarnoziemem; rybne wody zresztą same dostarczały żywności, a i w drogę łatwiej się było puszczać wodą na łodziach, niż przez gęstwiny borów. Nadbrzeża wielkich rzek stały się zatem głównymi ogniskami osiedlenia ludzi; później dopiero rozszerzało się ono coraz dalej—w miarę rozrostu ludności—głównem korytem lub łożyskami drobniejszych strumieni.

S.

Czy piękniejsza była ziemia nasza wówczas, czy dzisiaj?

57. Rzeki, wpadające do Wisły.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie Wisława w srebrny uderzyła dzwonek, Ażeby zwołać pod szklany przedsionek Swoje lennicze bogi i boginie.

Wielki szum powstał w górach i dolinie:
Dążą lennicze bogi i boginie.

Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rzeźki Krakowiaczek hasa.

Młodziuchna *Nida*, podobna kwiaciarcie,
Bieży przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Biegną *Dunajce*, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą:
Jeden z nich w *Białe* okręca się fale,
Drugi się *Czarną* owinał oponczą.

Za nimi lekko idzie modro-oka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca *Wisłoka*.

A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzida
Druzgocze lasy i przebija skały.
Po jego falach echa Karpat idą.

Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszczy smutnych, jak wyrocznia huczy.

Dalej w dolinie, wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się *Kamionna*.
Zda się, że słyszysz królownę zakłętą.

Miedzy zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka, ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca płasza stopami bystremi.

Za nią poważna, szafirowo-lica,
Idzie, jak cicha kapłanka, *Pilica*.

A teraz z drogi! oto z wielkim szumem
Nadchodzi *Narew*, cała upowita —
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.

Jakiż to kmiołek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesół ów żeniec,
Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków, ładownych pszenicą, się stroi,
Wieczne na wodach wyprawia okrężne!

Tam *Bzura* dźwiga szaty, obciążone
Kiściami pereł, nosi krucze włosy
Perłami spięte, i z pereł koronę.

Tam wre i szumi wartkołotna *Drwęca*,
Która w winnice, i róże, i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.

Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.

Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną *Moltawę*
I radującą się wiecznie *Radunię*,

Co jak odzwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Kłucze, błyszczące wysadzone rosą.

Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle idą, z niemi inne jeszcze

I jeszcze inne, — lecz któż je wyliczy?
 Księgęby spisał, kto wiernemi farby
 Chciałby malować cały dwór lenniczy,
 Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Deotyma.

(Jadwiga Łuszczewska, poetka z w. XIX-go i począt. XX-go).

Co znaczą przysłowia: „Wielkie rzeki płyną cicho“, „Rzeka w górę nie popłynie“.

58. Mazury.

Mazurami zowiemy lud polski, osiadły na Mazowszu. Ziemia ta obejmuje dzisiejsze gubernie: Płocką, Warszawską, część Łomżyńskiej i Siedleckiej.

W dawnych, bardzo dawnych czasach Mazowsze było jedną wielką puszcza a ludność musiała zużyć wiele pracy, żeby zdobyć obszary ziemi, zdatne do uprawy zboża. Palono wtedy las na jakiejś przestrzeni, następnie grunt, pozyskany w ten sposób, spulchniano w ciężkim znoju, za pomocą gałęzi.

Prawie całe Mazowsze ma ziemię mało urodzajną, przeważnie piaszczystą, wymaga więc ona ciągle usilnej pracy rolnika. Być może, iż właśnie ta okoliczność wpłynęła na wyrobienie większej przedsiębiorczości i dzielności w Mazurach. Wiadomo, że oni najwięcej zdobyli ziemi uprawnej z pod gęstych niegdyś lasów swoich i najdalej rozszerzyli kolonje polskie na północ na Mazurach pruskich, a potem na wschód, aż po Dniepr i Dźwinę.

Mazur okazał, że jest upartym, tak w życiu codziennym, jak i w zdobywaniu ziemi pod uprawę; potrafił też jej bronić, jak tego dowiedli Kurpie za najazdu szwedzkiego.

Mazury ubierają się bardzo rozmaicie: wogóle na prawej stronie Wisły mężczyźni noszą przeważnie kapoty¹⁾

¹⁾ *Kapota* — rodzaj surduta.

szare i bure, na lewym zaś brzegu — granatowe¹⁾, czasem zielone żupany²⁾, sukmany³⁾, albo płaszcze z pelerynami. Kobiety na prawym brzegu Wisły kładą sznurówki i białe chusty na głowę, a na lewym obok sznurówki — kaftaniki (katanki, algierki), na głowę zaś chustki kolorowe, barwiste. Na całym Mazowszu mężczyźni noszą czapki baranie, wysokie buty i spodnie wpuszczone zimą; a kobiety używają „zapaski“, t. j. fartucha do okrycia pleców.

Mowa Mazurów tem się odznacza, że nie odróżnia *sz* od *s*, *cz* od *c*, a *ż* od *z*, np. Mazur mówi: psenica, capka, zyto; ale *rz* wszędzie wymawia poprawnie, więc: krzesiwo, przetak, rzepa, tak jak wymawiają ludzie oświeceni. Prócz tych, są inne różnice.

Większość ludności na Mazowszu mieszka po wsiach i zajmuje się rolnictwem. Wsie zabudowują zwykle w jedną linję, chaty stawiając szczytem (t. j. bokiem) do ulicy.

Mazowsze jest ojczyzną tańca, zwanego mazurem.

Według J. Karłowicza.

(Opisanie Królestwa Polskiego*).

Zrobić rozkład i opowiedzieć.

Objasnić wyrazy: puszcza i pustynia, kapota, żupan, sukmana.

59. Mazur.

Piękna nasza Polska cała,
 Piękna. żyzna i niemała!
 Wiele krain, wiele ludów,
 Wiele stolic, wiele cudów;
 Lecz najmiłsze i najzdrowsze
 Przecież człeku jest Mazowsze!

¹⁾ Widzimy je u wieśniaków z Wilanowa.

²⁾ *Żupan* — rodzaj surduta, zapinanego na haftki, ze stojącym kołnierzem, bez klap. Na żupan kładł się kontusz, ale po domu nosili zwykle Pałacy same żupany.

³⁾ *Sukmana* — zwierchnia odzież kmiecia z sukna.

Bo gdzie takie cudne stroje,
I śpiewanki, i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu mile tak pielesze¹⁾,
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie!

Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnio podkasały,
A Odraki lud zniemczaly;
A więc nasza, nasza góra,
Niemasz w świecie nad Mazura!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyśpiewują im flisaki,
I grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wioząc, z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warszagi²⁾,
Mówią wszyscy: „Mazur tęgi!”

Tęgi Mazur, ot w pokoju!
Lecz się przyda i do boju,
I Bóg, gdyby świat dziś tworzył,
Już z Mazurówby go złożył.
Nawet w tańcu nasza góra:
Niemasz w świecie nad Mazura!

Wincenty Pol.

¹⁾ *Pielesz* — gniazdo drapieżnego ptaka, łożysko zwierza.

²⁾ *Warszaga* — Warszawa.

Gdzie to jest Mazowsze? Jakie miasta leżą na Mazowszu? Czy
aprawdę: „nie masz w świecie nad Mazura”. Jak możemy nazwać
o zdanie?

60. O śpiących rycerzach w Tatrach.

Przewędrowałem w życiu wiele świata, góry widzia-
łem niebotyczne, pokryte nietającymi nigdy lodami, widy-
wałem rzeki tak szerokie, że trzeba całej niemal godziny,
aby łodzią przepłynąć z jednego brzegu na drugi, siady-
wałem po dolinach tak cudnych, że ziemia wydawała mi
się rajem, patrzyłem na tęcze, które z fali, rozbitej na
drobne pyły, ogromne tworzą wodospady, a przecież tę-
sknota nigdzie na ma takiego wytchnienia, jak w naszych
Tatrach.

Urok posiadają niewypowiedziany te nagie, granito-
we szczyty, te ciemne lasy świerkowe, od wieków ludzką
nietknięte siekierą, te kępy kosodrzewiny, rosnące na zie-
lonych upłazach, te szumne, głośnie siklawce czyli potoki,
po stromych spadające głazach, te turnie, w przedziwne
poszarpane kształty, te bujne trawy, te stada pasące się
latem po halach, ci bacowie i juhasi, to jest pasterze
i pastuszkowie, strzegący owiec po murawach lub pod
wieczór spędzający je do ogrodzisk.

Słońce tu świeci promienisciej, wichry szaleją potęż-
niej, mgły przewalają się kłębami tak potwornymi, że zda
się nieraz, jakoby chciały te wszystkie góry naokoło przy-
gnieść, zmiażdżyć wilgotnym ciężarem.

A przytem pełno tu jest opowieści, których człowiek
radby słuchał bez końca, tak są piękne i tak głęboką myśl
nieraz ukrywają w sobie.

Zapewne nie ja sam, lecz także wielu innych wędrow-
ników po górach lubi najbardziej dolinę Kościeliską.

Przed laty, zawitawszy do niej po raz pierwszy sta-
nałem na moście, rzuconym przez potok, i przyglądałem
się rycerzowi wykutemu w szarej skale. W szyszaku na

głowie, ze skrzydłami u ramion, z mieczem w rękę, pochylił się ten kamienny bohater i śpi.

Zadumawszy się nad tą postacią, anim spostrzegł, kiedy za mną stanął długowłosy, osiwiwały góral i rzekł:

— Przypatrujecie się, panie, tej postaci, a pewno nie wiecie, co oznacza. Wykuli ją tu na pamiątkę, że w tych skaliskach, w wielkiej, by kościół, pieczarze, uśpione leży wojsko. Podobnoś polskie, a przywędrowało tu od Krakowa, czy gdzieś Poznania i Gniezna. Przewodzi mu król znamienity, przesławny; od naszych dziadów i pradziadów mamy wieści, że nazywał się Chrobry. Za naszej pamięci nikt tego wojska tu nie ujrzał, bośmy jeszcze nie godni, lecz przed wiekami był tu we wsi Kościeliskach czy też Zakopanem, mały chłopaczek, który na lato wyganiał stado ojcowskie do tej doliny, na pastwisko. Owce szczypały sobie trawę, pilnował ich biały, piękny pies owczarski, a chłopiec, że był zręczny i niesłaby, wspinał się po tych skałach, zrywał szarotki i dzwonki, czasem i korzeń gorczykowy, dobry na leki, z pod ziemi wygrzebał, przeróżne też napotykał jaskinie, do których przed nim nikt jeszcze nie dotarł.

Pewnego razu zabląkał się w ustronń nieznana, niedostępna, w strasznie czarne urwiska, oślizgle od wody śniegowej, strzelające ku niebu z pośród gęstwi kosodrzewiny, siwych świerków, drobnych żwirów i takich złomów kamienistych, że i sto koni nie ruszyłoby ich z miejsca. Rozejrzał się naokoło. Wszędy pustość, ani śladu ścieżynki, którą przed chwilą przebył. Z początku przeraził się, ale po chwili pomyślał: „Kiedym tu doszedł, to i wrócę, jak nie tą, to inną drogą“. I aby dodać sobie odwagi, a może i z uciechy, że z tej wyżyny ujrzał całą dolinę, wartkim przeciętą potokiem, a poza nią wszere i wzdłuż wszystkie niemal szczyty, jakie są w Tatrach, huknął na góry, na lasy, huknął raz i drugi. Odezwało mu się echo. Huknął po raz trzeci i skamieniał. Zdało mu się, że sły-

szy organy, które jakby grały wewnątrz turni. Bywał nie raz w kościele w niedalekim Chocholowie, albo i w Czar-nym Dunajcu, — w Zakopanem świątynia Boża wówczas jeszcze nie istniała — ale równie potężnej muzyki jeszcze nie zasłyszał. Mury rozwalilyby się od takiego głosu: chyba na dziesięciu albo i na stu zagrano mu organach. W tej samej chwili rozstąpiły się głaźne ściany, z prze-raźliwym rozwarły się trzaskiem i łomotem, i przed oczy-ma pastuszka niewidziane wyrosło zjawisko: olbrzym cały zakuty w zbroję, z szyszakiem na głowie, ze skrzydłami u ramion, z ogromnym, prostym, szerokim mieczem w dłoni. Stanął ten rycerz w słońcu, jak w złocie, i zawołał: „Kto ośmiela się budzić nas ze snu wiekowego? Czy nad-szedł już czas? Ale chłopiec, oniemiały z przerażenia, odpo-wiedzi żadnej dać nie mógł, bo też i pytania tego jeszcze nie rozumiał. Rycerz zaś, spostrzegłszy jego przestרח, powiada: „Nie lękaj się, nie złego ci nie uczynię, bom nie zbójnik, tylko wojownik, który krew przelewał za ojczyznę, a potem razem z towarzyszami przyszedł w te skały na sen wiekowy, aby się zbudzić do życia, gdy lu-dzie staną się tak dobrzy, jak ty — bo widzę, żeś jest dobry — gdy nabiorą takiej wiary i mądrości, że już nie będą mogli znieść jarzma, co ich gniecie. A gdy do tego dojdzie, wówczas zjawi się taki drugi chłopaczek, jak ty, wybrany z tysiąca, albo i z miliona, bo musi być najgod-niejszy, zapuka do bramy złocistej i wielkim zawoła gło-sem: „Wstańcie, rycerze, ze snu wiekowego, wstańcie i spłynicie w doliny, pomiędzy ludzi, którzy stali się już dobrzy i mądrzy i wielką mają wiarę, a pod panowaniem złego z dnym sposobem żyć już nie chcą dłużej! Wstań-cie, rycerze skrzydlaci, podobni do aniołów z nieba!“ My to usłyszymy i uwierzemy, gdyż skłamać — on nie skłamie! Rumaki nasze zeprzemy ostrogami i z dobytym mieczem w dłoni popędzimy w świat, jak wichra, jak bu-rza. Zerwie się naokoło szum ogromny. Świerki, jak rzy-

sko, łamać się będą pod kopytami naszych wierzchowców; wielkie głązy polecą ze szczytów, jak drobne kamyczki. Potoki i jeziora podniosą się ze swych łóżysk i lejów, mgły się zakłębią tak, że świata z pod nich widać nie będzie. Całe niebo i ziemia zatrzęsie się od grzmotów; błyskawice krzyżować się będą, jak miecze ongi zastępów niebieskich, co walczyły z szatanami, pioruny walić będą bez ustanku, przestrach pójdzie po wszystkim, co żyje, lecz potem nastanie pokój. Gromy ucichną, potoki i jeziora ułożą się w błękity, mgły w srebrną przemienią się rosę, błyszczącą na trawnikach i kwiatach i iglicach drzew świerkowych, złote na niebie zajaśnieje słońce, a ludzie, zbawieni z niewoli, pieśni radosne zaśpiewają i dziękować będą niebiosom za cudowne zwycięstwo“.

Tak mówił rycerz. A pastuszek słuchał tego, jakby dziwna; upadł przed nim na kolana i rzecze: „Udam się między ludzi, pójdę choćby na krańce świata i obwieszczę im, com słyszał. A chciałbym też zdobyć taką wiarę i taką mądrość, iżbym ich mógł tej wielkiej wiary i tej wielkiej mądrości, potrzebnej do wyzwolenia nauczyć“. Podniósł go wojownik z ziemi i rzekł: „Dostąpisz jeszcze tej łaski, że zobaczysz nas wszystkich razem, abys do ludzi, braci swojej, zawołał: „Wierzcie mi, bracia moi, bom zbrojnych mężów tych na własne widział oczy“.

I z temi słowy powiódł go do jaskini, napelnionej światłością. A jaskinia była tak rozległa, że kilka godzin nie wystarczy, aby ją przejść, stokroć obszerniejsza, niż ona grot w Kobylim Wierchu na Spiżu, pod Białą. Ściany powyżłabiane w najdziwniejsze kształty, nito kwiaty, nito drzewa, nito ściekające fale, nito figury precudne. Z góry zwieszały się jakby w kamień obrócone złotogłowa, coto ich pełno rośnie w Tatrach, albo paprocie przeróżne i inne zioła; z ziemi wyrastały żółtawe, przejrzyste, niby alabaster, gładne pnie, jakby jakichś świerków odartych z gałęzi, a tak dźwięczące, że kiedy rycerz, co wędro-

wał z pastuszkim, dotknął się ich przypadkowo, to po całej jaskini rozlegało się najgłośniejsze brzmienie organów.

Przebyli kilka krążganków, natrafiali na kaplice, na ołtarze ze złocistego glazu, na skamieniałe wodotryski, na błękitne jeziora i stawy, a w niektórych miejscach jakby na nagrobki, rozrzucone po cmentarzysku, aż wreszcie wkroczyli do sali tak wielkiej, że jej okiem nie wymierzysz.

I tutaj ów pastuszek, już ośmielony, ujrzał przed sobą obraz, jakiego ani przedtem, ani potem nigdy w życiu nie oglądał. Nieprzeliczone rzędy rycerzy w hełmach i zbrojach pozłocistych, ze skrzydłami u ramion, z szeroimi mieczami w rękę, na pięknych siedziały rumakach, przyodzianych kosztownymi kobiercami i skórą z lampartów, lwów i tygrysów. Na łbach konie te miały pęki białych piór, a podkowy ze złota.

Na widok rycerza-wartownika przeszło drżenie po szeregach, konie zaparskały, a ona zbrojna husarya poprawiła się na siodłach, wysadzanych turkusami; nie odezwał się jednak żaden głos, tylko wszyscy, z wodzem królewskim na czele, pytające w przybyłych wlepili spojrzenie. A gdy rycerz krótkie rzucił hasło: „Jeszcze nie!“, odrazu bojowe hufy te skamieniały: przytulone do karków końskich na nowo zasnęły i śpią tak od wieków.

Zasię z chłopaczkiem stało się tak. Rycerz, nim zasnął, kazał mu tą samą drogą wrócić na świat. „Nigdy już tutaj — powiedział — nie będziesz, miejsca tego nie szukaj, bo go nie znajdziesz“.

Z trzaskiem zawarła się za pastuszkim złocista brama, zapadła się odrazu w ziemię, skały się spoily, owinięte kosodrzewiną i świerkami, i błyszczały na nich dalej szarotki i dzwonki.

Zeszedłszy ku stadu, które pasło się, strzeżone przez pięknego, białego psa owczarka, pastuszek przemyślał nad tem, co widział i słyszał, i naprzód wiadomość o wszystkim dał ojcu, że musi iść między ludzi i uczyć

wielkiej wiary i wielkiej mądrości, aby wszystko spełniło się tak, jak mu rycerz o tej świętej godzinie wyzwolenia wyprorokował. A ten, ponieważ dobry człowiek był, powiada: „Snadź jesteś w łaskach u Boga, boś na własne oczy oglądał i na własne uszy słyszał, co my tylko ze starodawnej znamy opowieści. Ale jakże ty ludzi będziesz uczył wielkiej wiary i wielkiej mądrości, kiedyś sam tego nieświadomy? Do szkół pójdziesz, oświecenia nabierzesz, a potem głosić będziesz tę cudną prawdę“.

I tak było.

Pastuszek wyrósł na mędrca, a że dla siebie nie nie pragnął, jeno żyć chciał dla drugich, udał się w świat, w miasta i wioski i naprawiał ludzi. Siły jednak za mało posiadał, a życie za krótkie, iżby wszystkiego dokonał. Poszły za nim tysiące i pójda jeszcze tysiące, ale dopóki wszyscy, do ostatniego człowieka, nie przejmą się jego nauką, nie spełni się proroctwo o śpiącym wojsku. Myśmy dotąd jeszcze nie godni, nie wiemy na pewno, w której skale cud ten się mieści, lecz mamy nadzieję i ufność, że już niedługo mądrość i wiara w wyzwolenie po świecie się rozkrzewi i że wtedy natchnie Bóg takiego chłopaczka, jak tamten, że chłopaczek ten znajdzie ową jaskinię, do bramy złocistej zapuka i będzie mógł śpiącym rycerzom słowo powiedzieć niekłamliwe: „Już czas!“.

Jan Kasprowicz,

współczesny poeta polski.

W jakiej okolicy Polski znajdują się Tatry? Wymień nazwy innych gór naszych. Oprócz Czarnego Dunajca jaki jest jeszcze drugi? Co znaczą wyrazy: kosodrzewina, uplaz, turnia, hala? Gdzie jest Spiż?

61. Rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje i łowy;
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie ich było i twarde i krwawe,
A głośnie jak bitew fanfary,
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
Pod krzyża białymi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z bliźną na piersiach lub twarzy;
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U Pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
A jeśli się bali — to czarów,
Po wojnie, przy wielkich dębowych swych stołach
Z zdobytych pijali puharów.

Adam Pajgert.

Dlaczego bali się czarów? Czy ci mężni rycerze byli bardzo uczeni? Czy nauka była im potrzebna? Czego się oni uczyli od dziecka?

62. Kraków.

I. Kraków, dawna stolica Polski, leży na lewym brzegu Wisły. Obecnie jest to forteca i drugie miasta w Galicji¹⁾. Składa się z właściwego miasta i przedmieść, któremi są: Kazimierz, Kleparz, Wesola, Stradom, Nowy Świat i Piasek.

W środku właściwego miasta znajduje się czworokątny rynek, od którego roztacza się 11 ulic, połączonych przecznicami. W dawnych wiekach bywał on widownią

¹⁾ Pierwszem jest Lwów.

świetnych uroczystości, kiedy królowie polscy po obrzędzie koronacyjnym zasiadali pośród ludu na wyniosłym tronie i hołd od lennych książąt, oraz przysięgę na wierność od większych miast odbierali. Widział on chwilę jedyną i niezapomnianą, gdy człowiek cichy i skromny, ale wielki miłością i poświęceniem, naczelnikiem narodu obwołany, przysiągł, że „powierzonej sobie władzy na nieczyj prywatny ucisk nie użyje“, lecz jedynie dla odzyskania wolności, — i wzywał do walki naród cały: panów i księży, szlachtę i mieszczan, kmieci i Żydów.

Na środku rynku, zabudowanego starożytnymi kamienicami, stoją Sukiennice, gmach wspaniały, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a odnowiony w r. 1879. Obecnie są tu na dole sklepy, na piętrze Muzeum narodowe, zbiór drogich nam pamiątek i galerja obrazów, a przed Sukiennicami wznosi się pomnik najslawniejszego poety naszego, Adama Mickiewicza.

Do najstarożytniejszych i najpiękniejszych budynków krakowskich należą: zamek na Wawelu, Biblioteka Jagiellońska, kościół katedralny, kościół Panny Marji czyli Marjacki, stara wieża ratuszowa i brama Florjańska z rondlem¹⁾.

Zamek, zbudowany w południowej części miasta, stoi na górze, Wawelem zwanej. Pod tą górą znajduje się pieczara, w której, według podania, miał przebywać smok, wyrządzający wielkie szkody mieszkańcom, a zabity później przez księcia Krakusa. Zamek obecnie odnawiają i oczyszczają z różnych dodatków, żeby odzyskał dawny charakter.

Kościół katedralny na Wawelu obok zamku mieści w sobie 22 wspaniałe kaplice i pełno pomników historycznych. W górnym kościele znajduje się trumna z ciałem św. Stanisława, a w kaplicach i podziemiach groby królów polskich, ks. Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki.

¹⁾ Rondel — okrągły budynek forteczny.

W osobnej krypcie¹⁾ spoczywają tutaj zwłoki Adama Mickiewicza, „króla pieśni polskiej“. Skarbiec kościelny posiada bardzo wiele cennych pamiątek. W dzwonnicy sławny dzwon, Zygmuntem zwany. Wydzwaniał on nam nieraz chwile szczęścia i sławy, witając wracających zwycięzców.

Biblioteka Jagiellońska, zawierająca 150 tysięcy dzieł, stanowi część dawnego uniwersytetu, czyli wszechnicy, t. j. najwyższej szkoły. Uniwersytet, pierwotnie założony przez Kazimierza Wielkiego we wsi Bawół pod Krakowem, po jego śmierci upadł zupełnie, a odnowiony został i rozszerzony w r. 1400 przez Władysława Jagiellę, wypełniającego w ten sposób wiernie wolę zmarłej żony, Jadwigi. W r. 1900 upłynęło 500 lat od założenia tej szkoły, która w XV w. była najlepszą w całej Europie. Tu się uczył słynny gwiaździarz, czyli astronom, Mikołaj Kopernik. W r. 1887 otwarto w Krakowie nowy uniwersytet.

II. Kościół Panny Marji, z dwiema nierównej wysokości wieżami, założony w w. XIII przez Iwonę Odrowąża, biskupa krakowskiego, mieści w sobie piękne rzeźby sławnego rzeźbiarza, Wita Stwosza, i posiada ściany malowane przez największego malarza polskiego, Jana Matejkę. Wiosną i latem na wieży marjackiej co rano wygrywają na trąbach *hejnał*, t. j. pieśń poranną.

Innych większych i mniejszych kościołów jest w Krakowie około 40. Z nich wspomnieć należy kościół św. Michała na Skalce, gdzie są „groby zasłużonych“ krajowi ludzi; spoczywają tu pisarze: Długosz, Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk, J. I. Kraszewski, St. Wyspiański i inni. Z malarzy: Matejko i Siemiradzki.

Dawniej cały Kraków był otoczony murami i basztami, obecnie murów niema. Z baszt, których było 46, pozostały 3. Na miejscu murów założono naokoło miasta piękne

¹⁾ Krypta — kaplica podziemna.

i szerokie aleje, zwane *plantami*. Opasują one zieloną, wstęgą śródmieście i bardzo ozdabiają Kraków, przyczyniając się jednocześnie do jego uzdrowotnienia.

Prócz wszechnicy posiada Kraków różne zakłady naukowe: gimnazja męskie i żeńskie, szkoły realne, szkoły ludowe, wyższą szkołę dla kobiet d-ra Baranieckiego, szkołę sztuk pięknych, handlową, przemysłową, konserwatorium muzyczne.

Kraków jest siedliskiem wielu stowarzyszeń, popierających przemysł, sztuki piękne i nauki. Z tych ostatnich zasługuje na uwagę Akademia Umiejętności, t. j. towarzystwo ludzi uczonych, którzy pracują nad podniesieniem wiedzy w kraju.

Tu się znajduje także znakomite Muzeum Czartoryskich, teatr, kilkanaście księgarni i wychodzi kilka czasopism.

Ludności ma Kraków 176 tys. (r. 1914); kolej żelazna łączy go z Warszawą, Lwowem, Zakopanem, Wiedniem, Wrocławiem i Pragą czeską.

Położenie Krakowa jest bardzo piękne. Przepływająca przez miasto rzeczka Rudawa dwiema odnogami wpada do Wisły. U podnóża Wawelu wiję się Wisła, jak wstęga, poza nią widnieją Krzemionki, skały wapienne, w dali zaś Karpaty i Babia Góra. Pod Krakowem wznoszą się trzy mogiły: Krakusa, Wandy i Kościuszki.

Dzisiejszy Kraków, mimo wielu nowopowstających budowli, nie zatracił dotąd cechy swojej starożytności: ulice nieludne, rynek ogromny a cichy, samotna wieża, pomnik dawnego ratusza, Sukiennice, wielkie, lecz pępne stare kościoły, a w nich pomniki, które były świadkami tak wielu zwycięstw, tryumfów i sławy, groby i mogiły królów, wieszczów i bohaterów — wszystko to przenosi nas w przeszłość i czyni Kraków miastem najdroższem każdemu Polakowi.

Według Krynickiego i innych.

Objasnić wyrazy: forteca, krypta, wszechnica, hejnał.
Zrobić rozkład.

Kto to był: Długosz, Pol, Lenartowicz, Asnyk, Kraszewski, Wyspiański, Matejko, Siemiradzki.

63. Dzwon Zygmunta.

Rok 1520.

Onego czasu król¹⁾ dzwon kazał ułać
I wybudował mu wieżę wysoką;
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił
By echo dzwonu aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozślawił
I aż na północ zabrzmiał jego chwałą.

I dzwon ulany — na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę w pełnych, brzęących kołach,
I wstęgę dźwięków, jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po dumnych gór czołach
I do stóp Boga zapłynął;
A od imienia króla mu nadano
Na chrzcie tym „Zygmunta“ miano.

Rok 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu siwa jego głowa,
A w oczach ogień zapалу tlał;

¹⁾ Zygmunt Stary.

A przed nim szło sześćdziesiąt dział,
I u stóp króla usiadły;
I za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły,
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.

I zstąpił z tronu ów król sędziwy,
Jana do serca przycisnął,
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzę rozczenia zabłysnął.

I kiedy starzec ścisnął starca dłonie męskie,
Dzwon rozbrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięskie,
A naród echem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozognął, i serce mu rosło.

Edmund Wasilewski,
poeta polski w. XIX-go.

Dlaczego pamiątki przeszłości są nam tak drogie? Czy nie można nazwać ich bogactwem, zgromadzonem dla nas przez pra-ojców? Czy nie ubogi jest naród, który skarbów takich nie posiada?

64. Z ptasiej niedoli.

Okazały krzew laskowego orzecha zrosł się po bratersku z krzakiem bzu i kaliny; od spodu, w ich podszewce, dzika róża i tarnina, powiązane jeżyną, uściśniły stopy tej trójcy. Mysikrólik rozpoczął wśród gęstwiny onej budowę gniazda.

Najprzód z nitek szarych mchu założył podwaliny gmachu sklepionego, to jest zaciągnął od góry do dołu łuki, nadające gniazdu postać nieba, które obejmuje ziemię. Potem utwierdzał zewsząd rysy tego sklepienia, prze-

platał jego żeberka żdźbłami trawy cienkiej, żyłkami liści. Utworzył kulę o dwu biegunach, z równikiem, równoleżnikami i południkami. Teraz spajał nitki podłużne i poprzeczne pajęczyną, wiązał je włosem zajęczym, wilczym, borsuczym. W tkaninie domku poczynił okienka maleńkie u góry, a na samym równiku kuli — główny otwór wechodowy, wykrojony okrągłuteńko. Nareszcie wziął się do przyozdobienia gmachu na zewnątrz: odział go płaszczem mchu zielonego, na który tu i ówdzie rzucił piórko jakie barwne, jużto kraski, gila, wilgi, już zimorodka.

Stała chata podług zapamiętanego wizerunku chaty ojcowskiej.

Zona mysikrólika wysłała wewnątrz gniazda puchami miękkuchnymi, ugniotła je, wygładziła przesłicznie, ogrzała ciepłem piersi macierzyńskiej i zaczęła znosić jajka. Bezgranicznie cierpliwa, pełna spokoju i słodczy, dosiadywała pilnie w domu, bez wytchnienia strzegła gniazda. Odrobina taka maleńka, wątlutka na ciele, a zniosła aż siedem jajek!

Było błogo, ciepło, dobrze w ich chatce. On nie oddalał się nigdy zbyt daleko od progów domu, chociaż musiał dostarczać środków do życia. Starał się osładzać żonie samotność, śpiewem pięknym dając znać, że czuwa nad gniazdem i o niej myśli:

— Czyk, czyk, czyk!

Troska o chleb dla żony leżała prawie wyłącznie na głowie ojca gniazda, ale matka biedna nieraz umierała z pragnienia i wówczas musiała na chwilę odbiegać od drogiej kolebki z dziećmi. Nie było innej rady.

Właśnie oto, spragniona, tajemniczo wyfrunęła z gniazdka.

— O Boże, żeby tylko ktoś taki nie podpatrzył mojej nieobecności!

Jak myszka, potoczyła się po ziemi ukradkiem, to

znovu podlatywała i tak — to pieszo, to na skrzydłach — spieszyła po napój do strumienia.

Małeńki gardziołek ptaszki z łatwością zadowolili się i orzeźwił. Czerpnęła z potoku po odrobinie raz, drugi, trzeci i już miała dosyć.

Pędziła do domu w pośpiechu najwyższym, a serce biło jej z niepokoju.

Zadyszana, strwożona wpadła do gniazdka, co tchu na niem zasiadła.

— Chwała Bogu, że jestem z niemi! O, nigdy, nigdy na krok się nie oddalę!

Naraz uczuła pod sobą, że w domu jest coś inaczej, nie tak, jak przedtem było. Jedno jajko wysuwało się nieustannie z pod opiekuńczych skrzydeł matki i trudno było zagarnąć je między inne jaja.

— Chyba tu co przyrosło, przybyło? Bo skądże to pochodzi, że teraz nie mogę ich pomieścić pod swoją pierś? Przecież przed chwilą niedawną nie było im w gnieździe ciasno.

Z czasem przywykła. Jaje, acz duże, nie razilo jej już wcale i ściśle weszło w skład rodziny.

Wiosna zbliżała się do lata i nadeszła chwila upragniona, kiedy ptaszka, wyczerpana trudami przetwarzania jaj na ptaki, uczuła pod sobą ruch życia, a zaraz potem posłyszała pisk słaby, niewyraźny, bardzo luby jej sercu.

Ujrzała syna pierworodnego, który przyjsście na świat oznajmił kwileniem, jak gdyby mu żal było opuszczać spokojne zacisze w skorupce.

Był jedynakiem przez jedną dobe. Potem już codziennie jakieś jaje wypuszczało na świat ptaszka nagiego, na którym gdzieniegdzie jeno widniał drobnouchny włoszek puchu. Dzióbki z obwódkami żółtymi, wylupiate oczka czarne, brzuszki sinawe, wydęte jak bańki, napelniły gniazdo, roily się, piszczały, a największe z jaj jeszcze leżało napęczniałe wśród rodzeństwa starszego.

65. Sosna.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujala jej głowa,
Pogiętymi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeniami bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

A coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Coraz cichsza, milcząca,
Každy wietrzyk, co wionie,
Więcej koleców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodziną

Zeschle szyszki i ziarna,
Wkońcu—jeszcze przed
zimą—
Uchła sosna cmentarna.
Wiotr żałośnie jej pyta:
— Biedna sosno z mogiły,
Czyś ty gromem przebita,
Czyć robaki stoczyły?
Czy ci żeru nie było
W żółtym piasku z poblizka?
Albo kamień swą bryłą
Twe korzenie uciska?
— Och, mnie nie tknął
grom z burzą,
I robaki nie toczą,
Ziemia soków ma dużo
I karmi mię ochoczo;
Gdzie kamienie i głązy,
Szłam z korzeniami zdaleka,
Wrosłam—gorzej sto razy—
W serce złego człowieka!

Ludwik Kondratowicz.

Co chciał tym wierszem wypowiedzieć autor?

66. Zawisza Czarny.

Wśród gór Karpackich, w zamku starożytnym
Mieszkał rycerz zawołany:
Był on przed laty i sławnym i bitnym,
Lecz dzisiaj wiekiem złamany,

Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzył z westchnieniem na wiszącą zbroję.

W starości jedna została otucha:
Syn, w którym miał się odrodzić;
W nim z młodu niecił wojennego ducha,
Uczył, jak na ostrze godzić;
A gdy Zawisza już umiał wojować,
Sam ojciec chciał go rycerzem pasować.

W obliczu ludu, wśród Pańskiej świątnice
Bierze młodzian cześć rycerza,
Ojciec mu wkłada pancerz i przyłbicę
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny:
— „Broń swej ojczyzny, bądź kochance wierny“.

Zawisza Czarny — gdyż z tego imienia
Znany był później u świata —
W ciężkiej koleczudze, nie tknąwszy strzemienia,
Lekko wskoczył na bachmata,
I gdy wesoło pośród szranków pisał,
Wywijał mieczem, kopiją potrząsał.

Wkrótce się wstawili czyny walecznymi,
I tak śmiałość jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech i tureckiej ziemi,
Kiedy go wychwalano,
Przysłowiem było bojów towarzyszy:
„Polegaj na nim, jakby na Zawiszy“.

Kiedy go cesarz Zygmunt usiłuje
Zatrzymać dłużej u siebie,
Rzekł mu Zawisza: — „Jagiello wojuje,
I kraj mój w ciężkiej potrzebie,

Wszystka krew moja, krew polskiej młodzieży,
Drogiej ojczyźnie pierwsza się należy“.

* * *

*

Zygmunt, co wszystkie nadzieje pokłada
W męstwie Czarnego rycerza,
Gdy państwo jego muzułman napada,
Jemu los wojny powierza,
I sam, gdzie Dunaj Gołębne oblewa,
Z ogromnem wojskiem bystry nurt przebywa.

Ledwie na drugiej stanął cesarz stronie,
Gdy ujrzał tureckie hurmy,
I blask księżycy, i męże, i konie,
I wrzask przeraźliwej surmy:
Na groźny widok trwodze się poddaje,
Wraca za Dunaj i obozem staje.

Lecz wraz spostrzegłszy, że Zawiszy niema,
Sle poń jedną z swoich łodzi.
Mąż, gońca mierząc srogimi oczyma,
Rzekł: — „Zawiszy nie uchodzi;
Ci, co się zlekli, ci mogą uciekać, —
Polacy wolą chlubnej śmierci czekać“.

„Koń mój i zbroja!“ — zawoła na sługę.
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z srebrnymi gwiazdami koleczugę,
Wkłada mu szyszak ogromny;
Z wierzchołka czuba czarna końska grzywa
Jeży się w górę i na barki spływa.

Tu tarcz ściskając zbrojnemi rękami,
Podług rycerstwa zwyczaj,

„Zegnam was!“ — woła, twarz skrapiając łzami —

„O luba żono i kraju!“

Wtem zniża drzewce¹⁾, bodźcem konia zwierza
I samotrzeci na tłumy naciera.

Ta zbroja czarna, okropnie wspaniała,
Ten orzeł pośród pancerza,
I blask oręża, i postać zuchwała
Zdumieniem Turków uderza.

Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników,
Wpada Zawisza w tłumy zbrojnych szyków.

Gdzie płomienistym orężem zabłyska,
Pod ciosami płytkiej stali
Na karacenach²⁾ srebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali.

Jak groźny Ajaks lub Achilles śmiały,
Kędy uderzył — tysiące pierzchały.

Znużon zwycięstwem, gdy już słabiej włada,
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada
I topi mieczów tysiące...

Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina,
Konając, lubą ojczyznę wspomina.

Juljan Niemcewicz,

pisarz polski z drugiej połowy XVIII-go i pierwszej XIX-go wieku.

Co znaczy *samowtór*, *samoczwart*, *samotrzeć*? Z czego składają się te wyrazy? Jakie znasz oprócz tego śpiewy historyczne?

67. T a t r y.

Najwyższe góry polskie, Tatry, chociaż należą do łańcucha Karpat, stanowią jednak całość odrębną. Otoczone

¹⁾ *Drzewce* — rękojęć u kopji lub spisy.

²⁾ *Karacena* — zbroja w łuskę.

ze wszystkich stron dolinami, tworzą jakby szaniec stromy i warowny między Polską a Węgrami. Długość tego szanieca wynosi mil 8, szerokość — 3 mile przeszło.

Dolinami na pograniczu Tatr płyną rzeki: od północy dwa Dunajce doliną Nowotarską, od południa Waag — Liptowską, ze wschodu Poprad—Spiską, z zachodu Orawa — doliną Orawską.

Wśród Tatr odróżniamy wyższe i niższe piętra. Niższe, t. zw. *regle*, są to góry, pokryte lasami świerkowymi i jodłowymi, z roślinnością gdzieniegdzie liściastą. Wyżej poza reglami rozciągają się prześliczne łąki czyli *hale*, na których, *juhasy*, t. j. pasterze tatrzańscy, latem pasają stada krów i owiec. W pasie wyższych hal drzewa już nie rosną, tylko krzewy iglaste — *kosodrzewina*, trawy i ziola górskie. Jest to kraina kozicy i świstaka.

Ponad halami, w głębi szanieca, wznoszą się *turnie*, olbrzymy skaliste, nagie i poszarpane, które strzelają wysoko nad regle i hale, zimą śnieżno-białe, w lecie koloru szarego, nieraz, o zachodzie zwłaszcza, mienią się przednimi barwami. Najwyższe ich szczyty: Gerlach (Gerlach po węgiersku), Łomnica, Lodowy i inne, przechodzą granicę wiecznych śniegów¹⁾.

Prócz mchów i porostów nic już tu nie rośnie.

Wiele malowniczości dodają Tatom jeziora, potoki i doliny. Jezior liczą przeszło 90; z nich największem i najblębszem jest Wielki Staw, za najpiękniejsze zaś uważają Morskie Oko. Niektóre potoki tworzą wspaniałe wodospady (np. Siklawa, Wodospady Mickiewicza i in.

Doliny są przeważnie wąskie i niezbyt długie. Charakter ich zależy od skał, które je otaczają. Najwięcej uroku posiada dolina Kościeliska, dzięki fantastycznym kształtom wapniaków i urozmaiconej roślinności.

¹⁾ Gerlach przenosi 2,600 metrów.

Ze skał mają przewagę w Tatrach granity: one stanowią główny rdzeń Tatr.

Charakterystyczną cechą Tatr jest brak rozległych dolin i lodowców, dzikość i ostrość szczytów. Dzięki tym kształtom gór, śniegi latem nie mogą się na nich długo utrzymać, chyba w szczelinach i załamach.

Górale tatrzańscy, t. zw. Podhalanie¹⁾, odznaczają się zwinnością, piękną postawą, bystrością umysłu, wysokiem poczuciem godności i wielkiem przywiązaniem do gór ojczystych. Gwałtowni i odważni nieraz do szaleństwa, trudnili się dawniej rozbojem, co uważali zresztą za zaszczyt i chwałę. Największą sławę zdobył sobie ich „zbójnik“ Janosik, którego czyny krwawe, ale bohaterskie, po dziś dzień krążą w podaniu i pieśni na Podhalu:

„Janickowe imię chodzi po dolinie,
Janicek zaginion — imię nie zaginie“.

Ziemia tam tak mało rodzi, że „zbójnictwo“ było i środkiem zarobkowania. Dziś Podhalanin radzi sobie inaczej: wychodzi na równiny i tu się najmuje do robót w polu. Na miejscu główne dochody czerpie z pasterstwa, wyrobu serów, a w Zakopanem — z turystów²⁾.

C. B.

Co się nazywa granicą wiecznych śniegów?
Zrobić rozkład i opowiedzieć.

68. T a t r y.

Jak potopu świata fale, Stoją nagie Tatry w śniegu,
Zamrożone w swoim biegu, By graniczny słup zuchwale!

¹⁾ Podhale — ziemie, leżące u podnoża Tatr w dolinie Nowotarskiej. ²⁾ Turysta — podróżny, zwiedzający różne kraje.

Biodra Tatrów las osłania, Wiecznie niby młody młodziak!
Ponad nimi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania Strój ma krótko ukasany,
Uronione orle pióra. Topór jasno nabijany,
Świat to chłodny, a Łomnica I sam wszystek wełną odzian.
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami jak pochodnia, Czysty, ludzki, szczeromowny,
A na pełni jak gromnica...
Każda skała z tobą gada, Strojny, dbały i budowny,
Wiatr, co w równiach ledwo Zna się dobrze i na ziołach,
wieje, I na gwiazdach, na pogodzie,
Z nóg tam garnie, — deszcz, Śmiały w skokach i na wodzie,
co pada, A radniejszy, niż lud w dołach.
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze
Pływa sobie orle wieszczce.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie
chodzi:
Gdy wyleci i zawisnie
Na błękiecie bez obłoku,
I dokoła okiem błysnie,
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku
gmachy
I węgierskich gór winnice.
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem,
Do topora lud to sławny!
A do kosy jaki sprawny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie
rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Czeladź górską też nie
podła:
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt
gibki.
Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.

wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie: siedzieć jak na koniu tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi. Ale wkrótce robi się zimno coraz dotkliwsze.

Świątecki rzucił jeszcze kilka kamieni, powtórzył jeszcze kilka razy: — Ani słyhu! — i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niedługo powinien się być zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno, i nie mogłem nic dojrzeć, ale byłem pewien, że orły zaczynają krążyć nad przepaścią. Kra! kra! rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słyhać tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legjony orłów. Ale bądź co bądź zwiastowały one dzień.

Jakoż po jakimś czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo blade z każdą chwilą. Następnie pyszny blade-srebrny ton począł przeświecać na skale na plecach Świąteckiego i nasycił coraz bardziej ciemność, zupełnie jakby kto dolewał do niego srebrnego płynu, który wsiąkał w nią, mieszał się z nią, czynił ją z czarnej szarą, z szarej perłową.

Co chwila robi się świetliściej.

Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potrosze w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świąteckiego:

— Tfy! idjoci!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Świątecki! — krzyczę — co robisz?

— Nie wrzeszcz, patrz!

Przechyliam się, spoglądam — cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głużyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; w dali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, żeby pójść najspokojniej do domu.

Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc.

Henryk Sienkiewicz.

(„Ta trzecia”).

Co sądzisz o przyjaźni tych dwóch ludzi?

70. Wschód słońca.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła blade. Prawą skronią złożone na wezglówiu cieni, Jeszcze smagławe¹⁾, lewą coraz się rumieni; A dalej okrąg, jakby powieka szeroka, Rozsuwa się, i w środku widać białe oka; Widać tęczę, źrenicę: już promień wytrysnął, Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął, I w białej chmurce, jako złoty grót zawisnął. Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogni wylata, Tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata, A oko słońca weszło. Jeszcze nieco sennie, Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne, Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem, Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem, Aż rozłśniło się, jako kryształ przezroczyste,

¹⁾ Smagławy — czarniawy, ciemny.

Potem jak brylant światło, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Adam Mickiewicz.

(„Pan Tadeusz”).

Co znaczą wyrażenia: „gwiazd perły”, „niebo środkiem czoła bładnie”, „złożone na wezglowiu cieni”, „tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata”? Wskaż, do czego tu poeta przyrównywa niebo i słońce.

71. Z opowiadań Sabały¹⁾.

I. Tam, gdzie się skręca na halę Smytnią, jest turnia wysoka, nazywa się Pisana. Dawniej ją inaczej nazywali, ale dzisiaj ją panowie przechrzcili, bo się na tej turni podpisują.

Opowiadał mi raz stary Fakla takie podanie, że w tej turni ma być wojsko uśpione.

Było zaś tak.

Raz przychodzimy do tego Fakli, a tu stary ledwo żywy leży na pościeli. Ja sobie siadam przy nim i pytam się go, czego mu brak. A on mi tak powiada:

— Miły, mocny Boże! chłopcze, źle ze mną. Bóg mnie pokarał i, jako widzisz, leżę tu już, Łazarz, wiele lat. Dziecko, tyś młodszy, do świataś, a ja — dziś lub jutro.

Słuchaj mnie, to ci opowiem swoje życie. Byłem niegdyś tegim chłopem, a miałem kuźnię i kułem, co komu było potrzeba. Kowal był ze mnie setny, to też roboty miałem huk.

Raz, co się nie robi, kuję ku wieczorowi, a tu wchodzi kuźnicy jakiś chłop. Ładnie, pięknie pozdrowił Pana Boga, ja mu też tak odpowiedziałem i zgłupiałem, bom mu się przypatrzył i jeszcze w życiu takiegom człeka nie widział.

¹⁾ Sabała — sławny skrzypek i poeta góralski.

Niby-wojak, bo zbroja na nim, broda po pas, głowa ze stali, a gęba taka piękna, jak u anioła w niebie.

I *dobrze niebardzo*, pyta się mnie, czybym mu podków złotych nie narobił.

Ja powiadam:

— Czemużby nie, toć od tegom kowal.

I zaczynamy tę robotę: ja kułem, on miechem rusza, i robota szła.

Narobiliśmy podków i ćwieków mnóstwo, toż mój wojak powiada, żeby zabrać to wszystko w torbę i iść za nim.

Ja powiadam mu: — Czemużby nie? tocieś człek, i nieźle ci z oczu patrzy.

Jak iść, to iść. Myśliwskie prawo krótkie.

Zabrałem się. Idziemy. On na przodzie, ja z podkowami za nim. I tak idziemy do Kościelisk.

Zachodzimy ku Pisanej, a on się do mnie odwraca i tak powiada:

— Nie bójże się, a cicho się sprawuj, a strzeż się zakłąć, kiedy tam wejdziemy.

II. Włazimy w jakieś źleby¹⁾ i dziury, a turnie to się jakby rozstępowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaszliśmy do wnętrza.

Patrzym, a tu tyle ludu, a wszystko leży, głowy na siodłach, a wszyscy brody mają długie po pas.

Zaczęliśmy konie kuć. Ja wbijałem ćwieki i podkowym do kopyt przybijał, a on nogi trzymał. A jakim już wszystko, co gdzie brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak stru-
m z kopyta, wsunął mi w torbę i tak powiada:

— Masz tu zapłatę!

Pomyslałem sobie, że kpi ze mnie, alem się z nim nie sprzeczał, choć mi strasznie markotno było, bo cały dzień minął.

¹⁾ Żleb — wawóz, rozpadlina.

Wziąłem torbę i, wychodząc, wysypałem te strużyny; ale kiedy wyszedł w pole, patrzę w torbę, a tu zamiast strużyn, bom nie wszystkie wysypał, są dukaty. Było ich kilka.

Gdybym był strużyn nie wysypał, byłbym się poratował dość godnie, ale musiałem być niegodzien.

Pomyślałem sobie:

— Dziadowi nie daj konia, tylko torbę i kij — i poszedłem.

Zachodzę do chałupy, a baba mnie zębami przyjęła:

— Gdzieś ty był tyle czasu, że cię trzy dni w domu nie było?

Nie wiedziałem, że ten czas tak prędko przeleciał — mnie się chwilką wydawał, ale pomyślałem sobie: — Nie będę się z głupią babą sprzeczał, bo to u nich włosy długie, ale rozum strasznie krótki.

I kułem potem dalej, to siekiery, to co się gdzie trafiło, aż tu znowu po kilku latach przyszedł mój wojak, i znowum mu robił podkowy, a gdy mu już dość narobiłem, poszliśmy tam, gdzie pierwiej. Myślałem sobie: — Nie będę ja już taki głupi: nie będę strużyn rzucił.

Kujemy. Zaciąłem się w palec — i zakląłem głośno, a tu co się nie robi, wstają ci naokoło. Mnie strach zdjął.

Jeden się pyta: „Bracie! czy już czas?”

Ale mój wojak mu tak powiada: „Nie jeszcze, śpij dalej!”

Na mnie się ostro popatrzał i pogroził mi palcem.

Gdyśmy kuć skończyli, znowu mi wysypał garstkę strużyn do torby.

Idę. Kiedy wyszedł, patrzę w torbę, ile dukatów będę miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Rozzłościłem się, bo mi czasu było żal, ale potem sobie powiedział: „Toć przez to dziadem nie będę”. Wysypałem trzaski i poszedłem. Do karczmy wstąpiłem, do Żyda. Wypiliśmy, a kiedy się język posmaruje, łżej chodzi.

I tak wypaplałem wszystko Żydowi. Żyd rozgadał po świecie, com mu naopowiadał.

I teraz lata lecą i lecą, a konie nie kute, bo tam teraz byle kogo nie puszcza. Ja za karę zaraz zaniemogłem i leżę tak już wiele lat. Z Panem Bogiem nie będziesz w karty grał.

Tak to gadał mi ten Fakla, a łzy mu ciurkiem z oczu leciały.

Według Zofji Urbanowskiej.

(„Róża bez kolców”).

„Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami”.
Jak nazwiesz ten utwór: baśnią, podaniem, czy legendą.

72. Dolina Kościeliska.

Rozkoszna, jedyna	Wciąż patrzy za nim przez
Pochmurna dolina	otwór.
Dla całych Tatrów ponęta—	Poczwara złośliwa
Lecz lasy i skały	Szaleje do dziwa,
Wkrąg ją opasały,	Jak tylko weźmiesz mu
I bramą z głazów zamknięta.	wody:
Rozkoszna, jedyna	Za kroplę stąd biedną
Pochmurna dolina,	Piekielne bezedno
Od całych Tatrów kochana,	Potopem wre niepogody.
Lecz na niej mgły gęste,	Siedziba szatana
I deszcze w niej częste—	Skarbami zapchana:
Dolina często splakana.	W niej złoto, srebro, jak
Bo w skalnej siedzibie,	śmiecie.
W Dunajca kolebie	Nie złota duch patrzy,
Panuje straszny duch—	Od złota skarb rzadszy
potwór,	Tam leży:—wieczne tam
Zgrzybiały zazdrośnik,	życie.
Dunajca miłośnik,	Kto dosyć wytrwały,
	Aż w głębie pójść skały,

I na strach mocną ma Zatrząsie dnem piekła,
 głowę, Jak tylko drzesz się pod
 Ten za swoją dzielność skałę:
 Ma tam nieśmiertelność Opada ulewa,
 I bierze skarbów połowę. Wiatr lasy wyrывa,
 Lecz ducha złość wściekła Głaz pęka—Tatry drżą całe.

Seweryn Goszczyński,
 poeta polski, współczesny Mickiewiczowi
 („Sobótka”).

73. Szklana góra.

Na wysokiej szklanej górze stał zamek cały złoty,
 a przed zamkiem była jabłoń, na jabłoni złote jabłka.

Ktoby złote jabłko urwał, wszedłby do złotego zamku, gdzie w srebrnej jednej komnacie ukryta była królowna zaklęta, dziwnej urody. A miała skarby niezrachowane, piwnice pełne drogich kamieni, w izbach zamku skrzynie ze złotem.

Wielu zbiegało się rycerzy, lecz napróżno usiłowali wdrzeć się na szklaną górę. Na koniu ostro podkutym niejeden darł się daremnie i z połowy stromej góry z ciężkim szwankiem spadał; łamali ręce, nogi i karki!

Piękna królowna z jednego okna patrzyła z żalem, jak próżno tacy rycerze dorodni na dzielnych koniach ginęli. Widok królowny zagrzewał ich serca. Zbiegli się ze wsząd, z czterech stron świata, ale biedna dziewczica już lat siedem daremnie wyglądała zbawcy!

Niemало leżało trupów rycerzy i koni około szklanej góry; wielu konających z połamaniem żebrami boleśnie stękało. Był to emmentarz prawdziwy!

Już rok siódmy za trzy doby miał się skończyć, gdy rycerz w złotej zbroi nadjechał. Rozpędził konia, wdarł się wpół góry z podziwem wszystkich, którzy patrzyli, i nazad wrócił szczęśliwie. Nazajutrz równo ze świtem, gdy mu się pierwsza udała próba, znowu rozpędza swe-

go rumaka: stąpa po górze, jako po ziemi, iskry z podkowy błyskają. Patrzą zdziwieni wszyscy rycerze, a on już blisko wierzchołka. Niezadługo spojrzą znowu, aż stoi przed jabłonią. Wtem zrywa się wielki sokół, zaszumił skrzydłem szerokim i uderza konia w oczy. Rumak parska, nozdrza wzdyma i najeża gęstą grzywę; stanął dęba wystraszony, nogi mu się ślizgają, pada nazad z rycerzem i porysował szklaną górę; a z rumaka i rycerza pozostały jeno kości, co brzęczały w złotej zbroi, jako suchy groch w pecherzu.

Siódmy rok się nazajutrz kończył, aż nadchodzi żak¹⁾ urodny, silny, wysoki. Patrzy, jak rycerzy wielu łamie karki nadaremnie; podchodzi pod śliską górę i bez konia się gramoli.

Już od roku słyszał w domu o królownie, co zaklęta w złotym zamku siedzi na wierzchołku góry szklanej. Poszedł przeto do lasu, zabił rysia i pazury ostre, długie, przypawił sobie na ręce i do dwu nóg umocował.

Taką bronią opatrzone, darł się śmiało na garb szklany. Słońce było na zachodzie, żak w połowie drogi ustał; zmęczony ledwo oddycha, pragnienie spiekło mu wargi. Czarna chmura nadpłynęła, próżno błaga i zaklina, by choć kroplę uroniła. Napróżno otwierał usta, chmura czarna przepłynęła, ani rosą nie zwilżyła warg spieczonych jak skorupy.

Pokaleczył krwawo nogi, rękami się jeno trzyma. Słońce zaszło — patrzy w górę, lecz aby dojrzeć wierzchołek, musiał tak zadzierać głowy, że czapka na dół mu spadła. Spojrzy na dół: jaka przepaść! tam śmierć pewna i niechybna! Z przegniłych trupów straszne wyziewy tłumiły oddech.

Już mrok ciemny, gwiazdy blado oświeślały szklaną górę, a żak młody, jak przykuty, na skrwawionych rękach

¹⁾ Student.

wisi. Wyżej pięć się już nie może, bo wyczerpał wszystkie siły; czeka śmierci. Nagle sen mu skleił oczy, zapomniał, kędy leży, strudzony, smacznie usypia. Lecz choć we śnie, ostre szpony tak głęboko w szkło zapuścił, że przespał się do północy, nie zleciawszy z onej góry.

Złotej jabłonki pilnował sokół, co zrzucił z konierzy rycerza; zawsze w nocy czujny strażnik oblatwał górę wokół. Zaledwie miesiąc wyszedł z za chmury, uniósł się z jabłoni i, krążąc w powietrzu, zobaczył żaka.

Łakomy ścierwa, pewny, że trup świeży, spuszcza się nagle i siada. Lecz żak już nie spał, dojrzał sokoła i postanowił uratować się z jego pomocą.

Sokół zapuścił mu ostre szpony w ciało: chłopak wstrzymał ból mężnie i uchwycił ptaka za nogi; ten, przstraszony, uniósł go nad zamek i począł krążyć wokół w sokiej wieży. Żak krzepko się trzymał: patrzył na lśniący zamek, co przy bladych promieniach miesiąca świecił, jak młoda lampa; patrzył na okna wysokie, migające różnobarwną ozdobą; a na zamku siedziała śliczna królewna, zatopiona w myślach, dumając nad swoją dolą. Widząc, blisko leci jabłoni, dobył z za pasa kozika i obiedwie nożem odciął sokołowi. Ptak zerwał się z bólu wyżej i znikł w obłokach, a młodzieniec spadł na szerokie gałęzie jabłonki.

Wtedy dobył szpony sokole, ugrzęzłe mu w ciele, a przyłożywszy skórę złotego jabłka do ran swoich, wnet wygoił wszystkie. Narwawszy pełne kieszenie złotych jabłek, wchodzi śmiało do zamku. Przy bramie zatrzymuje go smok wielki, lecz zaledwie rzucił nań jabłko, smok skoczył w fosę i zniknął.

Zaraz się wielka brama otworzyła, zobaczył podwójną rzec pełen kwiatów i drzew ślicznych, a na wysokim ganku siedziała zakłeta piękna królewna razem z dworem swoim.

Ujrzawszy dorodnego młodzieńca, wybiegła ku niemu witając w nim rada pana i męża. Wszystkie skarby i

oddala, a żak młody został wielkim i bogatym panem. Na ziemię wszakże powrócić nie mogli, bo tylko wielki sokół, który był strażnikiem i zamku tego i samej królowej, mógł zamek i skarby na skrzydłach swoich na ziemię przenieść, a nazajutrz znaleziono jego zwłoki w pobliskim lesie, na szklanej górze.

Gdy żak z królową, a żoną swoją, wyszedł do ogrodu zamkowego, spojrzysz na dół i widzisz z podziwem, że mnóstwo ludzi się zbiera. Świsnął więc w piszczałkę srebrną, a jaskółka, która służyła za posłańca w złotym zamku, nadleciała.

— Idź, dowiedz się, co nowego tam się stało — rzekł do małej ptaszyny. Jaskółka szybko leci, wkrótce wraca i powiada:

— Krew z sokoła ożywiła zwłoki martwych; wszyscy, którzy polegli pod górą, wdzierając się na nią zuchwale, wstali dziś, jakby ze snu, dosiadają rzeźwe konie, a lud cały, dziwem zdjęty, patrzy na cud niesłychany.

K. W. Wójcicki,

pisarz polski w. XIX-go.
(„Klechy”).

Podanie jest to opowieść fantastyczna o jakiejś miejscowości lub osobie, która naprawdę istniała. Baśń — powieść fantastyczna w której wszystko może być zmyśleniem.

Szklana góra — baśń (klechda) czy podanie?

74. Limba¹⁾.

Samotna limba szumi
Na zboczu stromem,
U stóp jej czarna przepaść,
Zasłana złomem.

¹⁾ Limba — drzewo iglaste, dziś już dość rzadkie w Tatrach.

Wkoło się piętrzy granit
 Zimny, ponury,
 Ponad nią wicher ciemne
 Przegania chmury.

Wkrąg otoczona taką
 Pustką okrutną,
 Samotna limba szumi
 Bezdennie smutno.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer,
 współczesny poeta polski.

Czy jest to utwór opisowy czy liryczny?
 Jakie uczucie maluje?

75. Legenda słowacka¹⁾.

Blisko Żiliny, stacji kolei, która od Trenczyna bieży wśród ciemnych, malowniczych lasów, na wysokim skalnem wzgórzu, leżą ruiny pięknego zamku ljetawskiego. Należał on niegdyś do rodu Zapoljów, którego córą, Barbara, wstąpiła na tron Jagiellonów, jako małżonka Zygmunta Starego. W parafjalnym kościele ljetawskim znajduje się stary duży obraz, który przedstawia zamek ljetawski, ciżbę ludu sowackiego, otoczonego Tatarami, i księdza-starca, którego Tatarzy usiłują zrzucić z wysokiej skały na pal zaostrozony.

Opowieść ludowa mówi, że około r. 1460, kiedy Tatarzy napadli na kraj, po łąkach słowackich widziałeś jeno trupy. Stary proboszcz ljetawski zebrał przestraszonych parafjan i zgromadził w kościele, zachęcając do wytrwania. Tatarzy podpalili kościół, ale płomienie objąć

¹⁾ *Słowacja* — kraj nad rzeką Waagiem za Tatrami. Przycho-
 dzą do nas stamtąd druciarze. Słowacy są Słowianami.

go nie chciały. Po namysle jednak wywołali zamkniętych z kościoła, obiecując życie za spełnienie jednego mało-ważnego warunku.

Kiedy zamknięci wyszli, Tatarzy rzekli:

— Za darowanie życia żądamy jednej małej rzeczy: przyjęcia naszej wiary, naszych zwyczajów i służenia nam w spokoju na równych prawach.

Po kilkunastu minutach, danych do namysłu, ksiądz, porozumiewszy się ze swym ludem, dał odpowiedź:

— Idźcie sobie, skądście przyszli: my ani waszych zwyczajów tatarskich, ani waszej wiary, ani języka nie przyjmujemy!

Wówczas Tatarzy otoczyli zebrany lud słowacki, u podnóża góry wysokiej wystawili pal zaostrozony i groźnie krzyknęli:

— Wszystkich was zrzucimy z tej skały, wszyscy na śmierć pójdziecie, a pierwszym będzie proboszcz ljetawski! Czy słyszycie?

— Słyszemy — odpowiedział proboszcz — ale nas to w postanowieniu szczerem nie zachwieje!

Po tych słowach, usłyszanych z ust starca-kapłana, Tatarzy zepchnęli go ze skały. Ale stał się cud Boży! Jakby jakaś niewidzialna siła chwyciła sługę Bożego, i zawisł w połowie drogi, w powietrzu.

Tatarów ogarnął strach paniczny. W popłochu ustąpili z Ljetawy, a zaczepionego o krzak proboszcza lud wdzięczny zdjął ze skały i odprowadził do kościoła, gdzie niezwłocznie nabożeństwo dziękczynne odprawił.

Lud ljetawski długo, długo pamiętał tę przygodę, a kiedy już wspomnienia o niej ledwie pozostały, jakaś dusza pobożna uwieczniła na obrazie to zdarzenie i zawiesiła w zakrystji ljetawskiego kościoła, żeby o niem pamięć nie zginęła.

Władysław Karoli,

pisarz polski z drugiej połowy XIX-go i począt. XX-go. w.

Co myślisz o człowieku, który dla ocalenia życia wyrzeka się swojej wiary lub przekonań? Porównaj tę legendę z Doliną Kościelską i Szklaną górą. Jakie widzisz między tymi utworami podobieństwo a jaką różnicę?

Opowieść, w której dzieją się rzeczy nadzwyczajne za sprawą Boga lub świętych — to *legenda*.

76. Czego chcesz od nas, Panie.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata, Tys niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tys fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przestąpić się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Białe dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie¹⁾.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrośliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie,
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Jan Kochanowski.

Jan Kochanowski, największy poeta polski z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

Co znaczą wyrażenia: „nieobeszła ziemia“, w „kłosianym wieńcu lato chodzi“, „gnuśna zima“, „zagorzałe zboża?“.

77. W puszczy Białowieskiej.

Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedynczych, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk — rosną tu obok siebie. Spoglądając w dal, widzisz wszystkie odcienie zieloności, od ciemnej aż do jasno-żółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, które tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie wyrasta tak szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach pokrywają cieniem takie szerokie przestrzenie, tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Dąb nie krzywi się w puszczy, ale wyrasta jak

¹⁾ Snadnie — łatwo.

trzecina. Sosny mają czterdzieści łokci do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła, wyrasta więc cienki, rzekłbyś: drzewo myśli o grubości dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzech w słońcu kąpać może.

II. Trzask suchych gałęzi, łamanie się drzew i drzewek zwiastowały zbliżanie się żubrów. Gdy całe stado pędzi, sprawia w puszczy taki łoskot, że można je usłyszeć o dwie wiorsty. Ale tym razem zamigotały tylko dwa czarne ciała, sunąc ku nam z nadzwyczajną szybkością i rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitymi kudłami, zwieszającymi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas, zwrócili się nagle i przeszli o jakie półtora kroków, skacząc lekko przez zawały drzewne.

Po pewnym czasie znowu ukazało się kilka sztuk między drzewami. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się na drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się sztuk kilkanaście. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z nimi i stado jeleni, otoczyła nas cała menażerja puszczy. Krasne łanie biegły bezładnie, becząc, za niemi podążał jelen, uwieńczony potężną koroną rogów.

Cały korowód przesunął się nie więcej, niż o czterdzieści kroków. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a marną resztą ciała, smyrgały z chyłością sarn przez wszelkie przeszkody.

Wogóle żubry są płochliwe, i gdy ranny jelen rzuca się na strzelca, żubr, należący do stada, prawie nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są zuchwałe, zło i bywają niebezpieczne.

Czasem taki pojedynek staje wpoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki. Widząc zbliżających się ludzi, wo-

zy i konie, poczyną kiwać olbrzymią brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk i rzuca się na oślep. Naówczas biada zaczepionemu. To też chłop puszczański, gdy zobaczy z dala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las. Bywają wypadki, iż stare żubry rzucają się w ostępie na leśnika. Wówczas jedyną obroną jest uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono strzelca z łatwością, depcze go i rozmiążdża rąkami, potem porywa na rogi i ciska w górę.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna, to i siła jego nie mniejsza. Niedawno olbrzymi buhaj spotkał się ze starym pojedynkiem. Zaczęła się walka. Zapaśnicy parli się łbami lub odskakiwali od siebie, by zewrzeć się nowem, strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Nazajutrz znaleziono go z rozdartym brzuchem, a wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchothane i zmiażdżone.

Henryk Sienkiewicz.

Czy żubry żyją gdzieindziej, oprócz puszczy Białowieskiej? Dlaczego je tam hodują i nie pozwalają zabijać, skoro żubr nie przynosi człowiekowi żadnej korzyści?

78. Poręby.

Poręby

Nad lasu brzegiem

Jak ciche śpią cmentarzyska.

Słońce promieni snop ciska

Na pniaków zręby

I złotym haftuje ściegiem

I krzesze iskier ogniska

W kropelkach rosy.

Tu wrzosa,
Kępy mietlicy,
Paprocie, kwiaty, jagody,
Poziomek ciche zaścianki
I grzybów rody,
Jak skromni drzew hołdownicy,
Pod cieniem pni świętych rosna,
Strojąc je latem i wiosną
W stubarwne wianki.

Polanki
W promieniach toną,
A sosen rzadkie kolumny
Krwawią się korą czerwoną
I kark swój prostują dumny
Nad traw zasloną,
I ponad czarnych pni trumny,
Jak obeliski.

Po ślizkiej,
Spalonej trawie
Jaszczurka przemknie się czasem,
Spojrzy ciekawie,
Lub z głębi zielonej toni
Świerszcz piosnkę cichą zadzwoni
Pod wrzosów lasem,
Lub osa bez ruchu prawie
W kwiatkach utonie.

Z traw wonie
Biją ku górze
Tak mocne, jak w kadzielnicy
W olbrzymim przyrody tumie¹⁾
Kadzidel kłęby.

Powietrze stoi nad światem
W czystym lazurze,
Ni wietrzyk nie trąci kwiatem,
Ni żdźbłem mietlicy...
Tak śpią w zadumie
Poręby.

Helena Statlerówna.

Czy wiersz ten opowiada jakie zdarzenie, czy wyraża uczucie?

79. Puszczenie.

Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny. Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony od reszty świata, zachował więcej dawnych zwyczajów, niż okolice ni mieszkańcy. Lud to przytem, który nie znał nigdy pana; puszcza była królewska, więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli. Wsie puszczańskie zamieszkane są przez Litwinów, Rusinów, Mazurów, pod wpływem jednak wspólnych warunków bytu wytworzyły się jednakowe cechy w mieszkańcach, którzy nie różnią się dziś między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, czem nie różnią się zresztą od swych puszczańskich sąsiadów. Uderzyła mię także ich nadzwyczaj delikatna cera, której gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych niewiele pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamysłone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne,

¹⁾ Tum — kościół katedralny.

a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych i uduchowionym wyrazie.

Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Puszcę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Zapytałem, czy nie zgodziliby się mieszkać poza puszcą, gdyby dano im dwa razy więcej ziemi?

— Za nie, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym głosem. W puszczy najlepiej, a tam tak goło, widno... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie! Ach! ach!

Na zapytanie, czy umie czytać? — odpowiedział:

— Panie, u nas ani jednego niema we wsi, co by się z książki nie modlił.

A kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą im dobrze, bo prawie wszyscy są zamożni. Uważali się zawsze za coś lepszego od chłopów pańszczyźnianych, a za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać.

— My, panie, byli królewscy ludzie — wolni. Do nas jeszcze i z okolic uciekali, a my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była.

Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście wielu pańszczyźnianych „pod królewską rękę“. Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych powodów legenda otoczyła wspomnienie króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach przy świetle łuczywa o wielkich łowach królewskich, o zjazdach, o złocistych karetach i rycerzach, którzy je otaczali.

Ale tym wielkim panom oni byli przewodnikami, i oni jedni znają dobrze swoją puszcę. Każdy inny w niej zginie.

— Kto, panie, puszczy nie zna, a zjedzie z drogi — mówił nasz przewodnik — ten i przepadnie. U nas złodziej konia nie ukradnie: bo ucieka drogą, to go złapiem, a zje-

dzie, to będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie. Tak, panowie!

Jaka szkoda, że ten lud, tak ciekawy, tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni.

Henryk Sienkiewicz.

Gdzie mieszkają puszczenie? Wskaż podług tego, jakie cechy charakteru można w nich zauważyć? Zrób rozkład.

80. Kurpie.

Panie bracie, czy też znacie Trafne oko, krzepkie ramię,
Kurpi ród? Jak uściśnie, kości złamie.

Nizkie chaty, lecz, za katy, By krew z mlekiem, gdy się
Czerstwy lud! zbierze,

To nie kmiecie, ale pany! Takie rzeźkie tam dziewczyny,

Własne chaty, własne łany. Dłonie białe, liczka świeże,
Nie znali, co pańskie sochy, By korale jarzębiny.

Ni pańszczyzny, ni darmo- Gdy mróz w oczy igły ciska,
chy. W polu głodne wrony kraczą,
Bury sukman na ramieniu, Siadaj z nimi u ogniska:
Długa strzelba na strzemi- Gościa krupnikiem³⁾ uraczą.

niu, A starzy będą bajali,
Nogi w łykach, kurpia Jak to Kurpie Szwedów prali,
duma, Jak niejedna tam mogiła
Ale wąsy, jak u suma¹⁾. Gada, co ich zgniło siła.

Wie, gdzie lisa w sidła złapie, Bo gdy broń wziął Kurp na
Niby kot na barć²⁾ się barki,
wdrapie. Djablo Szwedom laź na karki,

¹⁾ Sum — ryba rzeczna z dużymi wąsami.

²⁾ Barć — gniazdo pszczół w drzewach w lesie.

³⁾ Krupnik — to znaczy wódka z miodem i korzeniami. Także zupa z krup.

Póty zamorców spowiadał, I taż stara w sercu wiara:
 Aż ich z kaszą het, pozjadał. Jeden Bóg!
 Zajdź w zwierzyniec, pod
 Myszyniec,
 Tamei Kurpiów żyje wnuk, Nizkie chaty, lecz, za katy,
 Dzielny ród!

Marja Morzkowska.

Gdzie mieszkają Kurpie? Napisz ich charakterystykę według tego wiersza. Objaśnij znaczenie wyrazów: socha, sum, barć, krupnik (dwa znaczenia).

81. Przygoda Macieja Strykowskiego.

Maciej Strykowski, sławny kronikarz¹⁾ polski, urodził się w Osostowie, w Łęczyckiem, 1547 roku. Ledwie odrósł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głosikiem przemówił dziecięcym, już wesołością, rozumem rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży, jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całem był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty był zaczął. W sierpniowy wieczór pod modrzewiowym siedząc dworem, ojciec i matka słodką o synu prowadzili rozmowę. W ciągu dnia dał był dowody nadzwyczajnego dowcipu, potem na czterokątnem podwórzu zręczne wyprawiał skoki i płasy, teraz jak hetman pobiegł do sadu na czele dzieci wiejskich; tam ich do boju zwykle szykował, tam z niemi igrał wesoło; rodzice o swych nadziejach mówili. Wtem odgłos przeraźliwego krzyku obija się o ich uszy; był tam szczególniej krzyk jeden, co matki serce wskroś przeszył; powstaje, drżąc cała, bieży. Ojciec, zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyścignąć nie może. Jedynak bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka, tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy, widzą rozbiegłą dziatek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzodę: jedno za drze-

wami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: „Panicz utonął, utonął!” Już prawie bez tchu rodzice dwoją swój krok, stają nareszcie nad brzegiem wody, zrazu nie na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa.

Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecko, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie, — nie słyszy, tuli do łona, — nie czuje; bierze je ojciec, — toż samo! niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza od zimnej wody, co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty, każdy coś radzi, wskazuje; każdego ojciec i matka słucha, co tylko radzą — robią, próbują, — a dziecko zawsze nieżywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciało chłopczyń, każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciepa, a dziecko zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy, łamią ręce, dawniejsze wznawiają śluby, świętych wzywają pomocy; lecz niebo głuchem się zdaje, i dziecko leży nieżywe.

„Próżne te nasze mozoly, odbiegłej duszy już nie wróci!” — tak mówią cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka. Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi splywa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolalej matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban z lekarzem rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc, sędziwa piastunka obleka dziecko w białą koszulkę, zeschłe włosy gładko czesze, równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. „Tak ja cię kładłam w kołyskę — mówi do niego, zalana łzami — tak ty mnie w trumnę położyć miałeś!” W tej chwili wpada strwożona matka: „Okrutna! cóż czynisz! — boleśnie woła — alboż to dziecko... „Umarło — pleban dokończa — umarła twoja pociecha. Ten, co ją zesłał, przyzwał do siebie. Ten, co pożyczył, odebrać

¹⁾ *Kronikarz*—autor kroniki czyli opowiadania o dziejach narodu.

może. Poddaj się woli Pana, niewiasto, szanuj z pokorą wyroki Jego“. Klęka niewiasta, obok niej ojciec; oboje ręce do nieba wznoszą, usta ich razem mówią te słowa: Panie, jeśli możesz, oddal ten kielich — jednakże nie dziełek wola, Twoja, Ojcze, niech się stanie!“ Tak rzekli, wzmocnieni, wstają i mówią głośno: „Weźcie już dziecię!“

Cisnie się tłumem czeladka, do dwóch kościołów pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka, drżąc cały, ojciec żonę podpira. Idzie przez miasto orszak w milezeniu, wybiegli z domów mieszkańcy, co krok to grono zwiększają; każdy w cichości dziecięcia płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle w obydwóch kościołach huczny głos dzwonów powietrze wstrząsa, a matka czuje zimnych zwłok drganie. Krzyknęła, stają; lekarz przybiega, kładą na ziemię trumienkę, i znów lekkie czuć drganie. Porywa matka z trumienki dziecię, osłania je suknią, rękoma, chce z niem uciekać; wstrzymuje lekarz jej obłąkanie, pomału iść rozkazuje, strwożonej rzeszy krzyczeć zabrania, do swego domu matkę wprowadza tam w ciepłe łóże dzieciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milezenie, cichość zaleca; matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótkiej chwili serce dziecińy mocniej uderza, po całym ciałku dech się rozchodzi, dziecię do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijając się zaczyna, odmyka dziecię oczka zawarte i ku rodzicom je zwraca, blade usteczka nawpół otwiera, chciało przemówić, uwieźły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. „O, Boże, wszechmocny Boże!“ — wyrzekła cicho strapiona matka i lzy szczęścia ciężar strapienia uniosły. Zaledwie trzy dni minęły, już na podwórzu biegał jedynak, już był na nowo szczęściem rodziców.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,
powieściopisarka polska z pierwszej połowy XIX-go w.

177 —
Strykowski żył w czasach Zygmunto-wskich, napisał bardzo obszerną kronikę, do której zgromadził niezmiernie wiele materiału. Pierwszy pisał o Litwie.

Od czego pochodzą wyrazy: podwórzec, przeraźliwy, jedynak, zbolały, wzmocniony, żaloba?

82. Na stawie.

Cicho — senno na kryształach,
Pomarszczonym kręgiem fal,
Złote, srebrne płyną fale,
Księżyc rzuca blaski w dal.

Ponad brzegiem — istne duchy
Białe — marzą białe bzy...
Drżąca wierzbą strąca puchy
Złotych kwiatów — niby lzy.

Gdzie ścieśnione trzcin szpalery,
Snuje przędę pajak-tkacz...
Drgają blaski, płyną szmery,
Biją ciche fale w płacz.

Jasne światła lśnią topazem,
Z głębin wieje cisza, chłód —
Dwa księżyce patrzą razem:
Jeden z niebios, drugi z wód.

Tam w zatoce, w mgieł welonie
Stoją smukłe cienie drzew...
Czekaj! może wiatr powionie,
I słowicy zabrzmi śpiew.

Cicho — senno, tylko liście
 Ponadbrzeżnych ziół i traw
 Szepczą pacierz, i srebrzyście
 Długim szmerem dzwoni staw.

Kazimierz Głiński,
 współczesny pisarz polski.

Jaki to opis?

83. Rzeczpospolita¹⁾ Babińska.

I. Niedaleko Lublina, na drodze ku Krakowu, jest dotąd rozległa wieś Babin, na kilka części podzielona i różnych dziedziców mająca. W XVI w. należała ona w całości do Stanisława Pszonki, sędziego lubelskiego.

Ten zacny obywatel, znakomity nauką, dowcipem i majątkiem, za panowania Zygmunta Augusta założył tu *rzeczpospolitą babińską*, czyli towarzystwo osób wesołych i żartobliwych.

Odbywały się w Babinie zjazdy obywateli żartobliwego i wesołego umysłu; była to stolica wszystkich rozmów dowcipnych i zabaw pełnych humoru. Wzorem *rzeczpospolitej polskiej*, obierano w Babinie króla, senat²⁾, arcybiskupa, biskupów, wojewodów, kasztelanów, starostów, hetmanów, kanclerzy i innych urzędników.

Liczne grono obywateli, przyjaciół Pszonki, rozebrało między siebie urzędy. Liczba urzędników nie miała granic; nowo mianowanym dawano uroczyste stosowny dokument, z pieczęcią i wszelkimi formalnościami.

¹⁾ *Rzeczpospolita* — państwo, które nie ma króla, tylko jest rządzone przez naród, z prezydentem na czele; Polskę wyjątkowo zwano tak, choć był król.

²⁾ *Senat* — rada, złożona z arcybiskupa, biskupów, wojewodów, kasztelanów i innych dygnitarzy, z królem na czele. Wojewoda — naczelnik województwa, kasztelan — powiatu, kanclerz — kanclerz królewskiej. Starosta — urzędnik sądowy nad miastem.

Przy rozdawnictwie urzędów kierowano się głównie wadami lub słabościami danej osoby. I tak: jeśli kto lubił rozprawiać wiele o wyższych rzeczach, których nie rozumiał, czyniono go natychmiast arcybiskupem. Tchórza, który się chlubił z odwagi i męstwa, a nie znał się na sprawach wojennych, mianowano hetmanem. Zamiłowanego w trunkach nad miarę — robiono piwniczym; nieumiejącego pisać — pisarzem i t. p.

II. Zarty tej *rzeczpospolitej* rozszerzały się do tego stopnia, że nie było prawie dygnitarza w Polsce, któryby jednocześnie jakiegoś urzędu w Babinie nie piastował. Nie był od tego wolny nawet Jan Zamoyski — nawet i sam król.

Zygmunt August szczególną znajdował rozrywkę w słuchaniu opowiadań o tych zabawach. Zapytał raz też któregoś z dostojników babińskich, czy mają i króla u siebie. Burgrabia Pszonka odpowiedział: „Uchowaj, Boże, abyśmy za życia twojego, Najjaśniejszy Panie, mieli myśleć o wyborze innego króla dla nas. Panujesz, miłościwy królu, w Polsce, panuj i w Babinie!“ Dobrotliwy król nie uraził się tą odpowiedzią i mile ją przyjął.

Nie trzeba jednak sobie wyobrażać, żeby każdy był dopuszczony do babińskiego państwa. Kto chciał dostać nominację na urząd, musiał okazać swe zdolności i obowiązany był mówić publicznie, poczem rada decydowała o jego przyjęciu. Uszczypliwy w mowie, obmówca, nieszanujący sławy cudzej, złośliwy i plotkarz nie był przyjmowany. Przeciwnie — miły dowcip, żartobliwość nieszkodliwa, stanowiły zalety godne urzędu. Osoby rozsądne z chęcią te dostojenstwa przyjmowały, i za zaszczyt poczytywano być urzędnikiem babińskim. Jeżeli mianowany na urząd gniewał się, tak z niego żartowano, że władzy babińskiej poddać się nareszcie musiał.

Zabawy tego rodzaju, wesołe bez złośliwości, skutecznym były środkiem do poprawy wad i śmiesznośtek, wy-

— 180 —
rabiały szczególnie w młodzieży umiarkowanie, skromność, grzeczność i uprzejmość, przymioty tak potrzebne w życiu towarzyskiem i społecznem.

Według Ł. Gołębiowskiego.

Rozkład treści.

Objasnij wyrazy: rzeczpospolita, kanclerz, hetman, starosta, wojewoda, kasztelan, senat.

Istnienie rzeczpospolitej babińskiej jako objaw humoru polskiego i cywilizacji. Co można stąd wnioskować o stosunku narodu do króla?

84. Karliński.

Pod Olsztynem obozem wkół leżą
Księcia Maksa wojenne szeregi,
Raz i drugi do szturm uderzą,
Lecz się łamią, jak fala o brzegi:
Zdobyc twierdzy obronnej nie mogą,
W niej Karliński dowodzi załogą.

Więc na siolo poblizkie napadli,
Na dom wodza załogi fortecznej.
Ach, spalili ci dom i wykradli
Twoje dziecię, o wodzu waleczny!
Twego synka, niemowlę w pieluchach,
O złocistych na główce swej puchach.

Twoje dziecię z piastunką, co płacze,
Zapędzili pod mury Olsztyna,
I mówiły te dusze żołdaczce:

— Olsztyn w ręce da nam ta dziecina.
Więcej zdziała od naszych oręży,
Tylko ojciec w nim wodza zwycięży.

Przypadł goniec pod okop zamkowy
I zatrąbił pokoju sygnałem;
Z dzielnym wodzem zażąda rozmowy
I odezwał się słowem zuchwałem:

— Otwórz bramy przed armią niemiecką,
Oddaj Olsztyn, lub zginie twe dziecko.
Skróń starcowi oblalą się potem,
Zbladnął, zgrzytnął, boleścią rozdarty,
Serce biło o pancerz jak młotem;
Długo milczał, na szabli oparty.
Nagle cały się wstrząsnął gwałtownie
I zawołał: Nie oddam warowni!

Ha, do szturm tam biegą ich roty!
A jak biała chorągiew na przedzie
Świeci dziecię, aniołek ten złoty.
Czyż do boju szatanów tych wiedzie?
A głos w dzikim rozlega się gwarze:
— Przecież strzelać do syna nie każe!

Długo rycerz stał niemy na wałach,
Oko żarem straszliwym mu świeci,
Bombardjerzy na hasło przy działach
Oczekują... Wódz nagle lont¹⁾ chwyci,
Błysnął płomień, padł wystrzał armatni,
Padł pod strzałem syn jego — ostatni!

Wszystkie działa ryknęły wystrzałem,
Huczą pieśnią pożogi straszliwą,
Dymy gęstym rozsiadły się wałem,
Napastnicy nie ujdą stąd żywo!
Pod czarnymi fortecy murami
Całe blonie zasiane trupami.

I jak oko daleko zasięże,
Pod Olsztynem nie widać już wroga...
Wojownicy otarli oręże,
Ale milczy zwycięska załoga:
Dziś nie pora okrzyków wesela,
Wojsko wodza żałobę podziela.

¹⁾ Lont — sznur konopny, nasycony materją palną, służy do zapalania działa.

On milczący wciąż stał przy armacie,
 Długo patrzył na krwawy plac bitwy.
 Czy skamieniał po ciężkiej swej stracie?
 Czyli w ciche utonął modlitwy?
 Spojrzał w niebo, potem głowę skłonił
 I twarz sobie rękami zasłonił...

Stoi orszak rycerzy szlachetny,
 Lecz nikt nie śmie przerywać tej ciszy;
 Wtem się ozwie on ojciec bezdzietny
 I do swoich tak rzekł towarzyszy:
 — Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy,
 Że tak poległ, jak wszyscy Karlińscy!

Adam Pajgert.

Gdzie jest Olsztyn? Jak rozumieli wówczas Polacy obowiązki
 względem ojczyzny? Czy może zginąć kraj, którego obywatele tak
 czują?

85. Stałość Regulusa.

Podczas wojny z Rzymianami (254 r. przed nar. Chr.) Kartagińczycy wzięli do niewoli konsula (wodza rzymskiego) Regulusa, lecz tylu doznali klęsk, że postanowili zakończyć tak złowrogą dla siebie wojnę szybkim zawarciem pokoju. W tym celu zaczęli cokolwiek łagodniej obchodzić się z więźniem i nakłonili go, aby w towarzystwie ich posłów udał się do Rzymu dla skutecznego wyjednania od senatu pokoju, albo przynajmniej wymiany jeńców. Zanim jednak Regulus wszedł do Kartaginy, musiał wykonać przysięgę, że jeżeli nie nie wyjedna, powróci do więzienia.

Szybko rozbiegła się pomiędzy Rzymianami wieść o powrocie Regulusa, całe miasto zabrzmiało okrzykami radości, wszyscy wybiegli na spotkanie dzielnego konsula, lecz ten, przybywszy do bram miasta, nie chciał wejść, mówiąc do tych, co go zapraszali:

— Nie jestem obywatelem Rzymu, jestem niewolnikiem Kartagińczyków, przybywam jako ich poseł, a posłowie nieprzyjacielscy do Rzymu nie wchodzą.

Senat więc zgromadził się poza murami miasta, a gdy wraz z kartagińskimi posłami stanął przed nim Regulus, i kiedy go wezwano, aby objawił treść swego poselstwa, odezwał się w te słowa:

— Senatorowie! Kartagińczycy, przez których zostałem wzięty do niewoli, nakłonili mnie, abym, przybywszy do Rzymu, żądał od was w ich imieniu zawarcia pokoju, albo przynajmniej wymiany jeńców. Co do mnie, radzę wam odmówić jednego i drugiego.

Kartagina jest dziś zupełnie osłabiona, widzi, że dalej prowadzić wojny nie może, i dlatego tylko żąda od was pokoju. Co się zaś tyczy zamiany jeńców, pytam, jaką korzyść Rzym odniósłby z żołnierzy, którzy z obawy śmierci dobrowolnie złożyli broń i stali się pogardą zwycięzcy. Wy zaś między jeńcami kartagińskimi macie mnóstwo dowódców młodych i odważnych, którzyby kiedyś mogli stanąć na czele wojsk nieprzyjacielskich. Narzeczcie o mnie niema się co dobijać, jestem stary i nie na wiele przydałbym się Rzymowi; gdy tymczasem ci, których oddalibyście za mnie, byłiby dla Kartaginy niemалą podporą. Nie popełniajcie tak wielkiego błędu, odmówcie wszelkiej zamiany i prowadźcie wojnę z większą niż kiedykolwiek wytrwałością.

Senat, przekonany tą mową, postanowił odrzucić natarczywe propozycje Kartagińczyków, ale jednocześnie chciał zatrzymać Regulusa w Rzymie. Niektórzy senatorowie przekładali mu, że wykonał przysięgę w kajdanach, że zobowiązania człowieka, będącego w niewoli, nie powinny go wcale krępować. Nawet wróżbici, umyślnie zgromadzeni, oświadczyli, że Regulus może pozostać w Rzymie bez grzechu krzywoprzysięstwa, ponieważ nie jest obowiązany dotrzymać przysięgi, wykonanej wiarołomcom.

Regulus, uważając te wszystkie pozory za niegodne człowieka honoru, odpowiedział:

— Przysięgłem powrócić do Kartaginy, bo tak chciałem, a chcę powrócić, bom przysiągł.

Taka stałość bardziej jeszcze zachęciła senat, aby go zatrzymać, lecz wszystkie środki okazały się daremnymi.

Regulus wiedział, że wracając do Kartaginy, szedł na niechybną śmierć, ale przekładał zgon chwalebny nad życie, którego bez złamania przysięgi, bez naruszenia honoru, nie mógł zachować. Dlatego też, pomimo płaczu i prośb żony, dzieci, krewnych i przyjaciół, pomimo nalegań senatu i całego ludu, który, zgromadziwszy się tłumnie około niego, prawie przemocą chciał go zatrzymać w Rzymie, bohater wrócił na miejsce spodziewanych męczarni z tak wesołym i pogodnym obliczem, jak gdyby szedł odbywać tryumfalny pochód.

Przybywszy do Kartaginy, wycierpiał najokropniejsze tortury, na jakie mogła się zdobyć wyobraźnia rozwścieczonych Kartagińczyków, i wyzionął ducha w krwawej męce. Tak zginął Regulus, jeden z najznakomitszych ludzi, jacy opromieniali Rzeczpospolitą Rzymską.

Jan Chęciński,

pisarz polski z w. XIX-go.
(„Obrazki historyczne“).

Wymień Polaków, którzy oddali życie za ojczyznę.

86. Duma o Stanisławie Żółkiewskim.

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i helm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

Kiedy tak dumał, po białym promieniu
Błyszczącą widzi stał pomiędzy krzaki:
Był to helm, na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki.

Zdjął go i na tak tkliwe widowisko
Jął męzny rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk pobojo-wisko,
Usiadł i takie zaczął rymy śpiewać:

„Cecorskie pola i wy, głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie
Nad wodzem, sławnym w wiekopomne czasy.

Mężu, co sławy chęć wyssałeś w mleku,
Zamoyski twoje przepowiadał cnoty,
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku
Słałeś mord srogi w liczne Niemców rotę.

Cóż gdy hetmanem zostałeś z rycerza
I świetnym pułkom przywozić zacząłeś?
Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś państwa i już Moskwę wzięłeś.

Hetmanie, pelen nieśmiertelnej sławy,
Dniu w sercach polskich nigdy niezmazany!
Kiedys, z szczęśliwej wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawił jeńców stany.

Król Zygmunt siedział na tronie, a wkoło
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie,
Młody Władysław pozierał wesoło,
Wtem wszedł Żółkiewski, a za nim carowie.

— Królu! narodzie wolny i potężny!
Wiodęć ród carów, nieszczęsny, lecz męzny;
Przyjm go, nie jako chluby widowisko,
Lecz jak odmiennej fortuny igrzysko.

Bodajby nieba, co nam dziś szczęśliwy,
Wiodły zwycięstwa za orły polskimi,
Bodajby wnuki sposoby srogimi
Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!

Ty, Władysławie, byś jej klęski słodził,
Moskwać przeze mnie śle poddaństwa śluby,
Rządź nią, lecz pomnij, kędyś się urodził,
Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!

Tak mówił hetman. Któżby rzekł, że chwile
Tak świetne w ciężkie zamienia się klęski?
Ze nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięski!

Obóz mu cały wśród łez i rozpacz
Wyniósł grobowiec i zwłoki w nim schronił,
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
„On piersi swemi ojczyznę zasłonił!”

Ty, drogi hełmie, skronie mu wieńczyłeś
I włos, zsiwiał na pracach ojczyzny,
Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetne blizny!

Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję,
Aż cieniom wodza ofiary nie złożę
I pól cecorskich trupem nie okryję!...”

A tak Sieniawski każdy bój stoczony
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą.
Dotrzymał słowa i, laurem wieńczony,
W ogromnym hełmie stanął przed swą lubą.

Juliau Ursyn Niemcewicz.

Opowiedz, jak to było pod Cecorą. Kto pomścił śmierć Żół-
kiewskiego i klęskę?

Wypisz stąd kilkanaście trudniejszych wyrazów.

87. Z życia Aleksandra Wielkiego.

Aleksander Wielki, król macedoński¹⁾, który żył
w IV w. przed Chr., był jednym z najznakomitszych wo-
jowników świata.

Wkrótce po wstąpieniu na tron zdobył Azję Mniejszą,
a następnie udał się na południe, aby podbić Egipt. Droga
prowadziła przez pustynię. Słońce mocno paliło, ani kro-
pelka deszczu nie spadła, żołnierze Aleksandra cierpieli
straszenie pragnienie. Aleksander sam również prawie omdle-
wał i zaczynał także skarżyć się na upał i pragnienie.

Wtem jeden z żołnierzy zbliżył się do niego i podał
mu w hełmie trochę wody, zaczerpniętej z zagłębienia
w skale. Aleksander wystąpił przed wojsko, pokazał hełm
i rzekł: „Dla nas wszystkich nie wystarczy, a ja nie chcę
mieć pierwszeństwa przed wami”. Mówiąc te słowa, prze-
wrócił hełm i wylał wodę w piasek.

Żołnierze gromkimi okrzykami wyrazili mu swe uwiel-
bienie, i nikt się już na pragnienie nie użalał.

Według Krasnowolskiego.

W jaki sposób wyrobić w sobie można wstrzemięźliwość? Czy
tylko wstrzemięźliwość podziwiamy w tym czynie Aleksandra Wiel-
kiego?

88. Złoto i żelazo.

Dukat świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
— Czegożem ja się doczekał?

¹⁾ *Macedonja* — kraj na półwyspie Bałkańskim.

Ach, jaką to dla mnie skazą
Być gnębionym przez żelazo,
Przez kruszec podły i twardy! —

— Chciej powściągnąć ton twój hardy —

Młot na dukata zawoła:

— Nikt tego zmienić nie zdoła,

Nikt tej prawdy nie ukryje,

Że żelazo złoto bije.

Póki żelazo będziemy posiadać,

Umieć, jak pługiem i orężem władać,

A cnota z męstwem będą kraju stróże:

Obca nas chciwość nigdy nie przemoże.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

Co jest pożyteczniejsze: złoto czy żelazo? Co to znaczy: „Nie wszystko złoto, co się świeci“?

89. Stefan Czarniecki.

(Materiał z Wiktora Cermaka).

Jednym z najdzielniejszych wodzów, jakich miała Polska, był Stefan Czarniecki. Żył on właśnie w czasach bardzo ciężkich dla kraju, bo za panowania Jana Kazimierza, kiedy różni najeźdźcy jak potop zalewali Polskę¹⁾.

Od wczesnej młodości czuł już Czarniecki wielki pociąg do służby wojskowej i prosto ze szkół wstąpił do wojska. Za Władysława IV odznaczył się w kilku walkach, a gdy nastąpił pokój, ożenił się i osiadł na wsi, w rodzinnej Czarńcy.

Niedługo jednak używał spoczynku i wytchnienia: wybuchły straszne wojny kozackie (bunt Chmielnickiego). Czarniecki, walcząc w szeregach polskich, dostał się do niewoli tatarskiej. Przecierpiał w niej dwa lata, ale po-

¹⁾ Były wtedy wojny z Rosją, Kozakami, Tatarami, Szwedami i Węgrami, a we wszystkich brał on udział.

znał naturę i zwyczaje Tatarów, co mu się później przydało.

Po ugodzie zborowskiej wykupiony z niewoli, znalazł się znowu na placu boju i pod Beresteczkiem przyczynił się do zwycięstwa nad Kozakami i Tatarami.

Mężny, wytrwały i niestrudzony w służbie, zyskał do tego stopnia zaufanie hetmanów, że mu powierzali znaczne oddziały wojska pod rozkazy. Awansował też szybko.

Podczas oblężenia Monasterzysk odniósł ciężką ranę: kula nieprzyjacielska rozdarła mu policzek i wyrwała podniebienie. Pozbawione wodza wojsko odstało od szturm. Kiedy Czarniecki przyszedł do siebie, pierwsze jego pytanie było: „Czy miasto wzięte?“, a gdy mu powiedziano prawdę, z żalu i gniewu dostał krwotoku.

Wyleczył się wprawdzie z rany, ale pozostała mu po niej głęboka blizna na twarzy i podniebienie ze srebrnej blachy, które musiano wprawić w miejscu zniszczonem przez kulę. Niestrudzony bohater gromił znowu nieprzyjaciół pod Ochmatowem, ale najwięcej zasług położył wtedy, gdy wszyscy na duchu upadli — w czasie najazdu szwedzkiego.

II.

Kiedy większość Polaków poddała się lub uległa Karolowi Gustawowi, królowi szwedzkiemu — on został wierny swemu prawowitemu monarsze — Janowi Kazimierzowi. Bronił dzielnie Krakowa przed Szwedami, a potem, gdy i Kraków uleść musiał najeźdźcy, tworzył Czarniecki małe oddziały rycerzy, napadał Szwedów znienacka i bił nieraz o wiele liczniejszego nieprzyjaciela.

Raz Szwedzi spalili most na Pilicy, chcąc odciąć nasze mu wodzowi przeprawę. Czarniecki jednak nie namyślał się ani chwili i, stanawszy na czele wojska, rzucił się w nurt rzeki, a za nim rycerstwo. Szwedzi zostali pobici¹⁾.

¹⁾ Zwycięstwo pod Warką.

Podczas tej wojny król duński, którego też Szwedzi napadali, zawarł z Polską przeciwko wspólnemu wrogowi przymierze. Wyruszył tedy Czarniecki do Danji w sześć tysięcy doborowej konnicy, złożonej z samych zuchów i wiarusów, co się ognia ani wody, ani kul nie bali. Okazało się to podczas przeprawy przez cieśninę morską na wyspę Alsen. Stało wojsko nad brzegiem morza, a tu okrętów do przewozu ani śladu. Niemcy, którzy tam niby do pomocy stali, zaczęli w miejscu dreptać, nie wiedząc, co czynić. Ale Czarniecki nie nawykł ustępować przed nikim i niczem: dał znak swoim, i w mgnieniu oka pozdejmowali z koni kulbaki¹⁾, powiadali do łodzi, które były na podorędziu i, trzymając konie za uzdy, powprowadzali je do wody. Wkrótce stanęli Polacy na przeciwległym brzegu, ku wielkiemu zdumieniu obecnych, i wyparli Szwedów z wyspy.

Cały rok bojował Czarniecki ze Szwedami w Danji i ostatecznie ich stamtąd wypędził. Nie odpoczął po powrocie do kraju, tylko znowu walczył i walczył bez wytchnienia, gdyż w ojczyznę były dalej gromy. Pamięta go Litwa i Ukraina. Aż nareszcie upadł na siłach ten człowiek żelazny i rozchorował się ciężko. Pragnął ratować zdrowie, by służyć dalej krajowi: kazał się wieźć do Lwowa, ale w drodze nastąpiło takie pogorszenie, iż musiano się zatrzymać z chorym we wsi Sokołowce. Nadchodziła śmierć. W tych ostatnich chwilach życia odebrał Czarniecki list od króla z nominacją na hetmana polnego²⁾. Dotąd nim nie był! „Zawszem się tego spodziewał — powiedział umierający — że mi król da buławę³⁾” natenczas, kiedy ustanę wojować“. Po przyjęciu sakramentów św., pożegnał wiernych towarzyszy boju, konia ulubionego i skończył cicho i pogodnie. Stało się to dnia 16 lutego 1665 roku.

¹⁾ *Kulbaka* — siodło proste.

²⁾ Hetman polny był pomocnikiem hetmana wielkiego.

³⁾ *Buława* — oznaka godności hetmańskiej.

Był to prawdziwy rycerz z powołania. Nie dbał nigdy o wygodę i nie lubił wystawnego życia. Czasem, bywało, dzień i noc nie zsiadał z konia, a kiedy bawił w obozie, to mieszkał i żył zupełnie jak szeregowiec. Zwyczajnym jego pokarmem była wędzonka, jedynym napojem — woda: gdy go sen zmorzył, to kładł się na wojłoku i opierał głowę na siodle. Ale nie tracił dużo czasu na spoczynek; nieraz nie dosypiał nocy i wyprzedzał wschód słońca, by nieprzyjaciela zaskoczyć zniemacka.

Lubił nadewszystko szybkie i gwałtowne ruchy: spadał nagle, cofał się i znowu szybko spadał, jak piorun, raz po raz, nie dając przeciwnikowi wolnej chwili do zebrania sił i wytechnienia.

Sam stanowczy i nieugięty, niecierpiał ludzi chwiejnego charakteru i ociężalej natury; a już najbardziej nienawidził tego ociągania się, odkładania roboty z dnia na dzień, marudztwa, które na wojnie najczęściej bywa przyczyną wszelkich niepowodzeń.

Lecz przytem wszystkiem kochał swoje wojsko i oszczędzał je, jak ojciec szanuje i oszczędza swoje dzieci. Można powiedzieć, że jeśli mu się dobrze powodziło, to dlatego, że towarzysze broni i podwładni szczerze i gorąco go miłowali. Gdy on przybył, opuszczała wojsko obawa i niepokój. Wszystko czuło się bezpiecznem pod jego pieką.

To też między takim wodzem a żołnierzami wywiązało się stosunek serdeczny. „Czarniecki znał swoich ludzi zawnosko, bo żył z nimi, jak z braćmi i przyjaciółmi. Nie stronił od nich dumnie, przeciwnie, chętnie bawił w ich towarzystwie. Przechadzał się po obozie, rozmawiał z każdym, kto się do niego garnął, miał dla żołnierzy zawsze dobre słowo i żart na zawołanie“. Nie dziw, że żołnierze przepadali za swym wodzem.

A cóż dopiero, kiedy Czarniecki stanął na czele swoich chorągwi, prowadząc je do walki! Wojsko wpatrywało się weń jak w tęczę, czekając z niecierpliwością hasła bojowego, a Czarniecki umiał wybornie zagrząć i porwać za sobą żołnierza.

Panowie szlachta uważali sobie za wielki zaszczyt służyć pod takim wodzem. Nazywali się nawet z dumą „Czarnieczykami“.

Życzliwy i łaskawy, jak ojciec, wymagał też ten wódz takiego posłuszeństwa, jak ojciec od dzieci. Karność w jego wojsku była tak przykładna, jak nigdzie indziej. Nigdy nie zdarzyło mu się, żeby go opuścili żołnierze, albo opierali się w wykonaniu jego rozkazu. Bo jakże było się opierać, kiedy Czarniecki szedł sam pierwszy w ogień! „Nie śmierć jego, ale on ochotnie zawsze szukał śmierci“, świadczy jeden z podwładnych towarzyszy.

Przy tych przymiotach i zasługach, ten człowiek wielki skromnym był niesłychanie. Kiedy wjeżdżał do Lachowic po zwycięstwie, wyszli przeciwko niemu w procesji zakonnicy, szlachta i lud cały. „Witaj nam, witaj niezwyciężony bojowniku, obrońco i zbawicielu nasz!“ wołali. A on zatulał uszy czapką, nie chcąc słuchać owego pochlebstwa. Wszak pracował dla ojczyzny, a nie własnej chwały!

C. B.

Czy wszyscy wodzowie są podobni do Czarnieckiego? Jakich znasz sławnych wodzów?

Objaśnij wyrazy: wojna, bitwa, walka, potyczka, starcie.

90. Śmierć Stefana Czarnieckiego.

W Sokółowce przed chatą u proga
Pachółkowie i ludu czerń mnoga:
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.

Hetman głowę pochylił na łożu,
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce, jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy:
To o Szwedach — odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze;
A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
Świętem krzyżmem maże ziemskie grzechy,
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
„Sługę Twego zbaw, Panie, Stefana“.
Zarzął stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny,
Bielmem zaszle otworzył żrenice
I popatrzał na smutną gromnicę...
Witał księdza, jak ze snu powstały,
I znów słuchał, jak rzy jego Biały.
„Wprowadźcie go!“ — skinął na husarzy,
I wnet Biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy
(A obadwaj biali, jak dwa duchy).
Śmiał się hetman, jak dziecko szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegiem grzywy:
„O mój Biały!“ A biały spokojnie
Zda się z panem rozprawać o wojnie;
Raz po razie miękką grzywą ruszy,
A starcowi coraz tęskniej w duszy.
Wzniósł buławę, spojrział wkoło groźno
I rzekł: „Królu, dałeś ją za późno!“
Potem opadł na łożo bez siły.
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny.
A w świetlicy leży hetman polny,

Pan Kijowski nie daje rozkazów,
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,
Ani rzeniem nie zbudzi go siwy,
Bo wódz wielki już leży nieżywy.

A twarz jego szlachetna, uczciwa,
Jeszcze jakimś przestachem przeszywa,
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
I szeroką odzywa się szramą:
„Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli“.

Antoni Czajkowski.

Co to znaczy: „Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli?“

91. Z pamiętników Paska.

W czasie najazdu Szwedów na Polskę, za Jana Kazimierza, wybuchła wojna między Szwecją a Danją. Danja zawarła z Polską przymierze przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, i król polski posłał Duńczykom na pomoc sześć tysięcy wojska pod dowództwem Czarnieckiego. Wyprawa trwała od sierpnia 1658 do końca 1659 r.

Opisał ją barwnie w swych pamiętnikach towarzysz pancerny z dywizji Czarnieckiego, Jan Chryzostom Pasek.

Wyjątek z tych pamiętników przytaczamy.

Chodziło o zdobycie twierdzy Koldyngi.

„Ladzą, jak się podszańcować, jako mury rąbać, a czem mieli rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz, żeby rozjechali się po wsiach, po mil dwie albo trzy, o przyczynie siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie nakładzono. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północks trąbić pobudkę, sam wstał, mało co śpiąc, owe siekiery kazał rozdzielić między cho-

ragwie i piechotę. W godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmów za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach dla postrzału od ręcznej strzelby; a żeby wszyscy wraz skoczyli do muru, jako najlepiej przycisnąwszy się do muru, żeby z góry nie rażono.

Skoro tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżej pod miasto. Było nas pięciu starszych z pod naszej chorągwi, ale komenda po staremu przy mnie była. Oddawszy się tedy Boskiej i Jego Najświętszej Matki protekcyi, z kompanją się też już właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski mówił z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy te, co się odmawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy ja do niego bliżej, mówię: — Proszę ja też, mój dobrodzieju, o osobliwe błogosławieństwo. — Ścisnął mnie z konia za głowę i błogosławił, a zdjawszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: — Idźże śmieło, nie bój się.

Z murów zaraz strzelać poczęli, lekce bo nas ważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy. Na konnych oni mówili, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni, pójdzie tu w rozsypkę, jak raz ognia dadzą. Każdy z pacholków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach, niektórzy też z kałkanami¹⁾. Zacząłem tedy śpiwać z tymi, co w mojej komendzie byli: „Już pochwalmy Króla tego“. — Skorośmy tedy do fosy doszli, już się czeladzi uprzykrzyło trzymać owe snopy słomy i poczęli je ciskać w fosę. Jaki taki, obaczywszy u pierwszych, także to czynił, i wyrównali ową fosę tak, że już daleko lepiej było przeprawić się tym, co na ostatku szli, bo źle było z owymi snopami drapać się do góry po śniegu na wał. Kto jednak swój wyniósł, poznał, że mu pomagał, bo znajdowano kulę, co i do połowy nie przewierciała.

Wychdząc tedy z fosy, kazałem swoim wołać: „Jezu!

¹⁾ *Kalkan* — tarcza okrągła.

Marja!“ lubo inszy wołali: „hu, hu!“, bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli jakiś pan Hu. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu na mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Mnie się tedy dostało z moją watahą¹⁾, że przy srogim filarze albo raczej narożniku było jakieś okno, w którym srodze gruba żelazna krata. Zaraz tedy przed ową kratą kazałem mur rąbać na odmianę; ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś nad nami na drugim piętrze takie okno z taką kratą. Z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z długiej strzelby nie mógł strzelić do nas i wysadzić nijak, dla owej kraty. Jam też kazał do góry nagotować broń, i jak rękę wytknie, wraz dać ognia. I tak się stało, aż zaraz i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazywać, ale tylko kamienie wypychali na nas przez ową kratę.

Tymczasem jak rąbią, tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owej kraty widać, radziśmy, bo to już grad kul na nas nie pada; rozkosz, by co prędzej wniknąć pod dach, ale nie było czem owej kraty wyważyć, musieli dalej rąbać. Skoro już mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi wlaźć po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze.—Wleżę.—Tylko wlaź, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi. Tam go do siebie zapraszają, my go też tu nazad wydzieramy: ledwieśmy chłopca nie rozerwali. Woła na nas:—Dla Boga, już mnie puśćcie, bo mię rozerwiecie! — Krzyknę ja na swoich: — Dajcie w okno ognia! — Włożyli tedy kilka bandoleatów²⁾ w okno, dali ognia, zaraz Szwedy Wolskiego puścili. Dopieroż my po jednemu w okno wleźli, już nas tam było z półtorasta.

1) *Wataha* — oddział. 2) *Bandolet* — rodzaj strzelby..

Wychodzimy tedy szczęśliwie ze sklepu i stajemy szeregiem na dziedzińcu, a tu coraz więcej ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas w dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić, a chorągwią białą wywijać, co jest znak proszenia o miłosierdzie. Ale z kupy rozchodzić się nie dam, póki nie obaczę generalnej konfuzji¹⁾ nieprzyjacielskiej. Wolski także swoim.

Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie był sam komendant, schodzą na dół muszkietierowie. Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, tak jakoby miesi²⁾cem³⁾, i razem po wydaniu pierwszego ognia wziąć na szable.

A tam w wojsku muzyka trąbi, hałas, grzmot, krzyk, zaraz stawają do ordynku³⁾, my też do nich postępujemy, już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem naraz poczną uciekać; bo ich już był Tetwin (jeden z oficerów polskich) z dragonją złamał. My nuż siec. Co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jak pod smycz nam przychodzą, tak tedy położyliśmy ich mostem.

Dopieroż po zwycięstwie rozsypało się co żywo rycerstwo na rabunek: biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, zdobycz wynoszą. A Tetwin wychodzi z dragonją, rozumiejąc, że najpierwszy wszedł do zamku, a trupa leży gwałt, a nas tylko z piętnaście stoi towarzysza, bo się porozbiegali. I żegna się, mówiąc: — A tych ludzi kto narzwał, kiedy was tu tak mało? — Odpowiedział Wolski: — My, a nie i dla was będzie, — ono wyglądają z wieży“.

W taki sposób Koldynga została zdobyta.

Co to znaczy: „Złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzyma“?

1) *Generalna konfuzja* — ogólna porażka.

2) *Miesi²⁾cem* — w półkieszy.

3) *Do ordynku* — porządku.

92. Trzech Budrysów.

Stary Budrys trzech synów, tęgich, jak sam, Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:

— Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze;

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiell Lachy sąsiady,
A ksiądz¹⁾ Kiejstut napadnie Teutony²⁾).

Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmeń, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony, i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzieńgi³⁾ jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki, psułaty;
Tam bursztynu, jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiellem niech trzeci poza Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki:
Wesolutkie, jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się, jak dwie gwiazdeczki.

¹⁾ Mówiono dawniej *ksiądz* zamiast *książe*.

²⁾ Mowa tu o krzyżakach; Teutony — Niemcy.

³⁾ *Dzieńgi* — pieniądze.

Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym
człowiekiem,

Laszkę sobie przywiozłem za żonę;
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema,
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

— Ej, to kubeł, w tym kubie nowogrodzkie są ruble.

— Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci.

A pod burką wielkiego coś chowa.

— Pewno z Niemiec, mój synu, wiesz kubek bursztynu?

— Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,

Burka pełna, zdobyczy tam wiele;

Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał

Prosić gości na trzecie wesele.

Adam Mickiewicz.

Jakie bogactwa i skarby przypisywał Budrys Rusi, Krzyżakom
Polsce? Kiedy się Litwa z Polską ostatecznie zbrała?

93. Mucjusz Scewola.

Porsena, król Etrusków, widząc, że bronią nie zdoła
ujarzyć Rzymu, obległ go w nadziei, iż głodem przymusi
do poddania. Długie oblężenie zaczynało już odbierać Rzy-
mianom odwagę, kiedy Mucjusz, młodzieniec pelen zapału
i męstwa, drżąc o rodzinne miasto, postanowił sam jeden
wyrwać je z tak dręczącej niepewności.

Przebrał się tedy za wieśniaka i wkradł się do obozu Etrusków.

Tam, między tłumem żołnierzy, udało mu się przecisnąć aż do namiotu samego Porseny, gdzie właśnie płacono żołd wojsku.

Mucjusz, nie znając króla, a nie chcąc się zdradzić zapytaniem, dobył miecza i przebił tego, do którego żołnierze cisnęli się po pieniądzu i który z powodu bogatych szat wydał mu się samym Porseną. Tymczasem los chciał inaczej — zamiast Porseny, sekretarz jego został zabity.

Po takiej pomyłce Mucjusz z zakrwawionym orężem w dłoni przeciskał się przez przerażony tłum, lecz straż królewska, schwytawszy go i rozbroiwszy, zaprowadziła przed sąd.

— Kto jesteś? — zapytał król — jacy są twoi współnicy, i dlaczego przedsięwziąłeś czyn, zarówno zbrodniczy, jak zuchwały?

— Jestem Rzymianinem, nazywam się Mucjusz, chciałem zabić ciebie i przez pomyłkę zabiłem innego; współników zaś moich nie wydam.

— Jeżeli ich nie wydasz, każę cię żywcem spalić — zawołał rozniewany Porsena.

— Rzymianie umieją działać i cierpieć, jak bohaterowie — odrzekł Mucjusz — żeby cię zatem przekonać, że groźbami ani męczarnią nie zdołasz mnie zastraszyć — patrz!

To powiedziawszy, zwrócił się ku płonącemu ogniskowi i jak gdyby chcąc ukarać rękę, co go zawiodła, włożył ją w ogień. Obecni zadrżeli, a młodzieniec, nie okazując najmniejszego cierpienia, spoglądał na Porsenę, nie jak człowiek zatrwożony, ale jak wzbudzający trwogę.

Król, zdziwiony taką odwagą, kazał go odsunąć od ogniska, wrócił wolność i sam oddał mu oręż. Mucjusz, straciwszy władzę w prawej, ujął go lewą ręką, i podobno dlatego został przezwany *Scaevola*, czyli mańkut.

Wtedy dopiero młodzieniec, ujęty wspaniałością Porseny, rzekł:

— Ponieważ oddajesz cześć odwadze, powiem ci dobrowolnie to, czego siłą nie byłbyś nigdy wydobył ze mnie. Wiedz, że trzystu najdzielniejszych Rzymian sprzyściło się na twoje życie. Na mnie wypadło pierwszeństwo; ale składam dziękczynienie niebiosom, że się pomylił, że nie zabił walecznego człowieka, który zasługuje raczej, aby był przyjacielem, nie zaś nieprzyjacielem Rzymian.

Porsena, przerażony groźbą mu niebezpieczeństwem, czy też wzruszony dzielnością Rzymianina, kazał mu swobodnie oddać się do swoich.

Ale za nim wyprawił zaraz posłów, ofiarując pokój obleżonemu miastu.

Ofiarę chętnie przyjęto i Porsena cofnął swoje wojska z okolic Rzymu.

Senat, w nagrodę męstwa, obdarzył Mucjusza gruntami poza Tybrem, które później nazywano równinami Mucjusza.

Jan Chęciński.

94. Trzeci szturm do Stawiszcz.

Śpiew historyczny.

Chrobry Czarniecki nasroża lice,

Zgrzyta na popłoch żołnierstwa:

A grzmiały mōdzierze, grają haubice¹⁾,

Huczą Stawiszczan bluznierstwa.

Daremnie, — wszystko pierzcha w zawody,

Przy wodzu tylko garść wiernych:

Murza Tatarzyn, Sobieski młody,

I kilka znaków pancernych.

¹⁾ *Haubice* — gatunek działa (armaty).

Żelazną ręką tarł hetman czolo,
Przygryzał język i wargi,
Oczyrna wzgardy błyskał wokoło,
Jąkał obelgi i skargi.

— Przeklęty — wrzasnął — przeklęty boju!
Zburzę opryszków jaskinię,
Póty nie dotknę jadła, napoju,
Aż, com zamierzył, uczynię!

Odkąd paniętom, wylęgłym w puchu,
Starzec na hańbę hetmanię,
Zagrzać do walki krwi w niewieściuchu
Nie jestem więcej już w stanie!

Ja, com, pomimo wrogów zagony,
Z upadku dźwigał ojczyznę,
Dziś w tym motłochu sam, opuszczony,
Świątą pokalam siwiznę?

Stała czerń, jakby morem owiana,
Każdy bezmowny, struchlały;
Tylko jednego oczy młodziana
Ogniem błyskawic gorzały.

Skoczył. Wydobył z piersi głos gromu:
— Dość! O, niech głową nałożę!
Niech... niech nie ujrzę rodziny, domu,
Tak mi dopomóż, mój Boże!

Nie takie nasi brali fortece,
Jak ta mieścina ladaco,
Za mną, kto mężny, leć, gdzie polecę!
Wrogi obelgę zapłacą!

Schwycił chorągiew, na wiatr rozwinął,
Spiał ostrogami rumaka,

Ręką ku dziarskim husarzom skinał,
I lotem puścił się ptaka.

Błysły od ziemi sromne żrenice,
Sypną się tłumy rycerstwa,
A grzmiały móżdżierze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.

W dali znak biały miga, jak wstęga...
Koń zbiega wały, przekopy,
Już przedmieściowych wałów dosięga,
Za nim husarze tuż w tropy.

I bramy miejskiej pierwszy doskoczy:
Nadbiega Daszko w pogoni,
Wnet zgrozą obu zaiskrzą oczy,
I szablą w szablę zadzwoni.

I gwizdzą cięciem częstem i gęstem
Razy po razach, a krwawsze,
Aż jękla zbroja z przeciągłym chrzęstem,
I Daszko w prochu na zawsze.

Opada zewsząd zgraja wrzaskliwa...
I młodzian ręce już traci...
Lecz jeszcze usty chorągiew zrywa,
A tuż, tuż pomoc współbraci!

Zemsta, o zemsta! Bój grzmi rozgłośnie,
Hetman i wodze tam biega;
Młody bohater kona radośnie
W uczuciu czynu pięknego.

Utkwił weń hetman oczy zwilżone:
O droga, święta — rzekł — ziemio!
Gdzie słowa wodza, na wiatr rzucone,
Takową enotę rozplemią!

Z dymem rokoszan poszła jaskinia.

Któż był ten młodzian? Któż powie?

Zaeny brat szlacheic z nad wód Horynia,

Krzysztof Zgłobicki, ziomkowie.

Józef Bohdan Zaleski,

poeta polski, współczesny Mickiewiczowi.

Czy mamy prawo być dumnymi z takich bohaterów? Jak przy nich wyglądają tchórze, którzy gotowi wyrzec się ojczyzny, by nie narazić się na najmniejszą przykrość lub stratę? Zestawić Zgłobickiego i Mucjusza.

95. Męstwo Zagłoby.

I.

Wojska nieprzyjacielskie się zbliżały, chorągwie polskie ruszyły do boju.

Pan Zagłoba jechał obok Skrzetuskiego, ale wiercił się jakoś na kulbace, i widać było, że wobec blizkiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie — rzekł do Skrzetuskiego, szepecząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— A co waszmość powiesz?

— Czy to husarze pierwsi uderzą?

— Mówileś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że husarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy w chwili, gdy nieprzyjaciel najbardziej siły wyteży.

— Wiem ci ja to, wiem, ałem się chciał upewnić.

Nastąpiła chwila milczenia. Poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i pyta dalej:

— Czy to Krzywonos¹⁾ z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O, do diabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się go boję—szeptał dalej Zagłoba—ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już nie po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nie i po fortelach. Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tfu! tfu! nie lubię ja takich bitew! Niech je zaraza tłucze!

— Nie waści nie będzie. Nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się przecie tylko boję, że męstwo roztropność we mnie zwycięży! Nadtom zapaleczywy... A miałem zły omen¹⁾: gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto wie, może która moja?

— Za dobre uczynki Bóg waszmości wynagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi za wcześniej nagrody nie obmyślił. Nie lubię tłoku, powtarzam waszmości, nie lubię tłoku.

Rozwidniło się zupełnie. Złociste promienie słońca odbijały się w ostrzach husarskich kopji, i zdało się, że ponad rycerzami płoną tysiące świec. Po sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: — Witajcie, podwoje zbawienia! — Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła o bór sosnowy i, odbita echem, wzleciała ku niebu.

Brzeg po drugiej stronie grobli, jak okiem sięgnąć, czernił się chmarami kozactwa. Dwie przeciwne potęgi patrzyły przez czas jakiś na siebie w milczeniu.

— Jezu Chryste! — mrucał Zagłoba — pocóżes stworzył tyle tałałajstwa! Czapkami nas nakryją! A tak dobrze przedtem bywało w Ukrainie! Wala się i wala; bodaj was diabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę!

— Nie klnij waść, dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyśleć.—„Pater noster, qui es in coelis“.—Żadnego respektu

¹⁾ *Krzywonos* — jeden z wodzów kozackich.

¹⁾ *Omen* — wróżba.

od tych łajdaków spodziewać się nie można. — Już we mnie dech zaparło. — Fiat voluntas Tua. — Bodajście powyzychali! hamany! mężobójce!

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz waśś świadkiem — rzekł pan Skrzetuski do Zagłoby. — I sam się rozłakomisz.

II.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, a zresztą i nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawicową szybkością myśli: — Na nie fortele! na nie fortele! głupi wygrywa! mądry ginie! — Potem ogarnęła go złość na wojnę, na Kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kłać — i modlić się. Powietrze świszczowało mu w uszach, tamowało oddech, — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzał? oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekle. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli, że leżli w oczu i że zmuszali go do bitwy.

— Chcecie, to macie! — pomyślał i począł ciąć ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, że mu ostrze grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że jeszcze żyje, i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy. — Bij! zabij! — ryczał, jak bawół. — Nakoniec owe wściekle twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają! — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest! Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie!

I skoczył między uciekających, minął wielu i, zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli niżowców do brzegów rzeki, porosłych dość gęsto drzewami, i gnali ich wzdłuż grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń się pod nim rozpiera, a jednocześnie spadło nań coś ciężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie, ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmożony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan zniknął, i na okół nastał względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezus, Marja, wzięto mię w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzi? Czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie! — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamie! daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczało się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęsnego jeń-

ca, i dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zaslone, owijając mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących krasnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj¹⁾ dalej migoczą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający Kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachta pokryła mu głowę.

Ujrawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jakto? Możem nie zdobył? Jeśli justycja²⁾ nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! Szczęście wasze, iż mi się koń rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom więcej ufać mogę, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do jadanía sucharów. O dla Boga! znowu jakaś wataha tu leci. Nie tedy psu-braty! nie tedy! Żeby tego konia wiley zjedli! Bij!... Za-bij!...

Henryk Sienkiewicz.

(„Ogniem i młeczem”).

Czy bardzo mężny był pan Zagłoba? Czy się tak zdobywają nieprzyjacielskie chorągwie? Jakie znaczenie ma dla żołnierza chorągiew? Jak się nazywa ten, co chorągiew niesie? A jego zastępcą?

Co znaczy wyrażenie: „tchórzem podszyty”, „strach ma wielkie oczy”? Co znaczy przysłowie: „Kot łowny i chłop mowny wszędy się pożywią”?

¹⁾ *Staja* — przeszło 200 kroków.

²⁾ *Justycja* — sprawiedliwość.

96. Powitanie.

Był dzień niedzielny, o jesiennej porze:
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptactwo kwili w borze,
I kwiat w przedsenne otoczył się wonie.

Niewinnem szczęściem brzmi pobliskie siolo:
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie,
Młodzież wśród płasów wykrzyka wesolo,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski:
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca pocziwe. W pośrodku tej wioski
Stał dom drewniany pod słomianą strzechą.

I był jak inne poziomej prostoty,
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów rotę
I porządniejszy cały sprzęt oracza.

W chacie zaś ściany śnieżno ubielone
Zajęli święci w jaskrawej odzieży;
Tam, przy kominku, widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnej krząta się wieczerzy.

A wśród podwórka, na miękkiej murawie,
Dziewczę starego Brysia wodzi, w tany;
A pod okienkiem, na dębowej ławie,
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.

Czegoż on smutny?... Wszak w jego stodole
Plenny dar Boży, sad purpurą płonie,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczołka złotem dzwoni.

Czegoż on smutny? on, który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele:
Czy miał przecucie?... Musiał mieć przecucie.

Po, kiedy nagle pies skoczył do sadu
I skomlać ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał, jak gdyby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciążył mu na czole.

I słucha, jako donośne szczekanie
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal, czy powitanie;
A wtem dziewczeczka zadyszana wpada
I woła: — Tato... o! tato... tam... w bramie...
O! tam... Bryś wita!... o! lecę do mamy...
Jaś wrócił z wojny... o! ja powiem mamie...
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznej urody
Płaszcz nad wzniosłymi otulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.

I stoją obaj — lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami żrenica nabiega,
A ojciec zda się szukać w tem spojrzeniu,
Co w nim ma witać: zwycięzcę, czy — zbiega?

I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi m... słowy
Brzmi dookoła: „Gdzie mój Jaś kochany!...
Gdzie on jest?... gdzie on, czy mi wraca zdrowy?...

Czy już nie pójdzie?... A gdzież on jest przecie?...
Już mi go wszyscy witali, o Boże!
Ach!... jaki blady! co ci jest, me dziecię?
Czyś ty chorował?... czyś ty chory może?

Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!
Gdybyś ty wiedział... O! dzisiaj nie o mnie...
Wszak już zostaniesz... prawda, mój kochany?...
O! jam szczęśliwa!... pójdź do mnie, pójdź do mnie!...

I już go ściska, już tuli do łona,
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada

I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.

A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach płyną łez strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie, grobowe milczenie.

A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka.

Jan Nepomucen Jaskowski,
poeta polski w. XIX-go.

Co pocznie człowiek ubogi, powróciwszy z wojny kaleką?

97. Ocalenie Trębowli.

Z męstwa najczęściej słynęli mężowie, gdyż mężczyzna, większą siłą z natury obdarzony, musi mieć więcej odwagi; do niego też zazwyczaj należała obrona rodziny i kraju przed wszelkiem niebezpieczeństwem. Ale kobieta nieraz pomagała mu w najtrudniejszej walce, a nawet dawała przykład nieustraszonej odwagi. Do takich kobiet należy właśnie Zofja Chrzanowska.

Właśnie Jan III Sobieski, po wielkiem zwycięstwie nad Turkami pod Chocimem, obrany został królem, i nie chcąc tracić czasu na uroczystą koronację, spieszył znów bronić kraju przed okrutnym nieprzyjacielem. A tymczasem Turcy, korzystając z tego, że Polacy zajęci byli wybieraniem króla, pustoszyli wioski i palili miasta, wreszcie oblegli zamek obronny na Rusi Czerwonej, Trębowlę.

Bronił tego grodu Samuel Chrzanowski i walecznie odpierał natarczywe szturmy, ale niebezpieczeństwo wzrastało codziennie. Ogromne siły wroga otaczały zamek do-

koła, — jak oko sięgnąć mogło, rozciągały się tureckie obozy: namioty, zbroje, konie, wojownicy, — działa grzmiały co chwila, kruszyły się mury, padali na nich waleczni obrońcy, a nie było ich wielu.

Nakoniec szturm ostatni zniszczył znaczną część muru, i Chrzanowski zwątpił, czy potrafi bronić się dłużej. Zwołał więc radę wojenną i przedstawił rycerzom groźne położenie: czyż nie lepiej poddać się Turkom, wymawiając sobie wyjście z grodu i życie mieszkańców, niż narazić nie-szczęsną twierdzę na zburzenie, a jej ludność na śmierć i pęta? — Milczeli rycerze, bólem przygnębieni: — Wszak wódz ma słuszość: grodu ocalić nie można, próbujmy więc ocalić życie.

A wtem małżonka wodza weszła do radnej izby. W oczach miała płomienie, lecz twarz śmiertelnie błądą, w rękę trzymała sztylet.

— Wstyd, rycerze! — zawołała głosem drżącym. — Wstyd i hańba błagać o życie, które nie do was należy! Rycerzami jesteście, więc brońcie tej ziemi i ginście w jej obronie! A nie, to wam przysięgam, że pierwszą tym sztyletem śmierć sobie zadam, aby nie widzieć waszej hańby!

Zerwali się rycerze zawstydzeni i pobiegli na mury, zginąć pod ich gruzami z chwałą, a nie wydać wrogowi powierzonej twierdzy! I walczyli wytrwale; w nocy naprawiali szkody; dodawali sobie odwagi.

Niedaremnie. Nazajutrz Turcy, zamiast uderzyć do szturm, odstępować zaczęli. Co to znaczy? To znaczy, że w oddali już zajaśniały królewskie sztandary, że nie zginie Trębowła ani jej mieszkańcy, bo w sercach jej obrońców nie zbrakło wiary i odwagi.

Było to w roku 1675.

Jakie znasz kobiety, które wslawiły się męstwem?

98. Dziewczę polskie.

„Panowie-bracia! dalej na konie!

Daleko mamy pohasać:

Tam w owej stronie, gdzie luna płonie,

Tam, tam będziemy popasać“.

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,

Wesoło trąbka zadzwoni;

Rumaki spięli, bramę minęli,

A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,

Miną i stepy i pola,

A gdzie dokoła plądruje siola

Zawoleczyk¹⁾ — czartów swawola.

„Hej, bracia-wiara! męstwo i wiara,

Odwaga, bracia! Bóg z nami!“

Furknęły piki, runęły szyki,

I już się sieką z wrogmi.

„Ho, ho, gdzie nasza zafurknie pika,

Próżno się bronisz, psi synie,

Hartowna pika w krwi Zawolczyka

Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie, zuchwali, grom polskiej stali!“

Już ich wysiekli i lecą,

Aż gdzie za siólem tańczą półkolem,

Gdzie półmiesiące się świecą.

„Wiara, wesoło!“ — Wpadli na czoło

I już na karkach im siedzą.

Szyki złamali, w trąbki zagrali,

Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam na prawo mknie Tatar żwawo,

Przy nim na siodle dziewczyna.

¹⁾ Zawolcami nazywano Tatarów z za Wołgi.

Razu pewnego przed wieczorem zaczęli płynąć między jakimiś roślinami. Dziwny to był widok: woda dokoła, a na niej mnóstwo traw i zielska, które pływało ogromnemi kępami bez końca. Okręty szły z trudnością wśród poplątanych łodyg. Noc zapadła, a zielska nie przebyli. Wtedy ludzie przerazili się na dobre. Jedni lamentowali, że tu świat się kończy, drudzy się odgrażali, że Kolumba zabiją.

Na szczęście, po pewnym czasie, okręty wypłynęły znów na czystą wodę.

Tak minął miesiąc czasu. Kolumb kierował statki wciąż na zachód i rad był, że nie spotyka ich żadne nieszczęście, ale ludzie zaczęli znów szeptać i złorzeczyć.

— Chce nas zgubić — powtarzali — ta woda końca nie ma. Nie chcemy ginąć, powracajmy.

Kolumb przemawiał do nich, tłumaczył, uspokajał, zapewniał, że ład musi być, że będzie niedługo.

Niebardzo się uspokoiili, ale minęło jeszcze kilka tygodni; wreszcie wybuchły znowu kłatwy i pogrożki. Kolumb nie tracił głowy: pewnego dnia zawołał wszystkich i rzekł:

— Teraz wiem napewno, że już prędko dopłyniemy. Kto pierwszy dojrzy ziemię, temu obiecuję garść złota.

Odtąd ludzie patrzyli w dal, myśląc o nagrodzie. Czasem — zwłaszcza o zmroku — ktoś zawołał: — Ziemia! — Ale rano widzieli tylko wodę i niebo. Wtedy się domyślali, że było to obłoki.

Znowu jednak zyskał Kolumb kilka tygodni. Ludzie wypatrywali ziemi i czekali. On tymczasem mierzył codzień głębokość wody i wkońcu zauważył, że nie jest tak głęboko, jak poprzednio.

Nocami spać nie mógł, myśląc o nieznanym kraju. Czasem słyszał na okręcie jakieś szepty: rozumiał, że zmagają się na niego. Modlił się więc gorąco i wzywał pomocy Boskiej. Nie chodziło mu o życie, ale niech przedtem ujrzy nowe światy. Całe życie miał tylko to jedno pragnie-

nie: niech się spełni, a potem — gotów umrzeć, jeżeli taka wola Boża.

Rano wychodził do ludzi spokojny i patrzył w przestrzeń, czy nie widać ziemi.

Nad okrętami zaczęły przelatywać ptaki; Kolumb się cieszył, widząc w nich wysłańców ziemi, ale mu już nie wierzone. — Trzeba go zabić — powtarzano głośno — niech ginie za naszą zgubę!

Hałas się wzmacniał, wzburzona załoga otoczyła wodza z krzykiem i kłótniami.

— Stójcie — zawołał Kolumb. — Czego chcecie?

— Chcemy cię zabić! — ryknęli z wściekłością. — Płyniemy na stracenie, gin ty pierwszy!

Podniosły się żelazne drągi i siekiery.

— Słuchajcie! — zawołał Kolumb. — Chcecie mię zabić? A kto pokaże wam drogę z powrotem? Ja tylko wiem, którą trzeba płynąć.

Na te słowa wszyscy umilkli, opadły podniesione ręce, a Kolumb mówił dalej:

— Chcecie wracać do domu? Dobrze. Żądam tylko trzydniowej zwłoki. Jeżeli przez trzy dni nie dopłyniemy do lądu, wracamy. Przysięgam wam to pod przysięgą.

Zgodzono się czekać trzy dni. Wszyscy rozumieli, że bez Kolumba powrót byłby bardzo niebezpieczny.

A tymczasem coraz więcej zjawiało się znaków, że ziemia niedaleko. Ptaki latały całemi chmurami, płynęły pnie drzew, kawałki kory, a raz pod sam okręt podpłynęła gałąź ze świeżymi jeszcze liśćmi.

Na trzeci dzień przed wieczorem woda koło okrętów była zupełnie płytka. Kolumb nie spał całą noc, i wszyscy razem z nim czekali dnia. Zaczęło świtać. Ludzie zbiegli się na przód okrętu, Kolumb tylko został przy sterze. Jakże mocno musiało uderzać mu serce przed tą stanowczą chwilą!

Naraz kilka głosów zawołało z uniesieniem: — Ziemia! ziemia!

Stało się to w roku 1492, w piątek, dnia 12 października, czyli przeszło 400 lat temu.

Według A. Potockiego.

Jakim w tej podróży okazał się Kolumb? Jakie korzyści przyniosło nam odkrycie Ameryki? Osądźcie sami, czy to było łatwym zadaniem. Które z roślin, przez nas używanych, pochodzą z Ameryki?

101. Chmury.

Każda chmura inna: na przykład jesienna
Pełźnie, jak żółw, leniwa, ulewą brzemienią,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze — to są deszczu strugi.
Chmura z gradem jak balon szybko z wiatrem leci,
Kragła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzenie, państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub labędzi,
A z tyłu wiatr, jak sokół, do kupy je pędzi;
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe, jak srebro, zmieszały się... nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie.

Adam Mickiewicz.

Wybierz stąd porównania.

Przypatrz się kiedy uważnie płynącym chmurom, a zobaczysz jak dziwne przybierają kształty.

102. Lasy i łąki morskie.

I. Tak samo jak w naszych stawach i jeziorach żyją setki gatunków roślin, tworząc na dnie i powierzchni ich gęste szuwary, podobnie dzieje się we wszystkich morzach.

Wielkość tych roślin morskich, czyli morzorostów, jest bardzo rozmaita. Są między nimi roślinki drobniutkie, tak małe, że ledwie przy pomocy dobrych szkieł powiększających można je dojrzeć; są inne, których wysokość dochodzi do pół wiorsty i więcej. W wodach oceanu Spokojnego znajdują się olbrzymie lasy morzorostów, których korzenie tkwią aż na dnie morza, a łodygi wznoszą się wysoko w górę, rozkładają szeroko na powierzchni wody, kończąc się pękami wielkich, burych liści.

Również różnorodna jest postać tych roślin. Wiele z nich ma kształt długich wstęg, barwy szkarłatnej, fioletowej, burej, żółtej lub zielonej. Inne posiadają pień prosty, zakończony zwieszającymi się nadół gałązkami, przypominając sobą nasze wierzby lub brzozy. Jeszcze inne nie przyrastają do dna wody, lecz pływają swobodnie na powierzchni, unosząc się w górę przy pomocy licznych pęcherzy, napelnionych powietrzem, a znajdujących się na ich liściach lub gałązkach.

Znany jest od najdawniejszych czasów pewien morzorost, zwany sargasem; zbiera się on na powierzchni morza w takiej ilości, że tworzy olbrzymie szuwary, zajmujące niekiedy tysiące wiorst i przeszkadzające żegludze mniejszych statków. Taka słynna łąka z morzorostów, zajmująca 100 tysięcy wiorst kwadratowych, znajduje się np. pomiędzy Europą, Afryką i Ameryką, na oceanie Atlantycznym: te właśnie szuwary napotkał i pierwszy przeplynał Krzysztof Kolumb w pierwszej swej wyprawie na zachód.

II. Piękny jest widok tych roślin podmorskich, tych

lasów nieprzejranych, szczególnie tam, gdzie woda jest przezroczysta. Tu czerwienią się one żywą purpurą, tam iskrzą złotymi blaski, — a wśród nich uwijają się gromady ryb, pełzają długonogie raki, lub pływają leniwie przejryste meduzy.

Nietylko jednak zwierzęta morskie mają pożytek z morzorostów: i człowiek, przed którego rozumem okiem z trudnością się ukryć mogą bogactwa ziemi, umie korzystać z roślin morskich na każdym kroku. Na brzegach wszystkich mórz, gdzie fale wyrzucają wielkie kłęby morzorostów, mieszkańcy zbierają je, używając ich na paszę dla bydła lub na doskonały nawóz. Gdzieindziej palą je na popiół, otrzymując z niego sodę morską, przydatną do wyrobu szkła, oraz brom i jod, używane na lekarstwa. Niektóre gatunki blaszkowatych morzorostów zawierają w sobie tyle pożytecznych części, że używane są na pokarm przez ludzi: mieszkańcy nadmorskich okolic Anglii, Szkocji, Irlandji i innych krajów żywią się licznymi morzorostami pod nazwą salaty morskiej. Jeden z nich — blaszecznica cukrowa, jest słodki i służy biednym Irlandczykom zamiast cukru. W Indjach i Chinach przygotowują z roślin morskich rodzaj kleju, którym pociągają papier, zastępujący tam szyby do okien. Wreszcie pewien gatunek morzorostu, zwany mchem karagenowym, dostarcza lekarstwa przeciw glistom ludzkim.

M. Brzeziński.

Zrobić plan i opowiedzieć.

103. Stary rybak.

— Na morze! — Ja syna wam daję — słyszycie?
Pod wodzą mojego junaka
Spokojny z was każdy być może o życie,
Bezpieczną łódź każda rybaka!

Tak mówił Jan stary. Wschód w barwach stał róży —
Rybacy ruszyli na połów...

Wtem wichur uderzył, i morze się wzburzy,
Łódź ciężka się stała jak ołów.

To skała podwodna dno łodzi rozdarła,

Od spodu bryznęła fal piana:

Struchleli rybacy, pierś w tchu się zaparła,

Nie strwożył się tylko syn Jana.

Lecz próżny wysilek i dłoni i wiosel,

Potworny fal wzmaga się taniec —

Grom błysnął... uderzył... zniszczenia to poseł,

Burz morskich ognisty wysłaniec.

Popłynął szum głuchy, huragan się zrywa,

Przepaści w głębinach wód wierci,

Do łodzi wciąż fala za falą nadpływa,

I bliższe wciąż widmo jest śmierci.

Nadeszła noc ciemna i niebo szerniało,

Wichur tylko i morze grzmi kołem;

Ramionom rybackim już mocy nie stało

Do walki z okrutnym żywiołem.

Wtem nagle wódz młody wiatr krzykiem rozporze:

— Blask widzę — mnie oko nie zwodzi!

Brzeg blisko, łódź tylko już płynąć nie może,

Trza ulżyć ciężaru tej łodzi.

Do wiosel z sił wszystkich! — I skoczył w głębinę.

Rybacy z przestrachu pobladną.

— Z sił wszystkich! — wgłos krzyknął. — Ja płynę,
ja płynę! —

I fala porwała go na dno.

Przybyli do brzegu... Strach patrzył im z czoła —

Co mówić im w onej godzinie?

— Gdzie syn mój?... gdzie syn mój? — Jan stary
zawoła.

Strwożeni, odrzekli mu: — Płynie!

Lecz pieśnią zagłady gra morska głębina,
 Daremna tu wszelka rąk praca.
 — O morze! — zawoła. — Wróć syna! wróć syna!
 Lecz morze swych ofiar nie wraca.
 Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szeleszcze,
 Bezdenną przeraża głębiną.
 — Ha! — szepnął po chwili — mam synów dwóch
 jeszcze,
 I oni na morze popłyną!

Kazimierz Glinński.

Co znaczy ten wiersz? Czy młody rybak powinien był tak postąpić? Jak nazwiemy czyn jego? Co znaczą słowa starego rybaka?

104. Wieloryb.

I. Wieloryby żyją jedynie w morzach.

Co to za olbrzym musi być ten wieloryb, wystawcie sobie z następującego obliczenia: długość ciała jego wynosi do 35 łokci, z czego blisko 12 łokci przypada na samą głowę. Obwód w połowie ciała daje 15 do 20 łokci. Ciężar jego wynosi 300 tysięcy funtów, równa się więc ciężarowi trzydziestu słoni, a 200 wołów. Paszcza ma szerokości 6 łokci, a długości do 10; mogłaby więc pomieścić całą łódź z kilku ludźmi.

Nogi jego, zmienione w pletwy, mieszczą się z boku piersi i mają każda po 4 łokcie długości, a przeszło 2 szerokości. Na końcu ciała znajduje się pletwa tłuszczowa, leżąca wpoprzek i mająca 3 łokcie długości, a do 13 szerokości.

Doprawdy możnaby myśleć, że bajki tutaj opowiadamy, a to wszystko jest zupełna prawda. W paszczy jego mieści się miękki, napęczniony tłuszczem język. Takież sam tłuszcz, zwany tranem, leży pod nagą, połyskującą skórą wieloryba, tworząc pokład grubości 20 cali. Zębów wielo-

ryb nie posiada, zato na brzegu górnej szczęki zwiesza mu się w paszczy szereg blach fiszbinowych, stojących jedna przy drugiej. Fiszbin jest zbudowany z giętkich rogowych włókien. Blach tych jest do 700, a stoją zbitym szeregiem; w ten sposób tworzą niejako sito, służące do przepuszczania wody, a zatrzymywania w paszczy różnych drobnych zwierzątek, jakich wieloryb razem z wodą nabiera w paszczę.

Na środku głowy posiada on nozdrza w postaci wielkich szpar. Gdy pływa na powierzchni morza, z nozdrzy tych ulatują mu kłęby pary, które z daleka wyglądają jak wysokie wytryski wody. Po tych wytryskach zdaleka można dojrzeć wieloryba. Uszy ma niewidoczne; oczy małe, nie większe, niż u wołu.

Olbrzym ten żyje w zimnych morzach dalekiej Północy, zwykle samotnie lub w niewielkich gromadkach. Pomimo swej wielkości porusza się zwinnie, pływa nadzwyczaj szybko, nurkuje doskonale, chociaż co kilka minut musi wynurzyć się nad wodę dla nabrania powietrza. Przy pływaniu posiłkuje się ogonem, jak potężnym wiosłem.

Pożywienie jego stanowią rybki, mięczaki i inne drobne zwierzęta morskie, które chwytą w paszczę, miażdży i powoli przełyka. Ciekawe jest, że gardziel tego olbrzyma jest tak szczupła, iż zaledwie śledzia naraz mógłby przełknąć.

II. Wieloryby oddawna stanowią przedmiot nieustannego polowu, a to z powodu tłuszczu czyli tranu, poszukiwanego na lekarstwo i na różne smarówki, oraz fiszbinu, używanego na podpórki do staników kobiecych.

Połowem wielorybów zajmują się osobne okręty wielorybnicze. Gdy marynarze ujrzą z okrętu wieloryba, spuszcza ją wnet kilka łodzi, w każdej siedzi jeden harpunnik i kilku wiosłarzy. Podpłynawszy ostrożnie i cicho do wie-

laryba, rzucają weń harpunem¹⁾, starając się go zranić śmiertelnie. Harpun przymocowany jest do liny, okręconej na kołowrotku. Raniony wieloryb zanurza się z okropnym pluskiem w wodę i odpływa szybko, odkręcając z niesłychaną szybkością linę. Od tego odkręcania się lina mogłaby się zapalić, gdyby jej nie polewano wciąż wodą. Po chwili olbrzym wynurza się znowu dla zaczerpnięcia powietrza. Wtedy otrzymuje drugi i trzeci cios — aż gdy, osłabiony upływem krwi, leży nieruchomo na powierzchni wody, majtkowie podpływają i dobijają go dzidami. Wtedy zahaczają go do łódek i płyną do okrętu. Poczem zaciągają go na mieliznę lub brzeg morza i na miejscu ćwiertują. Zdjąwszy skórę, odrywają ogromne płaty słoniny, którą zaraz pakują do kotłów i przetapiają na tran. Całe ciało wieloryba jest tak przesiąknięte tłuszczem, że różnych okrawków z niego używają jako paliwa przy wytapianiu tranu. Gotowy tran zlewają do beczek, które z sobą przywożą na okręcie i ustawiają na spodzie statku. Z dużego wieloryba mają tranu 40 do 60 tysięcy funtów. Doliczywszy do tego jeszcze przeszło 3,000 funtów fiszbinu, będziemy mieli z jednego wieloryba 5 do 8 tysięcy rubli zarobku.

Oczywista, że nieustanny polów zmniejszył znacznie liczbę wielorybów, i jeśli łowów tych nie urządzają ludzie rozumnie, to z czasem wytępią te zwierzęta zupełnie.

M. Brzeziński.

Zrób rozkład i opowiedz.

Jaki to wyraz *wieloryb*? Z czego się składa? Powiedz kilka wyrazów złożonych. Co to jest harpun? Co znajdujesz pokrewnego w wyrazach: płetwa, płynąć, wplaw?

¹⁾ *Harpun* — ostra dzida z zagiętymi w tył haczykami.

105. Zdaleka.

Serce mi się wciąż wyrывa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrывa...
U nas na wsi teraz żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyłaczanej.

Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon,
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień, blaskami przetykany...
Mnie tu pośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa,
I ta wierzba i te łany,
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrывa!...

Lucjan Rydel,
współczesny poeta polski.

106. Świerk i brzoza.

P o r ó w n a n i e.

Nieskończoną jest różnaitość form w świecie roślinnym. Biorąc nawet wyłącznie rośliny jednego typu, np. drzewa, obok zasadniczego podobieństwa w budowie, znajdujemy pomiędzy niemi tyle różnic, iż drzewa jednej strefy po ogólnym kształcie rozpoznać możemy zdaleka.

Z drzew naszych każde różni się tak bardzo wysokością, układem i ruchem gałęzi, barwą, rysunkiem — że sosnę, świerk, jodłę, dąb, topolę, brzozę, lipę, wierzbę i t. p. rozpoznajemy na pierwszy rzut oka w znacznej nawet odległości.

Przypatrzmy się bliżej świerkowi i brzozie, drzewom tak dobrze znanym. Nie chodzi nam w tej chwili o porównanie ściśle naukowe, lecz przedewszystkiem o te cechy zewnętrzne, które każdy z łatwością dostrzedz może, i od których zależy wrażenie ogólne.

Oba te drzewa rosną u nas dziko, składają się tak samo z korzenia, pnia i gałęzi, pokrytych zielonymi liśćmi, kwitną, wydają owoce, są piękne i pożyteczne. Nikt jednak zdaleka nawet nie weźmie jednego za drugie.

Pień świerku jest wysoki, prosty, sztywny, gałęzie wygięte w festony, największe blisko ziemi, coraz mniejsze w górze, nadają mu kształt stożkowaty. Okrywają je krótkie, płaskie, ciemno-zielone igły, które nie opadają na zimę. Kwiatem i owocem świerku jest szyszka. Ogólnie świerk sprawia wrażenie powagi, a nawet smutku. Jego ciemna zieloność wygląda posępnie, sztywne gałęzie rzadko wiatr poruszy: nie uginają się pod jego tchnieniem; drzewo kruche łatwiej się złamie, niż zegnę; jeszcze łatwiej padnie, gdy korzeń, płytko w ziemi rozpostarty, niezbyt mocno je trzyma.

Jakże wesoła przy nim wygląda jasno-zielona, wdzięczna, wysmukła brzoza, o pniu giętkim, okrytym białą, cienką korą. Gałązki brzozy, cieniutkie i giętkie, swobodnie strzelają w górę lub zwieszają się smutnie do ziemi. Listki niewielkie, sztywne, błyszczące, ząbkowane, jasno-zielone, zdobią drzewo od wiosny do jesieni, zmieniając wtedy barwę zieloną na żółtą. Kwiatem są długie bażki, w których tworzą się drobne nasiona.

Nawet w zimie brzoza nie wygląda smutno, chociaż liście nie zdobią jej gałęzi. Biały pień harmonijnie łą-

czy się z białością śniegu, na gałęziach błyszczą jasne krople deszczu, albo srebrne kryształki szronu, a łatwość ruchu odbiera im cechy martwoty.

Pożytek z drzew tych jest także odmienny. Drzewo świerku jest dosyć liche, przydatne głównie na opał, brzozy — białe, trwalsze i piękniejsze, służy stolarzom do wyrobu różnych sprzętów. Jako paliwo daje więcej ciepła. Świerk jest bardziej smolny, brzoza znów, na wiosnę zwłaszcza, ma w drzewie wiele soku, który z niej za nacięciem wytryska i służy ludziom za napój.

Porównywając dwa przedmioty, możemy albo każdą cechę porównywać oddzielnie, albo dać cały opis jednej i drugiej rzeczy. W jaki sposób tutaj porównane są świerk i brzoza?

107. Pod lasem.

Spejrzę ja rankiem, spojrzę wieczorem

Z tej jedlinowej górk,

Aż ci tu niebo płynie jeziorem,

Cale w różane chmurki...

Gdzieś światłość bije, gdzieś dzień przepada,

Przez gąszcze, przez wyręby,

A tam coś szepce, skarży się, gada

Miedzy starymi dęby.

W modre się koła woda rozpryska,

Szuwarem ptactwo pluszcze,

Do wody jeleń przez wrzosowiska —

Przez dzikie czesze kuszcze.

Tam... trąbkę słychać!... Echo gra w borze...

Dalekie padły strzały...

A jeleń stanął, podniósł poroże¹⁾,

W głos się zasluchał cały.

¹⁾ Poroże — rogi.

Cisza... zapadły szmery i echa
Po lesie wskroś idące,
Tylko się błękit świeży uśmiecha,
A z liści kapie słońce...

Marja Konopnicka.

108. Na niedźwiedzia!

I.

Wszyscy powtarzali, że na chorobę stryja niema lekarstwa, oprócz niedźwiedziego sadła. Trzeba było zabić niedźwiedzia, aby lekarstwo zdobyć.

Zbyszko poszedł najprzód w dzień. Odnalazł ślad koło barci, rozmazał trochę miodu po pniach, aby zapach zniżył zwierza, poczem wrócił do domu.

Wieczorem ubrał się dla ciepła w kubrak łosi bez rękawów, na ciemną nawdzał żelazny czepiec z drutu, wziął widły dobrze okute, dwuzębne, i topór stalowy na dębowem toporzyску¹⁾. O wieczornym udoju był już u celu, wybrał sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc, gdzieś tam kicały ku wodzie zające, czasem śmignęła kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świegot ptaków, który stopniowo ustawał.

Nareszcie zorze rozpalily się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć, jak w ogniu, i z wolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać.

— Teraz, póki się wilki nie odezwą, będzie cicho — pomyślał Zbyszko.

Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotowi z nie-

cierpliwością. Mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt, lecz myślał z niepokojem o siłach nieczystych i rad był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie blaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Kiedy niekiedy spadała tu i owdzie szyszka, wydając odgłos mocny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, pograżony w myślach, zapominając wreszcie o niedźwiedziu, o lesie, nocy i o sobie.

Nagle ocknął się Zbyszko. Ocknął się nie tylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i z tej przyczyny, że z dala za nim ozwał się jakiś szelest. Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po jakimś czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś stopą ostrożną suche gałązki, szurały opadłe liście... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierzę zatrzymało się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynalo aż w uszach dzwonić.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia kroków za nim, jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi, ale nie mógł dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy. A nuż to „co paskudnego“ wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy zaczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim, wyraźniejszy niż poprzednio, a jednocześnie do jego nozdrzy do-

¹⁾ Toporzyisko — drewniana rękojeść topora.

leciał swąd niedźwiedzi. Zbyszko odetchnął. Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: siedł miś!

II.

Zbyszko w jednej chwili przestał się bać i, pochyliwszy głowę, wyteżył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk. W tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które, idąc z wiatrem, nie mogło go zwietrzyć, tembardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj, dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianem zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie, jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrzęsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrmiał jeszcze straszniej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękoięści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostrego końca widel w ziemię: niedźwiedź zaś, schwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyskiem, jakoby rozumiejąc, o co chodzi, i mimo bólu nie dając się „podeprzeć“. W ten sposób straszna walka przedłużała się, i Zbyszko rozumiał, że siły jego się wyczer-

pią. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął. Więc wyteżył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak łuk i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!

I chwycił go taki gniew, że wolałby istotnie w tej chwili sam zginąć, niż bestję puścić. Wreszcie, zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że ciemna postać stanęła przy nim i drugie widły „podparły“ bestję, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nad uchem:

— Toporem!

Zbyszko chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły widły, złamane ciężarem zwierza, który się zwałił, jakby piorunem rażony, na ziemię i zaczął na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastal cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero spojrzał na stojącą obok ciemną postać i zląkł się znowu.

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki głos niewieści.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia.

— Bóg ci zapłać — rzekł wreszcie. — Nie wiem, co by się bez ciebie przygodziło. A czemuś się nie odezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

— A jam myślał, że to „zle“. Takiej drugiej dziewczyny, jak ty, na świecie niema. Tobieby na wojnę chodzić.

Henryk Sienkiewicz.

(„Krzyżacy“).

Jaki musi być ten, kto w ten sposób poluje na niedźwiedzia? Co wiesz o niedźwiedziu? Jaki pożytek może mieć z niego człowiek?

Wyrazy podobnego znaczenia, co: zapach, znęcić, kubrak, czerwony, śmignąć, świegot, płonąć, obawiać się, umilknąć, ocknąć się. Dokończ: swist (czego?...), szelest..., szum..., chrobot..., szmer..., plusk..., loskot..., huk..., trzask...).

109. Zając i niedźwiedź.

Nietylko ludzi łączy zapal święty:
 I między zwierzęty
 Bywa przyjaźń gorąca.
 Dziwnym trafem niedźwiedź bury,
 Nadzwyczaj czuły z natury,
 Tak się przywiązał mocno do zająca,
 Zając do niego nawzajem,
 Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
 Byli to Pollux z Kastorem¹⁾.
 Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem!
 Plekroć z swoim zapalem wyjedzie,
 Plekroć swoje uczucia niedźwiedzie
 W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
 Zawsze go osapał,
 Odrapał,
 Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.
 Lecz nie tu koniec jego smutnej doli:
 Bo gdy raz w cieniu topoli
 O wspólnym rozmawiali losie,
 A o marnościach świata rozmyślając,
 Zdrzemnął się zając,
 I mucha siadła mu na nosie:
 Niedźwiedź każdej pory
 Do przysługi skory,
 Nagle się porywa,
 Straszliwie zaczął się dąsać:
 — Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
 O, czekaj, gadzino złośliwa!
 Nie wiesz, czem to pachnie! —
 Jak się odsadzi, jak machnie,

¹⁾ *Polux i Kastor* — dwaj bracia (w podaniach greckich), którzy się bardzo kochali.

Tak ją dobrze zagrabił,
 Ze razem z muchą i zająca zabił.
 Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
 Nudy i biedę pewno sobie kupi;
 Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
 Niżli przyjaciel serdeczny, a głupi.

Franciszek Morawski.

Co znaczy przysłowie: „Na wilka idź ze szwagrem, na niedźwiedzia z bratem“?

110. Step na wiosnę.

Nie sposób jest wypowiedzieć ani opisać całego uroku, jaki stopy mają na wiosnę, gdy słońce potopi śniegi, wszystkie strumienie wystąpią ze swoich łożysk i, zalawszy ogromne przestrzenie, przeświecają rzeźwą wiosenną wodą wśród traw i zarośli. Wszystko wówczas wzrasta prawie w oczach, strzela pąkami i rozkwita. Step wydaje się jak jeden stubarwny dywan. Więc najprzód wszystkie szlaki, którymi przechodziły wozy, porastają ślicznym kwiatem, barwy złotawo-żółtej, który tam tylko wyrasta, gdzie ziemia była strатовana kopytami, i gdzie padł na nią nawóz zwierzęcy. Szlaki te, niby złote wstęgi, wiją się po całym stepie: to rozchodzą się, to kołują, to znowu krzyżują z sobą i wreszcie nikną w oddali. Gdziekolwiek step porasta jakby bylicą wysoką, cienką o kwiatkach srebrnych i drobnych jak perelki, a podobieństwo to powiększają jeszcze kropelki przezroczystej żywicy, zwieszające się na nich ku ziemi. W innem miejscu tuż obok białych barw błękitnieją wielkie dzwonki stepowe, koloru naszego chabru; dalej gatunki rozchodników i rosiczek mieniają się i pstrzą, to żółto, to czerwono; miejscami całe przestrzenie zajmują dzikie tulipany. Tam znów szczególne kwiatki, podobne do dzbanusz-

ków, zawierające świeżą wodę, a raczej rosę nocną, pochylają gościnnie ku podróżnikowi pełne naczynka. Nakoniec mnóstwo kwiatów o barwie jednakiej lub nakrapianych, mnóstwo powoi mieni się i płacze wśród traw, wikła się z sobą, tłoczy się, wyrasta jedno na drugim, kwitnie, cieśszy się, kocha, szaleje, słowem: prawdziwy potop roślinności znanej i nieznaney, tysiącznych nazw i gatunków. Wszystkie to dochodzi do takiej wysokości, że w tej zielonej i pstrej fali z głową schować się można. Tysiączne wonie, to miodowe, to upajające, jakby lilji i heljotropów, to znów mocne i korzenne, uderzają o powonienie. Dzielny, orzeźwiający zapach trawy to góruje nad innymi, to znów ustępuje pola oddechom kwiatów.

W kwiatach i nad kwiatami, w trawie i nad trawą porusza się i roi cały odrębny świat zwierzęcy i wielkie gromady ptactwa, które tu wiosną przylatuje z okolic leśnych, ale trzyma się głównie w pobliżu rzek, zarośniętych wierzbą.

Henryk Sienkiewicz.

Co to jest step? Gdzie w Europie są największe stepy?

111. Ucieczka.

(Wyjątek z „Kirgiza“).

Dość — dość żyłem nie sobie!...
Ciasno, duszno, jak w grobie,
Życ zamkniętym w ścian czterech niewoli...
Mnie tu nuda zabije!
Ha! tam chyba odżyję,
Gdzie powietrza... gdzie stepów dowoli!...
Bom na stepach się rodził:
Wiatr pustyni mnie chłodził,
Gdym na koniu biegł stada dozierać...

Niebo, co się w krąg zgina,
Step, koń — wszędzie gościna —
Ach, tam tylko i żyć i umierać!
Berkut¹⁾ z gniazda choć dzieckiem
Wzięty sidłem łowieckiem,
Myślisz — zbratał się z tobą, człowiecze?
O, poczekaj, niech z wiosną
Pióra w skrzydłach odrosną,
Puść go tylko i patrz, gdzie uciecze?
Koniu, i ty u boku
Tęsknisz, choć ci obroku
Ani wygod nie zbywa stajennych,
I ty nie tuś się chował...
Ciebie Kirgiz hodował,
Nam nie użyć w tych jurtach²⁾ kamiennych.
Noc pomyślna do jazdy,
Ciemna, tylko lśnią gwiazdy,
Mgła w dolinach, rozdroża po lesie...
Śpij — nie czekaj nas, panie,
Na dzień dobry w świtanie
Wiatr ci chyba wieść o nas przyniesie.

II.

Lecą — wlewo i wprawo
Mkną przedmioty tak żwawo,
Że się w jeden szlak ciemny zlewają.
Jeździec w pędzie wzniósł czoło,
Las znikł — spojrzał wokół —
Stepy! — stepy, co granie nie mają!...
Tu skończyły się drogi:
Przed nim, za nim — rozłogi,
Równe, puste — w noc zbłądzić nietrudno —

¹⁾ *Berkut* — ptak drapieżny. ²⁾ *Jurta* — namiot tatarski, kirgiski.

Jeździec wspomnień zapytał —
Z gwiazd swą drogę wyczytał
I kierunek wziął w stronę bezludną.
Lecą, któż ich dogoni?
Tylko trawa się kłoni,
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka;
Ślad i jeździec — to chwila,
Wnet się trawa odchyła:
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika!
Taka cisza nad ziemią!
Zda się, że zioła drzemią,
Liść się nawet nie rusza w pustyni;
Jeździec powiódł oczyma, —
Tak — nikogo tu niema,
Coby czuwał w tej wielkiej świątyni!
W tem czarodziejskim kole
Zmrok rozsiadł się na dole,
Wzrok go jeźdźca, choć bystry, nie sięga;
Miljony światel w górze
Iskrzą w ciemnym lazurze,
Środkiem jasna przesłania je wstęga.

Gustaw Zieliński,
poeta polski XIX-go wieku.

Dlaczego ten Kirgiz uciekł w stepy?

112. W puszczy meksykańskiej.

(W y j ą t e k).

W zachodnim Meksyku¹⁾ nad brzegami rzeki Gila, polowało trzech myśliwych: Kanadyjczyk, Hiszpan i Meksykanin. Całodzienny pochód utrudził ich немало, trzeba było przed nocą wyszukać bezpiecznego schronienia, a zarazem ukryć ślady swego pochodu przed bystrym wzro-

kiem Indian, umiejących z nieporównaną zręcznością odkrywać z najmniejszych znaków pobyt białych swych nieprzyjaciół.

Kanadyjczyk, stary łowiec, dowodzący strzelcami, po długim szukaniu dostrzegł nareszcie na środku rzeki małą kępę, gęstymi krzewami zarosłą: miejsce to obiecywało wygodny i całkiem bezpieczny nocleg. Z naciętych gałęzi drzewa spleciono tratwę, na której myśliwi złożyli broń i suknie. Późem wszyscy weszli w rzekę i, brodząc aż do ramion, szczęśliwie dostali się na kępę, na którą tratwę wciągnęto.

Trzej myśliwi ucieszyli się niezmiernie z tak wygodnego noclegu. Meksykanin wydobyl z torby kawał suszonego mięsa, nieco soli i kilka sucharów. Posiliwszy się do syta, gromadka ułożyła się do snu, nie troszcząc się ani o dzikie zwierzęta, ani o straszniejszych jeszcze Apaszów¹⁾. Słońce dosięgało już prawie widnokręgu i naszym łowcom oczy zaczynały się kleić, kiedy nagle jakiś dziwny hałas zabrzmiał w przestrzeni. Obadwa brzegi rzeki ocieniał gęsty gaj wysokich, białych topoli, u stóp których bujna zarastała krzewina. Pomiedzy topolami tu i owdzie ukazywały się wierzby, i tylko jedno miejsce na północnym brzegu оголоcone było z gąszczu. Przez tę przestrzeń pustą można było z wysepki przejrzeć znaczną część stepu. Z cwej to strony zabrzmiało nagle przeciągłe wycie, w którym wprawne ucho myśliwych z łatwością rozpoznało wrzask wilków, ścigających zdobycz.

Po kilku minutach ukazał się przepyszny jelen, z pochylonymi na grzbiet rogami, pędzący z szybkością błyskawicy ku rzece, a za nim sadziła tuż gromada rozżartych wilków.

Jelen znacznie wyprzedzał swych wrogów, lecz nie-

¹⁾ Meksyk — kraj w południowej części Ameryki Północnej.

¹⁾ Plemię indyjskie.

podobna, ażeby mógł wymknąć się pogoni, gdyż ze wszystkich stron zaskakiwały wilki, przecinając zupełnie ucieczkę.

Jeleń, zbliżywszy się na pięćdziesiąt kroków do rzeki i ujrawszy wilcze czaty, przystanął chwilę, ale widząc, że dalsza ucieczka jest niepodobna, zwrócił się przeciwko ścigającym wilkom, a dobywszy ostatnich sił, uderzył na nich z nastawionymi rogami, ażeby przedrzeć się przez gęsty zastęp.

W mgnieniu oka wyleciały w powietrze dwa wilki z wypaproszonymi brzuchami, inne, ranione i stratowane racicami, wily się w boleściach; dwom atoli powiodło się dosięgnąć jelenia: jeden zatapia mu kły w karku, drugi chwyta za gardło, lecz silny zwierz obu unosi z sobą. Raz jeszcze zwraca się ku rzece, potężnem wstrząśnieniem pozbywa się obydwóch wrogów i wpada w wodę. Wilki za nim. Ponad falami wystaje tylko głowa pięknego zwierzaka, ustrojona rozłożystą rogów koroną. Tuż za nim kurzą się parą szkaradne lby wilków, błyskające zielonemi ślepiami. Woda pieni się i pryska, a od brzegu dolatuje wycie zgłodniałych bestji, szczękających chciwymi krwi zębami.

Jeleń już drugiego dopłynął brzegu, kiedy nagle wilki, pozostałe na lądzie, wyć przestały i, przejęte jakąś nieznaną trwogą, w jednej chwili pierzchnęły.

— Co to jest?... czego one się zlekły? — zagadnął niepokojnie Hiszpan.

Ale dalsze zapytania skończyły mu na ustach, gdyż niespodziany obraz roztoczył się przed oczyma myśliwych.

— Schylcie się! schylcie, na miłość Boską! — krzyknął przerażony Kanadyjczyk. — Indianie polują i w tej chwili tu będą!

Stado dzikich koni pędziło cwałem w największej trwodze ku brzegowi, ścigane przez jeźdźców indyjskich, którzy oklep, z przykurczonemi niemal pod brodę kolanami, gnali jak wichry. Z początku było ich tylko trzech, potem pięciu, nareszcie przeszło dwudziestu.

Jedni, wstrząsając podniesionemi dzidami, pędzili za końmi, drudzy, wywijając w powietrzu rzemiennymi arkaniami, wyli przeraźliwie.

Hiszpan wzrokiem pytał doświadczonego Kanadyjczyka, który z wybladłą twarzą, zimnym potem okryty, śledził z poza gąszczu ruchy Apaszów. Grobowa cisza zaległa kępę, zdaje się, że trzech myśliwców tłumią oddech. Lękając się, ażeby go Indianie nie usłyszeli.

Jakkolwiek step przerzynały liczne wąwozy, mnóstwo zaś wzgórków i koleczaste kaktusy utrudniały niezmiernie jazdę, mimo to jednak dzielni jeźdźcy indyjscy sadzili tak łatwo, jakby go aksamitna zaściełała murawa. Nie wstrzymując na chwilę rozognionych rumaków, z szaloną odwagą, szydząc z niebezpieczeństwa, niby śpiżowe centaury¹⁾, przebywali wszystkie zawady. Trzej biali z żywym współczuciem śledzili każdy ruch Apaszów, podziwiając ich nieporównaną zręczność.

Widownia ożywała się coraz bardziej, po obu brzegach wznosiła się wrzawa: na południowym — wysilony jeleń dobywał sił ostatka, ażeby ująć przed zgłodniałymi wilkami, na północnym tętniły konie, rżały rumaki Indian, a wrzask Apaszów nie ustępował wcale wyciu wilków.

— Cudowne! przepyszne! — szeptał w zachwyceniu najmłodszy z trzech łowców, Meksykanin, będący po raz pierwszy świadkiem łowów indyjskich.

— Wolałbym tych cudów wcale nie widzieć — mruknął ponuro Kanadyjczyk.

— Niech nas Bóg uchwowa od podobnych piękności — rzekł smutno Hiszpan. — Jeśli te czerwone djabły dostrzegą nasze ślady, będzie nam daleko gorzej, aniżeli temu wspaniałemu jeleniowi, którego za chwilę wściekle wilki rozszarpia.

Wtem Indianin, zdobny pękiem czarnych piór, w czuprynie utkwionych, a prawdopodobnie wódz gromady Apa-

¹⁾ Centaur — bajeczny potwór: pół konia, pół człowieka.

szów, wstrzymał konia. Przez chwilę stał, jak posąg, wlepiwszy wzrok w ziemię, a potem, rzuciwszy cugle jednemu z młodych towarzyszy, skoczył z konia i, patrząc bystro przed siebie, szedł, nie zatrzymując się, aż na brzeg, z którego myśliwcy puścili się ku wyspie.

Serce Kanadyjczyka uderzyło gwałtownie, a krew o mało mu z twarzy nie trysła... ścisnął za ręce towarzyszy i wzrokiem wskazał Apasza.

Wódz skinął ręką, i jakby czarem łowy ustały. Wojujownicy otoczyli go wkoło, słuchając cichego szeptania i przyglądając się śladom. Po chwili pięciu Indian popędziło cwałem na północ.

Tarcza słoneczna już dotykała krawca stepu, rzucając krwawy blask na wierzchołki trzciny, zarastających kepe, na której tak uroczysta cisza panowała, jak w owych chwilach, kiedy nad brzegami Gili same tylko zamieszkiwały bawoły.

Władysław Ludwik Anczyc,

poeta polski w. XIX-go
(„Opisy i przygody”).

Porównaj tę puszcę z Białowieżą.

Dlaczego Indianie nienawidzą ludzi białych? Czy mają słuszość? Czy człowiek biały ma prawo zająć dla siebie całą ziemię?

113. Obrazek.

Hen, wysoko — niebo czyste,

Niby kryształ roztopiony —

A w dolinie mgieł welony

Rozesłały się srebrzyste.

Z pól dalekich wiatr tu wieje,

Złota wierzba się kołysze —

Szmer zapada w dal gdzieś, w ciszę,

I omdlałem echem mdleje.

Przemkną chmurki szybkim lotem,

Na chwil parę blaski zgasną,

I znów cicho, ciepło, jasno —

Słońce z nieba kapie złotem.

Kazimierz Gliński.

141. Spotkanie z lwem.

Wspaniała postać, ognisty, przenikliwy wzrok, szlachetne ruchy, harmonja kształtów, grzywa, otaczająca głowę inakształt królewskiego płaszcza spływająca na ramiona, wreszcie ryk straszliwy, wstrząsający powietrzem — czynią lwa władcą zwierząt. Obrazy polowania na lwa stanowią zawsze najbardziej zajmującą część opisów podróży, bo też jakiejże odwagi i zimnej krwi potrzeba, aby śmiało spojrzeć w oczy takiemu nieprzyjacielowi!

Oto wypadek, jaki w r. 1805 spotkał całe towarzystwo w pobliżu przylądka Dobrej Nadziei, opisany przez náoecznego świadka.

„Zatrzymawszy się na noc, rozbiliśmy namioty na odległość strzału karabinowego od wioski Hotentotów. O północy woły i konie, leżące między wozami, zaczęły się niepokoić. Jeden z poganiaczy dał sygnał na trwogę, a na ten głos każdy pochwycił za strzelbę i niezwłocznie wyskoczył z namiotu. W odległości zaledwie 30 kroków stał lew, który, ujrzawszy nas, oddalił się spokojnie, dzwigając jakiś ciężar, niby młodego wołu, jak mi się wydało. Po chwili zniknął nam z oczu w krzakach; daliśmy ognia, ale żaden ruch nie zdradzał jego obecności.

Popłoch minął, bydła się uspokoiły, i wtedy dopiero zauważyliśmy brak szyldwachy, Jana Smita. Wołaliśmy na wszystkie strony, lecz napróżno. Nagle zrodziło się w nas podejrzenie, że biedny człowiek został przez lwa porwany. Natychmiast, odpowiednio uzbrojeni, ruszyliśmy w kierunku krzaków, które nam zasłoniły oddalające się zwierzę. Lecz ci, którzy szli naprzód, nagle cofnęli się z trwogą, gdyż o kilkanaście kroków rozległ się wśród zarosli ryk straszliwy. Daliśmy ognia raz i drugi, ryk się nie powtarzał, najodważniejsi zbliżyli się znowu do krzaków i powrócili wkrótce, niosąc strzelbę i czapkę nieszczęśliwego towarzysza.

Noc utrudniała jednak poszukiwania, daliśmy znowu ognia, podpaliliśmy krzaki, lecz dopiero o świcie ujrzelśmy napastnika, wstępującego na dość oddalony pagórek i niosącego coś w paszczy. Huknęło za nim ze 40 strzałów, lecz żaden nie był trafny, gdyż lew niewątpliwie rzuciłby się na nas, gdyby został raniony.

Wówczas towarzyszący nam ludzie prosili mnie o pozwolenie odzyskania szczątków nieszczęśliwego Smita, ażeby je pogrzebać z uczciwością. Zgodziłem się pod warunkiem, że wezmą do pomocy kilku Hotentotów. Wkrótce też sześciu naszych ludzi w towarzystwie 40 Hotentotów udało się tropem lwa i znaleźli go w odległości jednej mili (angielskiej) leżącego w krzaku. Na krzyk Hotentotów lew wyskoczył z rykiem, ale zaczął uciekać. Puszczono się za nim w pogoń, — nagle zwrócił się, i rycząc, z wściekłością wpadł na ścigających. Atak był niespodziewany, ludzie, zdyszani szybkim biegiem, dali ognia, lecz żadna kula nie trafiła; wówczas wódz Hotentotów stanął przytomnie oko w oko napastnikowi. Lew zatopił pazury w jego opończę ze skór zwierzęcych, ale śmiały i zręczny wódz zrzucił opończę i przebił zwierza oszczepem. Inni Hotentoci popiechali teraz na pomoc, każdy z nich przebił oszczepem ciało miotającego się w dzikich podskokach zwierzęcia, tak, że lew wyglądał jak koleczasty jeżozwierz. Mimo to nie przestawał ryczeć i wspinać się na łapy, aż, raniony śmiertelnie w oko, padł martwy.

Z nieszczęśliwego szyldwacha nie pozostało śladu oprócz kawałka skrwawionej odzieży.

Z Brehma.

Do jakich zwierząt lew należy? Wymień jego najbliższych krewnych w Europie. W jakich częściach świata lew żyje? Dlaczego nazwany został królem zwierząt?

115. Lew chory.

I panowie chorują — czemuż lwy nie mogą?

Boleścią srogą

Lew zdjęty ryczał; niebożęta

Drżały zwierzęta.

Te, co na dworze króla Jegomości,

W żalości

Przymilały się panu. A że, gdzie chory,

Tam i doktory,

Niedźwiedź, mimo powagę, wraz z lisem kolegą

Natychmiast biega

W radę: niedźwiedź po prostu

Na niestrawność życzył postu —

I zdławion za to.

Lis, przelekły zapłata,

Kiedy go się pytano, co brać na chorobę,

Rzekł: — Pan chory na wątrobę,

Moja rada: — o tej dobie

Podjeść sobie;

Komu post miły, niech gryzie śledzia;

Pan zje niedźwiedzia.

Nagrodzony obficie, że dogodnie życzył,

Nowym kunsztem — chorego doktorem uleczył.

Ignacy Krasicki.

Znaczenie tej bajki.

116. U p a ł.

Godzina była popołudniowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach,

najbłękitniejsza w środku. Na niej stało wielkie, złote słońce; przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali wyraźnie oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało Mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie żdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przedziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleń się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawach dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka pokryta żółtymi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak, między sosnami, gorąco było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy, i zboża, i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków, i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodczy, niby rozmarzenie natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pół lasów, łąk i wód.

Henryk Sienkiewicz.

Czy tak samo wygląda świat rano, w południe i wieczorem?
Jakie spostrzegasz różnice? — Rozkład.

Czem jest ten ustęp: opisem, opowiadaniem, czy rozprawką?

117. Przed burzą.

Wyjątek z „Kirgiza“.

Słońce spuszczało się od zachodu,
Jeździec nie dosiagli kresu podróży;
Czuł głód i trudy. On śmiał się z głodu,
Do trudów życia przywykł za młodu,
Lecz dostrzegł znaki niechybnej burzy.

Wbiegł więc na kurhan, co niedaleko
Krył kości, całą przodków puściznę,
Patrzył — lecz próżno: — oku sokoła
To, czego szukał wypatrzeć trudno.
Nikt tu nie mieszkał... tylko dokoła
Wzrok padał w przestrzeń głuchą, odludną.
Zskoczył — do ziemi przyłożył ucho...
Słuchał, czyli się co nie poruszy...
Czy szmer nie dojdzie? — Nie, zewsząd głucho —
W stepie ni jednej żyjącej duszy!
Wietrzył... jakby się przejąć spodziewał
Choć pylek dymu ognisk koczowych...
Nie — tylko zapach kwiatów stepowych
Mgłą balsamiczną wkrąg go owiewał.

Cóż to? Czy on się zląkł kiedy grozy?
Wszak, jeszcze małem będąc chłopięciem,
Nieraz wędrowne rzucił obozy,
Za obląkanem gonić żrebięciem,
Lub zbierać w tabun rozpieczęte trzody.
Wtenczas się uczył przenosić głody!
Wtenczas za płochą ścigając sarną,
Gdy spojrzał w chmurę gromową, czarną,
Wtenczas z odkrytą pierśią i głową
Oślepił się rzucił w burzę stepową.

A teraz — kiedy w pustynie wrócił
I ledwie życia zaczął kosztować,
Miałby podług tych ścian żałować,
Które z radością taką porzucił?

Nie! — Na Kurhanie stojąc zakłękłym,
 Poglądał w chmury okiem niezłękłym
 I na swym koniu czekał spokojny
 Jak gdyby tylko hasła do wojny.

Gustaw Zieliński.

Jakie szkody i pożytki przynosi burza?

118. Polowanie na tygrysa w Indjach Wschodnich.

Myśliwi, uzbrojeni w wyborne dubeltowe strzelby, w towarzystwie dobrze uzbrojonych i hojnie opłaconych naganiaczy, ze zgają śmiałych psów, idą w gęstwinę naprzeciw upatrzonego zwierzęcia. Na przodzie idzie zwykle t. zw. szykar, czyli główny naganiacz, który pilnie badając ślady zwierza, znakami wskazuje kierunek, jaki obrać należy. Po obu jego stronach postępują strzelcy, zawsze gotowi do strzału, a za nimi najpewniejsi ludzie z bronią gotową na zmianę. Potem następuje orkiestra, składająca się z ogromnego bębna, trąb, dzwonek i ciągłych strzałów z pistoletów. Orkiestrze tej towarzyszą ludzie, uzbrojeni szablami i długimi halabardami¹⁾. Tylną straż stanowią inni, wciąż miotający w gęstwinę kamienie ponad głowami tych, którzy postępują w pierwszych szeregach: kamienie te skuteczniej płoszą tygrysa, niż piekielny hałas orkiestry.

Co pewien czas człowiek wdrapuje się na wysokie drzewo dla zbadania ruchu w wysokich trawach. Cała jednak myśliwska rzesza trzyma się ściśle zwartej kupy. Tygrys niełatwo odważa się napaść na taką groźną i z takim hałasem postępującą gromadę. Nawet jeśli się odważy, to z niejaką trwogą: zatrzymuje się w pewnej odległości, waha się i daje czas strzelcom do celnego strzału.

W ciasnych wąwozach Hindostanu dosyć często po-

¹⁾ Halabarda — topór, zakończony grotem, z ostrym kolcem zamiast obucha, osadzony na długim drzewcu.

dróżni bywają narażeni na napady tygrysów, a wół lub koń pada ofiarą ich żarłoczości. Koń tak się lęka tygrysa, że niepodobna go zmusić, aby ku temu zwierzowi postąpił: słon przeciwnie — stoi spokojnie, a siedzący na nim człowiek może celnym strzałem uprzedzić groźny skok napastnika. Jeśli się to nie uda, wówczas i człowiekowi, i słoniowi grozi największe niebezpieczeństwo.

Ogromne łapy i potężna waga przedniej części ciała są powodem, że największemu słoniowi tygrys może skończyć na głowę i obalić go na ziemię, wraz z siedzącym na jego grzbiecie człowiekiem. Wprawdzie rzadko mu się to udaje, gdyż słon zrzuca go i depece nogami. W takim razie tygrys jest zgubiony: słon miażdży go albo łamie mu żebra, a potem odrzuca go na kilkanaście kroków. Lecz często też słon bywa straszliwie poszarpany, gdyż stary, silny tygrys tak mocno czepia go się pazurami, że ten go strząsnąć nie może. W takim razie słon rzuca się też na ziemię, aby tygrysa zgnieść ciężarem swego ciała. Wtedy ci, co się na grzbiecie słonia znajdują, zarówno zagrożeni są śmiercią od łap i zębów tygrysa, jak od ciężaru ciała słonia.

Z Brehma.

119. Małpa.

Zyla małpa w pewnym domu,
 Urwis, metr na wszystkie figle,
 Cała w ruchu, jak na igle,
 Byle sztukę spletać komu;
 Patrząc zaś na jej swawole,
 Trzeba było zrywać boki:
 Być w kominie, pod stołem, na stole,
 Wyprawiać harce i skoki,
 Tu poczęstować kota tabaką,
 A tam przedrzeźniać staruszkę jaką,
 Przejąć wszystko, co się stało,
 Nie to ją nie kosztowało,

Raz, gdy w podobnej swawoli
 W każdy kącik zajrzeć raczy,
 Postrzegła, że pan się goli,
 Czegoż małpa nie zobaczy?
 A czegoż — spostrzegłszy — nie spróbuje sama?
 Czekala tylko pory nasza dama
 I doczekała. Gdy jednej chwili
 Cała się czeladź z domu wychyli,
 Ona czempredzej do pańskiej sypialni,
 Już przy stoliku, już w gotowalni.
 Gdzie tam chcieć wygod na prędkiej dobie?

Jak mogła, usiadła
 Koło zwierciadła,
 Dawaj mydlić pyski sobie!
 Nieźle się z pendzlem sztuka udała,
 Więc łapą śmiała,
 Nieułożoną
 Chwyta brzytwę wyostrzoną,
 I chociaż boli,
 Piszczy, a goli.
 To wlewo, to wprawo,
 Żle, ale żwawo.
 Szach-mach po szyi żelazem —
 Zarznęła się jednym razem.

J. Massalski.

Jaka myśl jest w tej bajce? Kiedy naśladownictwo może przynieść pożytek? Wymień wyrazy podobnego znaczenia, co: urwis, swawola, harce, gotowalnia, spostrzedz, nieułożona (ręka), małpować. Jaki to wiersz: opowiadający czy uczuciowy?

120. Tygrysica Nerona.

I. W tryumfie, na wozie u nóg Nerona¹⁾ znajdowała się Teba tygrysica i niewiasta Aktea, która zastępowała

¹⁾ *Neron* — okrutny cesarz rzymski w I w. po Chr., pierwszy prześladowca chrześcijan.

miejsce stróża Teby. Ubrana jak Djana, Aktea trzymała w rękę jedwabny sznurek, na którym Teba była uwiązana. Przyjechawszy do pałacu, Neron zasiadł na tronie i przyjmował powinszowania tłumu, który go już od dawna policzyl w liczbę bogów, zapewne z jego rozkazu. Tygrysica leżała na wzniesieniu przy samym tronie. W bliskości miejsca, przeznaczonego na schronienie Teby, z pod ziemi dawały się słyszeć smętne jęki i żale: były to więzienia, do których zamykano chrześcijan; dla rozrywki tyrana rzucono tych nieszczęśliwych na rozszarpanie lwom i tygrysom. Będąc świadkiem męczarni, jakich doznawali więźniowie, Aktea chciała dowiedzieć się o ich występkach; jej dusza już pojmowała prawdy nowej religji: Aktea została ochrzczona i odtąd poświęciła się ratowaniu swoich braci w wierze. Po uczcie, równie szalonej jak gnuśnej, Neron chciał ucieszyć się widokiem rozszarpania chrześcijanina przez tygrysicę; rozkazał przyprowadzić skazaną ofiarę. Był to starzec; długa biała broda spadała mu na piersi. Neron dał znak, a tygrysica rzuciła się. Aktea, także obecna, krzyknęła, bo w starcu poznała kapłana, który spełnił nad nią chrztu sakrament. Teba zarzynała się: w tej samej chwili dały się słyszeć wołania o litość; Aktea rzuciła się do stóp cezara. Rozgniewany Neron odepchnął ją nogą. Wtedy Greczynka zawołała: „Ja także jestem chrześcijanką!“ Po takich słowach pochwycono ją i odprowadzono do więzienia.

II. Wkrótce Neron kazał ogłosić: W rocznicę śmierci dyktatora Juljusza Cezara będzie wielka bitwa ze zwierzętami.

W tym dniu gladjatorowie¹⁾ wypełniali swoją powinność; wielu chrześcijan było rozszarpanych na sztuki przez zwierzęta, a grzmiące oklaski dawały się słyszeć wśród tłumu.

¹⁾ *Gladjatorowie* — niewolnicy, którzy dla zabawy tłumów walczyli z sobą w cyrku aż na śmierć.

mu. Potem wszystkie spojrzenia zwróciły się na nową ofiarę, którą wprowadzono do amfiteatru: była to kobieta w białej sukni i pod białą osłoną; tą kobietą była Aktea. Podniesiono kratę pod łóżą cesarza, wyskoczyła tygrysica, położyła się, dziko spojrzała na wszystkie strony, potem zaczęła czołgać się, jak żmija, poczuła węchem zapach świeżej krwi, wysunęła ozór i, coraz więcej rozjątrzając się, zaryczała. Aktea przymrużyła oczy, a jej usta blade i martwe szeptały modlitwę do Boga.

Tymczasem tygrysica szła wprost ku niej, niekiedy kładąc się na ziemię i rzucając tylko ukośne spojrzenia na zdobywcę; nagle skoczyła i rzuciła się do chrześcijanki. Głośny szmer dał się słyszeć w amfiteatrze i natychmiast nastąpiła cisza; cały tłum oniemiał z zadziwienia; tygrysica położyła się u nóg Greczynki, jak pies spokojna i łagodna. Aktea otworzyła oczy i poznała Tebę, faworytę Nerona.

W tejże chwili zerwał się z piersi widzów huragan krzyków: „Łaski! Przebaczenia!“. Neron, który lubił udawać wspaniałomyślnego, skinął ręką. Aktea zastała uwolnioną z więzów i wyprowadzoną z cyrku. Ukryła się w świątyni Djany aż do wieczora; w nocy zaś, kiedy Neron na zakończenie widowiska palił dwunastu męczenników chrześcijan, przywiązanych do smolnych słupów, Aktea ukryła się w katakumbach, w tajemnem schronieniu chrześcijan i wszystkich prześladowanych, i tak się ocalała.

Z Rymarkiewicza.

Co to były w Rzymie katakumby? Jakie w nich znajdują się dla nas pamiątki? Opowiedzieć o pierwszych chrześcijanach w Rzymie i o życiu chrześcijan w katakumbach.

121. S ł o Ń.

Słoń jest największym z ssaków, żyjących na lądzie. Długość jego ciała dochodzi do sześciu łokci, wysokość

blisko pięć łokci. Ciężar dorosłego słonia wynosi do dzieśięciu tysięcy funtów.

Ogromne, na pozór niezgrabne ciało słonia opiera się na czterech nogach, wyglądających jak grube słupy; na każdej nodze ma on cztery kopyta, na których stapa. Głowa jego wielka, osadzona na grubej a krótkiej szyi, posiada szczególny i niesłychanie ważny dla niego przyrząd: trąbę. Ta trąba słonia jest to po prostu jego nos, wydłużony na 3 do 4 łokci, naksztalt grubej rury; na końcu trąby widać nawet dwoje nozdrzy, jak w każdym innym nosie. Z boku trąby wyrastają z pyska dwa zęby wielkie, nieco wykrzywione ku górze. Nazywają je kłami, ale w istocie są to przednie zęby słonia. Taki jeden ząb może ważyć do 150 funtów! Prócz tych dwóch kłów słoń posiada w paszczy tylko 4 zęby trzonowe, po jednym z każdej strony górnej i dolnej szczęki. Co kilka lat zęby trzonowe wypadają i zostają zastąpione przez nowe, ale naraz jest ich tylko cztery. Zęby te są płaskie, trąć się o siebie, działają jak żarna i rozcierają wybornie pokarm roślinny, jakiego słoń wyłącznie używa.

Trąba jest niesłychanie ruchliwa; słoń może ją wykręcać na wszystkie strony, opuszczać na dół, zarzucać wtył, skręcać dowolnie; do tego na końcu pomiędzy nozdrzami trąba posiada mały wyrostek, jak palec, którym słoń może chwycić nawet drobne przedmioty, obejmując je zarazem brzegiem nozdrzy.

Trudnoby wyliczyć wszystkie użytki, jakie słoń ma ze swego wydłużonego nosa. Przedewszystkiem za pomocą tej trąby słoń się żywi: opuszcza ją na dół, zagarnia pęk trawy, zrywa ją i kładzie sobie do pyska. Gdy drzewko, którego liście chciałby objeść, jest za wysokie, łamie je przedewszystkiem tą samą trąbą. Pojmujemy, że bez pomocy trąby wysoki słoń, mając tak krótką szyję, z wielką trudnością mógłby się żywić.

Trąba służy mu też do picia wody. Zanurza ją, na-

pełnia wodą całą trąbę, a potem unosi ją w górę i wlewa sobie tę wodę do pyska. Gdy zaś chce się ochłodzić, zlewa sobie za pomocą trąby cały grzbiet. Gdy w drodze muchy dokuczają słoniowi, zrywa trąbą gałąź liściastą i, wywijając nią na wszystkie strony, opędza się od tych dokuczliwych stworzeń. Czasem znów, jeśli muchy zbyt mocno go obsiadają, nabiera w trąbę piasku i wydmuchuje go sobie na całe ciało, a potem dopiero zlewa je wodą, tworząc na skórze grubą powłokę błota.

Słonie oswojone — a tych jest w Azji bardzo wiele — posługują się trąbą przy pracy: podają nią cegły i kamienie, przenoszą kłocę drzewa i składają na kupy. Słonie uczone używają trąby nawet do bardzo delikatnych robót, na przykład wyciągają nią korek z butelki i wypijają wino.

Trąba wreszcie jest silną bronią, której słon używa w walce z innymi zwierzętami, a w potrzebie i z ludźmi. Oczy słonia są małe, ale rozumne i dobrotliwe, uszy duże, wywinięte tak jak u ludzi, a skóra gruba, naga, barwy szaro-popielatej, niekiedy białej. W niektórych pogórskich krajach Azji białe słonie czczone są jako bóstwa: stawiają im świątynie, ubierają je w piękne ozdoby, dają jeść i pić dowoli i kłaniają się im, padają przed nimi na twarz, z czego te słonie zdają się być bardzo zadowolone.

Słonie żyją stadami, a właściwie rodzinami, liczącymi po kilkanaście lub kilkadziesiąt sztuk. Na czele stada stoi przewodnik, którym jest najrozumniejszy samiec lub samica. Obowiązkiem przewodnika jest pilnować bezpieczeństwa stada, strzedz go od zasadzki i umieć ratować w nieszczęściu. Zato — jak wogóle w stadach zwierzęcych — cieszy się on szacunkiem i zupełnem posłuszeństwem pozostałych członków stada.

Dziwnem jest, że każde stado stanowi odrębną całość i nie łączy się z innymi. Biada słoniowi, który jakim wypadkiem odłączy się od swego stada: zostanie on na zawsze samotnikiem. Żadne inne stado nie przyjmie go do

siebie. Wolno mu paść się w pobliżu, wolno chodzić do tego samego wodopoju, ale zaznajomić się bliżej i łączyć nie wolno. To też taki samotnik, pozbawiony zwykłego towarzystwa, pozbawiony rodziny i przyjaciół, wpada w rozpacz i wściekłość: z łagodnego i spokojnego zwierzęcia, które się nie lęka nikogo, ale też nikomu w drogę nie wchodzi, słon-samotnik staje się dzikim zwierzem, który biega jak szalony po lasach i polach, niszczy i druzgocze, co spotka na drodze, napada zwierzęta i ludzi, póki nie zginie z ich ręki.

Miejsce pobytu słoni są duże, gęste lasy w pobliżu wód. Mając w lesie pod dostatkiem żywności, słonie rzadko wychodzą w pola, gdy się to jednak zdarzy, oczywiście zniszczą i strują cały zasiew.

Dobroć, łagodność i rozum tego olbrzymiego zwierzęcia okazuje się z tysiącnych przykładów: słon nianczy dziecko swego przewodnika; przenosi ciężary, walczy z nieprzyjacielem. Do człowieka się przywiązuje, ale pamięta urazy i nieraz mści się za nie.

Z M. Brzezińskiego.

Zrób rozkład.

122. Zachód słońca.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany.
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świejące,
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
Owdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfaldowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pozołknął, zbladnął i poszarzał.

Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy, usnęło.

Adam Mickiewicz.

Opisz zachód słońca, jaki sam widziałeś (ustnie lub piśmiennie).

123. Dbalność ptaków o gniazda.

Gdy na wiosnę wesolym śpiewem ptasząt zabrzmiały nasze lasy, gaje i ogrody, czy przyjdzie wam na myśl, że cała ta skrzydlata rzesza, prócz śpiewu, ma wiele poważnych trosk, kłopotów i celów do spełnienia?

Już z początkiem wiosny muszą ptaki wykonać pracę nielada: przygotować kolebkę dla piskląt, t. j. uwić gniazdo. Wszystko to musi być mądrze obmyślane: wybór miejsca i materiału. Gniazdo powinno być założone w okolicy obfitującej w pożywienie, a przytem w bezpiecznym ukryciu, aby go nie mógł znaleźć żaden drapieżca.

Co do materiału — jedne ptaki używają cienkich gałązek i pręcików, inne włókienek i korzonków, to znów ździebeł słomy, włosia, mchu, piórek, wreszcie puchu do wysłania wnętrza kolebki — słowem panuje tu wielka różnorodność.

Z materiału tego ptaki wija gniazda nieraz nadzwyczaj misternie, zawsze z nakładem pracy niemałej.

Ptaki nadzwyczaj dobrze ukrywają swe gniazda, ale gdy się pisklęta wyklują, rodzice muszą ciągle wracać z żywnością do jednego miejsca, co łatwo ściąga uwagę drapieżnych zwierząt. Dlatego też ptaki używają rozmaitych sposobów, żeby się nie zdradzić: wymykają się nieznacznie, wracają niby to do innego miejsca, skradają się cichaczem i nagle wpadają w gąszcz, w którym gniazdo jest ukryte. Wiele też ptaków zaczyna żałośnie pisać, skoro mają się zbliżyć do gniazda, jak gdyby błagały o litość.

Wogóle jednak w takich wypadkach udają one jakby

obojętność. Widząc, że do gniazda zbliża się wróg, wylatują na spotkanie i starają się na siebie ściągnąć uwagę, udając osłabionego lub ranionego. A gdy napastnik da się tem złudzić, odciągają go nieznacznie możliwie daleko od miejsca, gdzie się znajdują dzieci, i wówczas dopiero same uciekają. Do gniazda wracają inną drogą i niepostrzeżenie. Jeżeli zaś przeciwnik jest zbyt groźny, rzucają się nań odrazu i odpędzają go. Gdy widzą, że ten nie daje się zwieść i oszukać, — jeżeli nie mogą go zwyciężyć, starają się go przynajmniej odstraszyć. Krzyczą więc, nastroszywszy przytem pióra, aby się wydać groźniejszymi, a w ostateczności rzucają się na wroga, bijąc go skrzydłami i dziobem. Tylko miłość rodzicielska może natchnąć te drobne stworzenia taką odwagą, takim zaparciem się, zapomnieniem o własnym niebezpieczeństwie!

Jeżeli ptaki zauważą, że w danym miejscu grozi co dzieciom lub jajkom, nie wahają się przenieść je w inne, pewniejsze. Jeżeli np. zabierze kto pisklę sowie, zaraz następnej nocy przeniesie ona wszystkie pozostałe do innej dziupli, trzymając każde ostrożnie w dziobie.

Ptaki dbają przytem nadzwyczaj o porządek w gnieździe i o to, aby dzieci były czyste¹⁾. Porządkują więc gniazda, wyrzucają z nich wszelkie nieczystości, obszukują starannie pisklęta dzióbkiem, czy między ich drobnymi piórkami nie kryje się jaki dokuczliwy owad. Niektóre urządzają nawet kąpiele swym dzieciom: przynoszą nieco wody w dziobie i skrapiają nią pisklęta, albo też, zanurzwszy się na chwilę w wodzie, otrząsają się następnie nad gniazdem. Częstokroć taki prysznic ma na celu ochłodzenie dzieci podczas zbytznego upału.

Wogóle ptaki nie żałują pracy i gotowe są nawet do poświęcenia, byleby tylko zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, zdrowie i wygodę, — a czynią to wszystko pod wpły-

¹⁾ Z wyjątkiem dudka.

wem wielkiej miłości rodzicielskiej, która im każe zapomnieć o własnych uciechach, przyjemnościach i wygodach, a myśleć jedynie o szczęściu dzieci.

Z B. Dyakowskiego.

Daj przykłady miłości rodzicielskiej u innych stworzeń.

124. Ptactwo.

Jeśliś, bracie, jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.

Podsuh czołnem pod szuwały¹⁾,
Bo pocieszne ptasie rady:
Tamtó sejmy, tamto gwary,
I zaloty, i biesiady!

Słyszac krzyki i gwar dziki,
Patrzac na te ptasie zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptasiej wrzawie,

Iż przepomni człek o świecie:
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne to bestyje!

Wincenty Pol.

125. Puhacz.

I.

Ciemno,—tylko tu i owdzie migają jak drobne gwiazdeczki robaczki świętojańskie, unoszące się między drzewami. Olbrzymi puhacz, przytulony do pnia starego dębu,

¹⁾ *Szuwały* — sitowie — oczeret — zarośla na miejscu niskiem i błotnistem.

obudził się i nadstawił uszu. Bo ptak ten ma uszy, prawdziwe, odstające uszy, jak u czworonogów, z tą tylko różnicą, że są one skierowane otworem nie naprzód, lecz wtył, a zewnątrz porośnię pierzem. Na każdym z nich sterczy pęczek dłuższych piór, są one przytem zupełnie ruchome, tak, że puhacz może je dowolnie zamykać, gdy śpi, lub otwierać, gdy wyrusza na łowy. Cóż to jednak za dziwaczne ucho z otworem w tyle? Nie jest ono tak złe, jakby się mogło wydawać na pozór. Puhacz lata bardzo szybko, gdyby więc ucho jego było otwarte ku przodowi, wpadałby w nie szybki prąd powietrza, i ptak nieby nie mógł słyszeć. Przecież i czworonogi, jak konie, zające, biegnąc prędko, kładą uszy po sobie, żeby się zabezpieczyć od silnego prądu. Puhacz zaś ma zawsze ucho odwrócone wtył, i dzięki temu słyszy wszystko, co się dzieje za nim nawet w czasie najszybszego lotu; nagłym zwrotem rzuca się na zdobycz, którą już minął, i porywa ją.

Posłuchawszy przez chwilę nocnych szmerów, puhacz potarł kilka razy swój silnie zagięty dziób o gałąź, jak gdyby chciał go naostrzyć przed zbójczą wyprawą, a potem zleciał cicho, bez najmniejszego szelestu. Jakie pióra ma ten ptak, że może latać tak cicho? Pióra jego są przede wszystkim bardzo miękkie, a oprócz tego zewnętrzny brzeg lotek, to jest piór stanowiących skrzydła, nie tworzy jednej ciągłej linji, jak u innych ptaków, ale jest ząbiony na wzór piły. Łatwo zaś sprawdzić, że gdy szabla, przerywająca powietrze, wydaje ostry gwizd, takiemu samemu ruchowi, wykonanemu piłą, żaden dźwięk nie będzie towarzyszył lub co najwyżej bardzo słaby. Ptak dzienny kraje powietrze ostrym kantem pióra, i lot jego można słyszeć — puhacz przecina je jakby piłą i leci bez szelestu. Mając taki lot i nocną ciemność za towarzysza, silny dziób i potężne szpony, a w dodatku wyborny słuch i oczy nienajgorsze, — ileż to morderstw dokonać można, ile ofiar porwać! Jakież stworzenie potrafi się oprzeć puhaczowi

gdy je zaskoczy we śnie, tak znienacka i niespodzianie. Niedarmo też przezwano go królem lasu.

II.

Opuściwszy gałąź, puhacz leciał przez czas jakiś między wierzchołkami drzew, a następnie powoli zaczął spuszczać się niżej, kręcąc głową na wszystkie strony, nasłuchując i wypatrując, czy gdzie nie zobaczy śpiącego ptaka lub zapóźnionej wiewiórki. Ale las zdawał się pusty i martwy. Puhacz zasyczał gniewnie, wzleciał nieco wyżej i, usiadłszy na gałęzi starego dębu, kilkakrotnie odezwał się ponuro potężnym głosem: hu! hu! hu! Niech wiedzą leśni mieszkańcy, że pan wyruszył na łowy! Głos rozszedł się po lesie. Zabiło serce biednemu zajączkowi, co gdzieś w polu zjadał młodą trawkę, obudziły się ptaki z uspienia i niejeden z przestachem rzucił się do ucieczki, nie wiedząc jednak, skąd mu niebezpieczeństwo zagraża. Dobroduszny jeź również zatrzymał się w drodze, jakby go coś tknęło. Nie stracił jednak odwagi: — Ostre kolce mnie bronią — pomyślał na uspokojenie. A wtem jęknął boleśnie: ostre szpony nagle wbiły mu się w grzbiet poprzez kolce. Skurczył się, próbował zwinąć się w kłębek, ale sił mu zabrakło. Napastnik uniósł go w powietrze, wydając okrzyk tryumfalny: hu! hu! hu! i, usiadłszy na gałęzi, poszarpał i pożarł w jednej chwili biedaka tak łapczywie, że połknął niejeden kolec, co zresztą temu drapieżcy nic a nic nie szkodzi.

Następnie skradającym się lotem wyruszył na nowe łowy.

III.

Z gąszczów wysunęło się cicho niezbyt wielkie zwierzę o podługowatym tułowi, na krótkich nogach i, podniósłszy do góry zaostreny pyszczek, zaczęło węszyć. Na polance tak jasno, że łatwo poznać je po kształcie ciała,

siwej sierści i dwóch czarnych pręgach, idących wzdłuż białego pyska. To borsuk. Ostrożny do przesady, nigdy się nie oddala zbyt daleko od nory. I teraz coś mu się nie podobało, bo zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Istotnie z gąszczów dochodził jakiś odgłos, jakby trzask łamiących się gałęzi, łopotanie skrzydeł. Odgłos ten zbliżał się ciągle, aż wreszcie na polankę wbiegł zając, nad którym unosił się puhacz z rozpostartymi skrzydłami, wykrzykując swoje hu! hu! Puhacz zdawał się siedzieć na grzbiecie zająca i siedział istotnie, wpiwszy się weń szponami jednej nogi, drugą natomiast starał się uchwycić za jaką wystającą gałąź, żeby zająca zatrzymać. Ten ostatni z bólu i przestachu rwał się jak szalony i pędził wciąż naoslep przed siebie.

Daremnie się silisz, biedaku! Nie wyrwiesz się ze szponów drapieżcy: prędzej czy później znajdzie on dogodną gałąź, przytrzyma cię i zmiażdży ci głowę ostrym dziobem.

Puhacza można śmiało zaliczyć do zwierząt szkodliwych, bo chociaż zjada on i szkodników leśnych, żaden jednak ptak nie jest przed nim bezpieczny, a co wytepi zwierzyny: zający, kuropatw, cietrzewi!

B. Dyakowski.

Wymień zwierzęta, żerujące nocą.

126. Zając i żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,

Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,

Teraz podupadł na nogach,

Poczuł, że się źle z nim skończy.

Więc jęknął z głębi serca: — Ach, niemasz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem!

Co mię w dzień pies, lis, konik, kania

I wrona,

Nawet i ona,

Jak chce, tak gania!
 A w noc, gdy drzemie, oko się nie zmruża,
 Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczne,
 Wnet drży me serce zajęcze,
 Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
 Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem,
 Postanowiłem dziś je skończyć samobojem,
 Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiosnianych kolebko!
 Wy kochanki młodości, kapusto i rzepko,
 Pożegnajłemi łzami pozwólcie się skropić:
 Oznajmuję wam wobec, że idę się topić!

Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca skoki słabe,
 Po drodze stąpił na żabę.

Ta mu, jak raca drgnąwszy, z pod nóg szusła

I z góry na łeb w staw plusła.

A zając rzekł do siebie: — Niech nikt nie narzeka
 Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi:
 Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
 I swojego zająca, którego się boi.

Adam Mickiewicz.

Co to znaczy: tracić serce, świat na tchórze stoi?
 Co pocieszyło tego zająca?

127. Do ziemi wiecznych lodów.

Od czasu wielkich odkryć Kolumba, Cooka, Magellana—żądza poznania całej ziemi opanowała człowieka z niepokonaną siłą, pchając go do tysiąca najniebezpieczniejszych przedsięwzięć i podróży. Bez pary przepłynął oceany, zbadał nieznane światy, poznał nowe ludy. Jednego tylko celu nie osiągnął dotąd: nie dotarł do tajemniczych krańców osi ziemskiej.

Kraje podbiegunowe, kraje wiecznych lodów, białe, zimne, mordercze,—jakąż potęgą pociągacie serca najdziel-

niejszych i najzuchwalszych jednostek, że dążą ku wam z taką siłą woli, z taką pogardą śmierci? Trudy ich wypisane na skalach i lodowcach mór północnych, a wymawiając imiona Davisa, Hudsona, Behringa, Baffina, Franklina i innych, często nie wiemy nawet, jakich wymieniamy bohaterów.

Oto krótki obrazek zimy pośród lodów, spędzonej w r. 1874/5 przez załogę „Hanzy“.

II.

„D. 18 września lód w pobliżu okrętu zaczął trzeszczeć, słychać było huk przeciągły, chrzęst, turkot pociągu, gwar głosów... Niebawem na otaczających lodowcach ukazały się szerokie szczeliny.

Zaloga, w przewidywaniu nieszczęścia, zaczęła wynosić ze statku żywność i paliwo. Jednocześnie zaczęła srożyć się gwałtowna burza, połączona ze śnieżycą. Miotane fałdy lody ze wszech stron naciskały statek, kilkanaście wielkich odłamów wzniosło się na 17 stóp ponad pokładem. Nazajutrz marynarze spostrzegli z przerażeniem, że woda poczęła wdzierać się do wnętrza statku. Rzucono się do pomp, lecz po kilkogodzinnej pracy woda, zamiast opaść, podniosła się wyżej. Nie było ani chwili do stracenia: połowa majtków pracowała przy pompach, druga z największym pośpiechem wynosiła na krę wszystko, co się dało. Dopiero noc położyła tamę tej gorączkowej działalności.

„Hanza“ jednakże nie zatонуła tak prędko, nazajutrz zdołano jeszcze uratować aptekę, lampy, książki, naczynia kuchenne, nawet łódź okrętową, która znajdowała się na pokładzie. W nocy z 21/2 statek zatonął ostatecznie pod 70^{1/2}° szer. półn.

Po katastrofie zagospodarowano się na lodzie. Zbudowano domek z desek i brył węgla kamiennego, wszyscy nagle odetchnęli.

Tymczasem pole lodowe posuwało się na południe. Marynarze mieli nadzieję, iż w ten sposób dostaną się do okolic, odwiedzanych przez statki wielorybnicze. Trwało to aż do stycznia. Trzy miesiące podróży na kawałku lodu!

W d. 2 stycznia kra znów zaczęła podejrzanie trzeszczeć. Wszyscy zerwali się w przestkach: słyhać było przesuwanie, tarcie, turkotanie. Nie ulegało wątpliwości, iż krze grozi rozbitcie przez naciskające je lodowce. Załoga przygotowała łodzie, zamierzając w nich szukać ocalenia.

Następnego dnia część kry odłamała się, i pozostała przestrzeń tak niewielka, iż domek o 200 kroków oddalony był od brzegów lodu. Zaledwie rozbitkowie ochłonęli nieco z doznanych wrażeń, gdy 11 stycznia o 6 rano zerwała się straszliwa nawałnica, wzburzone fale wdarły się na krę, która zmniejszała się w oczach, o 25 kroków od domku powstała nagle głęboka szczelina, która oddzieliła go od składu drzewa.

Rozbitkowie, sądząc, iż nadeszła ostatnia godzina, z płaczem ściskali się za ręce. Na szczęście skończyło się na strachu. Ale 13 stycznia powtórzyła się ta sama scena. Wśród nocy pękła kra z ogłuszającym grzmotem i siedziba rozbitków rozpadła się na dwie połowy. Nastąpiło to tak niespodziewanie, iż podróżnicy zaledwie zdolali ujsć z życiem. Po długiej nocy, spędzonej na mrozie, przekonano się, iż część domku ocalała od zagłady. Naprawiono ją i csiedlono się na nowo; ponieważ jednak nie było miejsca dla wszystkich, kilku marynarzy zamieszkało w łodzi.

Po tych wypadkach nastąpiło kilka tygodni spokoju, kra płynęła ku południowi, powierzchnia jej zmniejszała się z dniem każdym. Trzeba było nakoniec przesiąść się do łodzi, na której w połowie czerwca dopłynęli do brzegów Grenlandji“.

III.

Jednym z ostatnich i najszcześliwszych podróżników był Frytjof Nansen, którego niezmordowana energja i siły

zdumiewające doprowadziły najdalej na północ, bo zaledwie 400 wiorst oddzielało go już tylko od bieguna.

Nansen wypłynął z Norwegji w r. 1893. Początkowo chciał on korzystać z prądu morskiego na oceanie Północnym, aby na karku potężnych lodowców dostać się wraz z okrętem do bieguna. Po 20 miesiącach przekonał się jednakże, iż trwałoby to zadługo, opuścił więc wygodny i we wszystko zaopatrzony statek, aby z jednym tylko towarzyszem, Johansenem, na saniach, przez psy ciągniętych, dostać się do bieguna. Sam opowiada tak o tej wędrówce:

„Co kilka wiorst napotykalismy zapory i wały ze spiętrzonych brył, pomiędzy którymi sanie przesuwały się niezmiernie wolno, a często trzeba je było przenosić. Wszystko to wyczerpywało siły w takim stopniu, że szliśmy nieraz śpiąc i zataczając się na nogach“.

Na noc zatrzymywali się w pobliżu gór lodowych, aby mieć obronę od wiatru. Johansen zajmował się psami, Nansen rozbijał namiot, napełniał lodem kociołek, zapalał kuchenkę naftową i gotował wieszczkę z zabranych zapasów żywności. Następnie wnosili do namiotu worki z żywnością i worek futrzany, zastępujący łóżko, zamykali starannie wnijście i wsuwali się w ów worek. Przedtem jednakże trzeba się było rozebrać, co stanowiło już niewielką trudność. Sam Nansen tak o tem pisze:

„Kiedy wleziemy do worka, ubranie na nas powoli odmięka, zanim jednak to nastąpi, leżymy parę godzin, szcękając zębami. Wkońcu robi się o tyle giętkiem, że można je zdjąć. Niestety, nie trwa to długo. Niebawem po wstaniu ze snu mamy znów na sobie jakby tekturową odzież.

Rano, jako kucharz, muszę wstawać pierwszy i przyrządzać śniadanie; kiedy wszystko gotowe, budzę Johansena. Jedna z kołder wełnianych służy nam zamiast stołu, na którym piszemy potem dziennik podróży. Wkońcu ruszamy w drogę. Ja idę naprzód, za mną sanki, ciągnio-

ne przez psy, które się nauczyły postępować moim śladem, naostatku Johansen, nawołując i poganiając psy długim batem. Często trzeba być okrutnym dla tych biednych zwierząt. Serce się wzdryga na wspomnienie o tem: wydobywaliśmy z naszych psów ostatki sił, póki śmierć nie uwolniła ich od cierpień“.

Przez 15 miesięcy walczyli w ten sposób z mrozem, głodową śmiercią, drapieżnymi zwierzętami i tysiącem przygód, zanim наконец spotkali wyprawę amerykańską, dążącą również do bieguna. Byli już tak daleko, a jednakże...

Materiał z podróży Nansena i innych.

Czy zdola kiedy człowiek pokonać te przeszkody? Czy doczekamy tego wielkiego tryumfu woli i wiedzy ludzkiej?

Może dzieci lub wnuki nasze, ale — doczekają.

128. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.

Na początku biegł człowiek: towarzyszy mu powie:

— Nie spiesz się, bo ustaniesz. — Biegł jeszcze tembardziej.

Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,

Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi:

Aż człowiek, że z początku nadwreżył nogi,

Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem

Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem;

Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza: —

— Prowadź mię, iść nie mogę — rzekł do towarzysza.

— Było mię zrazu słuchać — natenczas mu rzekło.

Chciał człowiek odpowiedzieć... lecz zdrowie uciekło.

Ignacy Krasicki.

Czy powinniśmy dbać o swoje zdrowie? Czy wiele zrobić może człowiek chory? Czy wiele wart człowiek, który myśli tylko o zdrowiu? Co myślisz o człowieku, który naraża zdrowie dla rzeczy ważnych, pięknych, szlachetnych?

129. Z opowiadań małego Eskima.

I. Urodziłem się w najpiękniejszej i najbogatszej stronie na kuli ziemskiej.

Leży ona wpośród lodów bieguna północnego, a Europejczycy nazywają ją, nie wiem dlaczego, Grenlandją, czyli ziemią zieloną, pomimo, że od wieków drzewa na niej nie rosną. Gdzie spojrzysz, piętrzą się góry lodowe i nagie skały, rzadko gdzie pokryte kępami trawy, i to wtedy tylko, jeżeli wiosna poszarpie miejscami wieczną powłokę śniegową. Przez trzy miesiące zimowe panuje u nas ciągła noc, a mróz dochodzi do takiego stopnia, o jakim mieszkańcy Południa nie mają pojęcia i niełatwo znieśćby go mogli. Zato gdy nadejdzie letnia pora, słońce w ciągu trzech miesięcy prawie nie zachodzi. To mi dopiero piękne światło dnia! A czarowna zorza nocy!

Każda pora ma dla nas, szczęśliwych mieszkańców tego rozkosznego kraju, swoje przyjemności i powaby. W zimie, gdy mróz potężny na dworze, gdy ciemności zalegają ziemię i ocean, my gromadzimy się w naszych wygodnych chatach ze śniegu, do których wchodzimy przez korytarze również ze śniegu, czasem kilkadziesiąt stóp długie, a zawsze tak niskie, że trzeba przez nie pełzać na czworakach.

Naokoło ścian wewnątrz chaty znajduje się ława z ubitego śniegu, pokryta futrami, służąca za siedzenie i łożo. U sklepienia, pomiędzy błyszczącymi jak djamenty sopłami lodu, wisi lampa gliniana, gorejąca bezustannie jasnym płomieniem, napelniona tłuszczem foki; oświetla ona chatę, a zarazem służy za ognisko do gotowania pożywienia. Innego ognia niema w chacie; pomimo to mieszkańcy podczas pracy zmuszeni są zdejmować zwierze ubranie...

Tam to, podczas straszliwych śnieżyc i zawiei podbiegunowych, tak gwałtownych, że nikt nie może głowy na

świat wychylić, spędzamy czas w dobrobycie, spokojnie i przyjemnie. Mężczyźni wyrabiają z ości harpuny¹⁾ i inne przybory do rybołówstwa i polowania. Kobiety, zebrane około ogniska, szyją ubrania futrzane i piękne nieprzemakalne buty ze skóry cieląt morskich, ozdabiane ładnym haftem. Jadamy mięso fok i wielorybów, wybornie przechowane w śniegu. Dzieci syte śpią lub bawią się — słowem, wewnątrz chaty przedstawia obraz spokoju i szczęścia wtedy, gdy na zewnątrz szaleją rozhukane żywioły.

Skoro tylko ustali się pogoda, mężczyźni nie mogą usiedzieć w domu. Pomimo trzaskającego mrozu, byle tylko powietrze było spokojne, udają się do zwykłych zajęć. Wdziwiają długie kozuchy z niedźwiedziej skóry, opatrzone w kaptury, uzbrają się włóczniami i wychodzą z domów. Jak okiem zasięgnąć, ziemia, pokryta śniegiem, zlewa się z zamarzłym morzem, najeżonym lodowcami. Czarne sklepienie niebios iskrzy się milionami gwiazd; najczęściej jednak podczas nocnej pory świeci przepiękna zorza północna, podobna do wspaniałych ogni sztucznych. Niebo pokrywa się wtedy ognistymi, oślepiająco jasnymi słupami lub łukami, o brzegach purpurowych lub złocistych.

Eskimowie po wyjściu z domów rozpraszają się w różne strony. Jedni zaprzęgają psy do sanek, udając się w odwiedzinę do sąsiednich pokoleń, inni tropią renę i białe niedźwiedzie, inni znowu puszczają się na morze i wycinają przeręble, służące do połowu fok. A skoro obciążeni obfitym łupem powrócą wesóło, znowu rozpoczyna się biesiada, tem przyjemniejsza, że na dworze noc i mróz.

II.

Z końcem zimy nowe czekają nas przyjemności. Ktoś z mieszkańców wioski, powracając z polowania, opowiada, że dostrzegł bladawą smugę światła na niebie; zaprzeczają

¹⁾ Harpun — ostra dzida z zagiętymi w tył hakami.

mu, nie wierzą, rozprawiają żywo, lecz po upływie 24 godzin zbierają się tłumnie, by dostrzedz wskazany punkt nieba... światło ukazuje się znowu... Nieinaczej... to świta dzień!

Nareszcie, po długim oczekiwaniu, jasny promień ukazuje się na krańcu niebios, oświetlając nagie skały i cichą, ponurą ziemię. Mieszkańcy, przyzwyczajeni do ciemności nocnej, zasłaniają sobie oczy, ażeby nie oślepnąć. Z jaką radością witają ożywcze słońce! Ale po kilku minutach już ono zachodzi; nazajutrz zato świeci dłużej nieco, później coraz dłużej, aż w końcu, jak gdyby ukochało sobie nasze niebo Północy, ustala się na kilka miesięcy, darząc nas najpiękniejszymi promieniami ciągłego dnia. Skoro tylko słońce zacznie dogrzewać, tworzą się maleńkie strumyki w śniegu. Nareszcie pewnego dnia rozlega się straszliwy huk, a niewzruszone dotąd lodowce ożywają się nagle i zaczynają poruszać. To morze puszcza. Lodowce kruszą się z hukiem, podobnym do wystrzałów armatnich, chwieją się na unoszących je falach i, podobne do floty olbrzymiej, odpływają na pełne morze.

Przy najslabszym nawet wietrzyku tracą się one wzajemnie i rozpadają z ogromnym łoskotem. Za każdym takim uderzeniem zmieniają się ich kształty, tak, że co chwila widzi się płynące niby szklane góry, niby kryształowe pałace, niby świątynie z białego marmuru, a łamiące się w nich światło słoneczne stroi te fantastyczne budowle w barwy tęcze.

Teraz zimowe mieszkania zamieniamy na obozowiska letnie; z chat śniegowych przenosimy się do skórzanym namiotów, rozbitych na wybrzeżu morskiem. To wiosna! W okolicy widać jeszcze gdzieś lodowce, strzelające w górę niebotycznymi kolumnami; morze unosi jeszcze groźne isbergi¹⁾, lecz tu i owdzie na wybrzeżu,

¹⁾ Isbergi — pływające góry lodowe.

z pod topniejącego śniegu zaczynają się ukazywać kępki trawy, pośród których błyszczą drobniotkie kwiatki czerwone, żółte i niebieskie.

III.

Ale mniejsza o roślinność! Jest ona tak uboga, że wcale na nią nie liczymy.

Zato świat zwierzęcy dostarcza nam bogatych zdobyczy: powietrze, ziemia i morze pełne są w tej porze roku zwierząt. Z południa nadlatują gromady wodnego ptactwa, dostarczającego nam jaj, drogocennego puchu, delikatnych skórek i wyborowego mięsa. Stada renów zaopatrują nas w pożywne i smaczne mięso, miękkie skóry i wspaniałe rogi, z których wyrabiamy broń i przedmioty codziennego użytku.

Morze roi się od wielorybów, wyrzucających w górę strumienie wody, oraz morsów¹⁾, zebranych w hałaśliwe stada.

Polujemy na nie w lekkich kajakach²⁾. Kość morsów jest bardzo podobna do słoniowej, mięso zaś i tłuszcz tych zwierząt mogłyby w zupełności zaspokoić nasze potrzeby codzienne, gdybyśmy nie już innego nie mieli.

Jest to pora wielkich polowań i połowów. Codziennie znosimy nową zdobycz, nowe łupy. W namiotach wyprawiamy prawdziwe uczty. Zęby morsów, rogi renów i rozmaite futra układają się w stosy. Spożywamy wprawdzie zaraz znaczną część naszej zdobyczy, lecz nie zapominamy o nadchodzącej zimie i składamy zapasy w kryjówkach, nam tylko znanych, a należycie zabezpieczonych od niedźwiedzi i lisów.

Taki jest ten piękny kraj, w którym ujrzałem światło dzienne.

E. Berthet.

(„Młodzież w 5-clu częściach świata”).

¹⁾ Koń morski. ²⁾ Łodzie obite skórą foki.

Jak ci się ten kraj podoba? Czy jest najpiękniejszy i najbogatszy? Dlaczego się takim Eskimowi wydaje? Co powiedziałby o nim Murzyn? Czy każdy człowiek przywiązany jest do swego kraju.

W jakiej części świata leży Grenlandja? Jaki widzisz związek między przyrodą kraju a zajęciami człowieka?

Powiedz wyrazy przeciwnego znaczenia co: piękny, bogaty, góra, mróz, zachód, przyjemność, ciemność, zdjąć, dobrobyt, syty, wspaniały, świta, ponury.

130. Żółw i mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia; żółw jej odpowiedział:

— Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda, nie jest wspaniały, szczupły, ale własny.

Ignacy Krasiński.

Co znaczy ta bajka? W czym można przystosować jej sens do zapatrywania się Eskima na swój kraj rodzinny? Wytlumacz przysłowie: „Lepsze jedno oko swoje, niż cudze oboje” (Kochanowski). „Lepiej ze swoim płakać, niż z obcymi skakać”.

131. W domu japońskim.

Szkielet domu japońskiego zrobiony jest z drzewa, a ramy (zastępujące ściany) z bambusu¹⁾, oblepione papierem. Można je zupełnie swobodnie, przesuwać po wyłożeniach, zrobionych w podłodze i suficie. Budynki japońskie są w zupełności przystosowane do trzęsienia ziemi, które się tam tak często zdarza. Wstrząśnienia podziemne nie burzą ich, lecz tylko zlekka kołyszą.

Zajrzyjmy do wnętrza mieszkania japońskiego. Uderzy nas przede wszystkim zupełna prostota: mebli niema wcale, na podłodze rozrzucone maty, na których Japończycy spoczywają i jedzą. Śpią na podłodze, podesławszy pod

¹⁾ *Bambus* — rodzaj trzciny.

siebie puchowe, pikowe lub wojłokowe koldry, takimiż koldrami okrywają się od chłodu. Japonki podstawiają pod głowę drewniane podpórki, wygięte w kształcie siodła, a na owem wygięciu, wyłożonem papierem, opierają szyję. W ten sposób ochraniają uczesanie, które zabiera im dużo czasu i pracy. W tym samym pokoju stoi kuchenka, na której Japończycy gotują swój niewyszukany obiad. Jedzą przy pomocy pałeczek, używają prawie wyłącznie potraw roślinnych i ryb.

Wewnątrz pokoju znajdują się parawany, które można tak samo jak i ściany zewnętrzne zupełnie swobodnie przesuwac po wyżłobieniach i w ten sposób dzielić pokój na kilka zupełnie oddzielnych pokoiów, dowolnie zmniejszać je lub powiększać. W gorącej porze roku zewnętrzne ściany tych papierowo-drewnianych budynków rozsuwają się zupełnie, i domowe życie Japończyków staje się widocznem dla oczu przechodniów.

II. Za dnia dzieci są w szkole, mąż zajęty swojemi sprawami, w domu zostaje żona i starzy dziadkowie, o ile nie wyszli do przyjaciół lub w jakim interesie. Dopiero wieczór, pora obiadowa, gromadzi wszystkich razem. Gospodyni stawia przed każdym stolicek, nie większy od chustki do nosa, a wysoki na 20 centymetrów. Na stoliczku tym w kilku czarkach różnego rodzaju potrawy, a więc zupa, jarzyny, ryby, rzadko mięso, z boku para ostro zakończonych patyczków, gdyż łyżki i widelce są tam jeszcze mało używane. Każdy z domowników kłeka na macie przed swoim stolikiem, bierze swoje patyczki i odkrywa czarki; jedna z nich jest próżna: to na ryż, który przynoszą gorący w drewnianej baryłce. Wszyscy zaczynają jeść, ale bez przyjętego u nas następstwa jednej potrawy po drugiej.

Przy zwykłych obiadach niekiedy ryż zastępuje chleb, który na uroczystych przyjęciach podają na końcu. Trunkiem, używanym podczas obiadu, bywa zwykle herbata.

Mały japoński piecyk, wypełniony żarem, jest niezbędnym sprzętem w każdym domu. Dokoła niego po obiedzie skupia się rodzina. Na piecyku grzeje się woda do różnych potrzeb domowych, przy nim siedzi stara matka, paląc długą fajkę, kłęcz dziewczynka, bawiąc się kotkiem z kartonu, gospodyni śpiewa pieśni o dawnych bohaterach, mąż przegląda gazety, a stary ojciec gra partję *go* z sąsiadem.

Wreszcie udają się wszyscy na spoczynek. Kobiety odsuwają stoliki i piecyk do kąta, zamiatają pokój i rozkładają na podłodze materace, które osłaniają w lecie drucianą siatką od komarów.

Podług Z. Kł.

132. Dumka wygnańca.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórkciem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.
Nawet kwiatki także prawie
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się schylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...

Czemuż to nie moja matka?
 Czemuż to nie siostry moje?
 Słońce zaszło za lasami,
 Lud wesóły idzie z pracy,
 Czemuż się nie cieszę z wami?
 Czemuż wyjście nie Polacy?
 Ptak powrócił w swoje gniazdo,
 Zwinął skrzydła utrudzone:
 Chmurna losów moich gwiazdo,
 Gdzież mię wieszysz, w którą stronę?
 Płyńcie, płyńcie, lzy tęsknoty,
 Nieutulne lzy tulacze,
 Może jeśli dzień przepłaczę,
 Noc przyniesie mi sen złoty.

Teofil Lenartowicz.

133. Gospodarstwo Kościuszki.

(Materiał z Tadeusza Korzона).

Gdy Kościuszko wrócił do kraju z Ameryki po skończonej wojnie z Anglią¹⁾, w kraju nieznany, za oceanem już sławny, osiadł na Litwie, w majątku rodzinnym Siechnowicze (ziemia grodzieńska), i tu przez 4 lata (od 1785 do 1789) wiódł ciche życie ziemianina, póki nie zdarzyła się sposobność służenia własnej ojczyźnie.

Mająteczek, w którym gospodarzył Kościuszko, był niewielki: wieś składała się z 20-tu chat czyli „dymów“, jak wtedy mówiono, chociaż więc „pan generał“ pracował gorliwie, dochody miał bardzo szczupłe (około 1,000 złp. rocznie).

¹⁾ Wojna toczyła się o wolność Stanów amerykańskich i zakończyła się ich zwycięstwem.

W owych czasach wszędzie jeszcze w Polsce chłopci odrabiali t. zw. „pańszczyznę“, t. j. pracowali darmo na gruntach dziedzica tyle dni, ile pan na nich nałożył. Włościanie siechnowiccy byli obowiązani do 4-ch dni pańszczyzny tygodniowo, tak mężczyźni, jak i kobiety. Ale kiedy Kościuszko objął majątek, pomimo że był w wielkich kłopotach pieniężnych, zaraz zmniejszył tę robociznę dla mężczyzn o połowę, a więc zredukował ją do 2-ch dni w tygodniu, kobiety zaś zupełnie od niej uwolnił; wolał sam cierpieć niedostatek, niż wyzyskiwać pracę ludu i patrzeć na jego nędzę.

Prowadził więc Kościuszko w dworku swoim życie bardzo skromne. Pewien szlachcic tak opisuje wnętrze mieszkania: „Z sieni po prawej ręce był pokój duży, z niego wchodziło się do drugiej izby, którą przepierzenie dzieliło na pokój sypialny i garderobę. W pierwszym pokoju stał stół ordynaryjny, stary, i kilka stolików drewnianych; przy drzwiach szafa staroświecka kredensowa. W sypialnym pokoiku stało łóżko na środku i przy łóżku stolik niewielki, na którym książki, kałamarz i papier. Do podawania kawy taca, ręką pana Kościuszki z jabłoni toczona, kilka półmisek i talerzy własnej jego pracy składały całe umeblowanie¹⁾. Gospodarstwem kobiecem zarządzała stara ciotka pana K.; służba składała się z dwóch osób: lokaja i woźnicy.

„Za domem ciągnął się ogródek owocowy z górą, leśniczówką porośłą, na której pan K. porobił ścieżki i altany; była sadzawka zarosła tatarakiem, na niej dzikie kaczki, pielęgnowane troskliwie.

„Pan K., oddany ciszy wiejskiej, gospodarzył rządnie i czule; dla sąsiadów równie w rolnictwie, jak we wszystkich szczegółach życia swego był jedynym wzorem.

¹⁾ Po drugiej stronie sieni był podobno pokój bawialny, którego jednak szlachcic ów nie opisuje.

Szanowany i lubiony od obywateli, przesiadywał najwięcej w domu“.

Ogrodnictwem zajmował się ze szczególnem upodobaniem. W „leszczowniku“, który dotąd istnieje, znajduje się jeszcze „labirynt“, podobno przez Tadeusza Kościuszkę uplanowany i zasadzony. Ścieżka wązka kręci się tu między gęstymi ścianami zieleni w tyłu zagięciach, że można przez kilkanaście minut chodzić na małej stosunkowo przestrzeni, nie widząc nic poza temi ścianami. Są też wielkie drzewa, zasadzone po obu stronach szerokiej alei również ręką generała.

Od prac tych oderwał się Kościuszko w r. 1789, gdy otrzymał rangę generał-majora w wojsku polskiem. Wtedy pożegnał Siechnowicze na zawsze i całą duszą i sercem oddał się ojczyźnie.

C. B.

Rozkład i opowiadanie.

134. Zgon Mohorta¹⁾.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka i niby bezpieczna,
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.

Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciół szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rana,
I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już obsadził —
Głównym korpusem sam Książę²⁾ dowodził,
A w tylnej straży komendę generał

¹⁾ Mohort — bohater poematu, przeszło stuletni rycerz, który całe życie poświęcił służbie dla ojczyzny.

²⁾ Książę Józef Poniatowski.

Wielhorski miał — i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; — jakoż po dwa razy
Przysyłał Książę z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą...
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciół przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Generał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie,
I wołał: „Stępo!!!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.

Wtem straszny łomot i tysięczne głosy
Wojennej trwogi wzbily się w niebiosy. —
— Co tam?! — Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciół tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech linjach czysto jak po miotle —
A koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z koni i z ludzi niby kra się parla;

Gdy most się zwałił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało,
I wpływ do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogile!“
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł wkoło oczyma przez chwilę
I krzyknął: „Bacność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiąla,
Każdy zrozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie; jeżeli nie wrócę,
Zaraz w te pędy idź z drugim oddziałem“.
Rzekł do rotmistrza, i z kopyta cwałem
Ruszył krzyknawszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara — mówi Paweł święty“).

Z dział uderzono — i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.

Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...

A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca!

Marsz!“ — i już cały drugi zastęp w locie.

Wpadamy — patrzym, a działa w odwrocie,
I kanoniery leżą już pod koniem:

¹⁾ „I jedna wiara — mówi Paweł święty“. Ostatnie te słowa Mohorta na Boryszkowskiej grobli odnoszą się do znanej pieśni katechizmowej:

Jeden Bóg wszędzie, jeden chrzest przyjęty,
I jedna wiara, mówi Paweł święty,

Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem stajem, kędy stały działa,
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równy z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

Wtem rozruch na przedzie,
I głos podają: „Książę! Książę jedzie!
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały, — rzekł: „Szkoda mej Litwy!“
I jakże zginął?“

„Jak giną rycerze!“ —
Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“
A Książę na to: „Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować“.
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami.
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie,
Aż gdy grób cały wkońcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w rękę, niech leży w mogile!“
A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żalosną zanucili sobie,

¹⁾ Mohort był rodem z Litwy.

Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu czas,
Zabawili nas!”

A potem na koń! — i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła wkońcu nawet straż ostatnia,
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żalność bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żalności tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzałem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy wśród nocy się spalił.

Wincenty Pol.

135. Na Bielanych¹⁾.

Poranek był pogodny i słoneczny. Drogą od przystani do kościółka podążała liczna gromadka młodzieży i kilka osób starszych. Mimo wesołości na wszystkich twarzach malowało się wyraźnie wzruszenie, a w młodych oczach płonęła poważna ciekawość.

Czy wielkie dziwy spodziewano się zobaczyć na Bielanych?

Chyba nie. Tam za niemi krajobraz wybrzeża, rozległy, daleki, malowany jasną zielonością wiosny, błyskaniem fal wiślanych, błękitem powietrza, — a tu przed niemi cichy, pusty ementarz i niewielki kościółek. To już wszystko.

Na Zielone Świątki inaczej tu bywa: gwarno, głośno, wesoło; kto jednak pragnie poznać ten zakątek, nie wybierze się wtedy.

¹⁾ Pod Warszawą, gdyż są Bielany i pod Krakowem.

Dziś na ementarzu cicho. Kilku inwalidów, którzy mają schronisko w pustym poklasztorzym budynku, przesuwają się po ścieżkach samotnie, lub prowadzi rozmowy głosem przyciszonym.

— Smutno tutaj — szepnęła jedna ze starszych dziewczyn — i tak dziwnie, że nie śmiałabym się bawić.

— To niesłusznie — odparła inna — miejsce to nie przypomina nam przecież żadnego okropnego wypadku w przeszłości, dla mnie jest tylko poważnem i to głównie ze względu na grób Staszycy. Wobec wspomnienia zasług tego niezwykłego człowieka najpuściejsza chyba głowa musi chociaż na chwilę zastanowić się nad tem, jak wiele zrobić może jeden człowiek, jeżeli pragnie szczerze, całą duszą.

— Przyznam ci się, moja droga, że chociaż wiele było o tem mowy, nie wiem tak bardzo dobrze, co ten Staszyc zrobił. Był ministrem, żałował sobie na ubranie, postawił pomnik Kopernika — czy to takie wielkie zasługi? — dodała ciszej, oglądając się nieśmiało, czy kto nie słucha.

— Jeśli wiesz tylko tyle, to możesz się dziwić — odparła towarzysząca — ale i ja ci się przyznam, że mię smuci, ile razy się przekonam, jak mało znamy swoich wielkich ludzi, w porównaniu z tem, co wiemy o Cezarach, Napoleonach i t. d. Więc posłuchaj.

II. Staszyc był synem ubogich rodziców, po których nie odziedziczył żadnego majątku. Krajowi ofiarował miliony, które zdobył nie dla siebie, lecz dla dobra swoich rodaków. To pierwsza rzecz wielka.

A potem — jak rozumnie tego majątku użył. Słyszałaś może o ogromnych dobrach Hrubieszowskich, które kupił i rozdzielił między włościan, ucząc tym pięknym przykładem, iż rolnik powinien być człowiekiem wolnym i właścicielem ziemi, którą swoją pracą uprawia.

Słusznie też nazywają go ojcem górnictwa. Studjował je z zapalem, nie żałując trudu, sam zwiedził i zbadał Ta-

try, wydał o nich poważną pracę, kosztem swoim kształcił młodzież w tym kierunku i pierwszy wskazał nam skarby, jakie posiadamy w ziemi.

Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któremu ofiarował gmach, własnym kosztem wystawiony. Dla uczczenia pamięci Kopernika wznosił mu wspaniały pomnik.

Pracował też jako pisarz. Pierwszy zwrócił uwagę, jakie zmiany w rządzie są konieczne, żeby Polska stała się znowu potężną. Można powiedzieć, że on pierwszy stworzył projekt konstytucji, którą 3 maja ogłoszono.

Pisał bardzo wiele dzieł, pracował dla kraju jako urzędnik, został nawet ministrem, a żył zawsze jako człowiek ubogi, wszystkie dochody obracając na pożytek innych. W testamencie zapisał jeszcze fundusz na tak zwane Sale zarobkowe, gdzie najubożsi mieli się uczyć rzemiosł i zarabiać. Sale te przeznaczono dla ubogiej młodzieży i nazywają się Sale zajęć.

Czyż to mało?

— Za dużo, moja droga, on więcej dobrego zrobił, niż ja spamiętać mogę. Tak, to był wielki człowiek.

Stały właśnie przed skromnym nagrobkiem z ciemnego kamienia, otoczonym żelazną balustradą. Na kamieniu, obok popiersia w płaskorzeźbie był krótki napis: „Stanisław Staszyc, urodzony w r. 1755, dnia 20 stycznia 1826 r. umarł.

— Jaki skromny nagrobek!

— Jak ten, który pod nim spoczywa. Nie dla sławy żył, nie pragnął chwały.

Jedna z dziewcząt rzuciła na grób świeże kwiaty, inne postanowiły upleść świeży wieniec, a były takie, które usiadły w pobliżu i pograżyły się w myślach. Może widok cichego grobu zbudził w tych młodych duszach gorące i wielkie pragnienia, — może praca dla kraju wielkiego człowieka nie skończyła się z jego życiem, może jego wspomnienie będzie żywym ziarnem, które nowe wyda owoce.

Zwiedziwszy skromny kościółek i klasztor, którego założycielem był jeszcze Władysław IV, oraz szczątki letnich mieszkań dworu królewskiego z czasów saskich, nad wieczorem młode grono skierowało się znów ku przystani, aby statkiem powrócić do Warszawy.

A każda z dziewcząt miała w sercu wiosnę, zabraną z pól i lasów mazowieckich, a w duszy jakąś radosną powagę, pełną czci dla przeszłości, a może i dумы.

Czy każdy człowiek powinien pracować dla kraju swego i przyszłości? Kogo i za co nazywamy obywatelem? Co to znaczy: cnoty obywatelskie?

136. W maju.

Słońce majowe w ognia koronie

Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie

Owiała mgła różowa.

A w tej zlocistej blasków powodzi,

W sukience z gwiazd utkanėj,
Powiewna jakaś postać wschodzi
Na szmaragdowe łąny.

Bielą się zdala śnieżne jej szaty

Po łąkach i po lesie,
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Na piersi drobne złożyła ręce

I płynie po przezroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką

Na łąkach, widzi w dali,
Albo rybaków, zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za nimi rzewnie i długo
Z uśmiechniętymi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi, cicha i słodka,
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią,
Kwiatów u nóg jej kłękają rzesze,
Modląc się do niej wonią.

Grają koników polnych kapele,
Z chórami żab złęczone,
Echo rozwiejne do nóg jej ściele
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanje te olbrzymie...
Płynie po świetle z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.

Lucjan Rydel.

137. Mała wideta¹⁾ lombardzka.

I. W roku 1859-ym, podczas wojny o oswobodzenie Lombardji, wkrótce po bitwie pod Solferino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austryjaków, w piękny poranek czerwcowy mały oddział konnicy jechał stępą samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy.

¹⁾ Wideta — straż, czaty.

Oddział prowadzili oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wytężonym wzrokiem w zupełnem milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austryjackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku, otoczonego wierzzbami; przed nim stał dwunastoletni może chłopczyna, strugając nożem gałązkę, z której sobie widocznie chciał gładki kij zrobić. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo. Zapewne mieszkańcy, wywiesiwszy chragiew, uciekli w obawie przed Austryjakami.

Ujrzawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z ogorzalą twarzą, dużymi niebieskimi oczyma i jasnymi, długimi włosami, a przez otwartą koszulę widać było nagie jego piersi.

— Co tu robisz? — zapytał oficer, zatrzymując konia. — Dlaczego nie uciekłeś razem z rodzicami?

— Nie mam rodziców — odrzekł chłopczyna. — Jestem podrzutkiem, sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby widzieć wojnę.

— A nie widziałeś Austryjaków?

— Nie. Od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia i, zostawiając swoich żołnierzy, jak byli, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do domku, a stamtąd wydrapał się na dach. Dom był niski. Z dachu widać było tylko mały kawałek najbliższej okolicy.

Oficer znów myślał przez chwilę, patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, poczem nagle zapytał chłopca:

— Słuchaj, bąku! Masz ty dobre oczy?

— Ja? — odrzekł malec. — O wiorstę wróbla dojrzę...

— A potrafiłbyś wyleźć na czubek tego drzewa?

— Na czubek tego drzewa? Ja?... Za pół minuty wylezę!

— A umiałebyś mi powiedzieć, co stamtąd widać?
O tam! Chmury kurzawy, błyszczące bagnety, konie!...

— Cobym zaś miał nie umieć?

— A co chcesz za tę usługę?

— Co ja chcę?—powtórzył chłopiec i uśmiechnął się.—
Nie nie chcę. Co mam chcieć? A zresztą dla Szwabów to-
bym tego za żadne skarby nie zrobił. Ale dla naszych!
Przecież jestem Lombardezyk.

— Dobrze. Właźże prędko!

— Zaraz, tylko trzewiki zdejmę...

Zdjął trzewiki, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę
w trawę i objął pień wierzyby.

— Uważaj!... — krzyknął oficer, chcąc go powstrzy-
mać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.

Chłopiec obrócił się i spojrzał pytająco pięknymi nie-
bieskimi oczyma.

— Nic już, nie — rzekł oficer. — Właż dalej.

Chłopak wdrapywał się jak kot na drzewo.

— Patrzeć przed siebie! — krzyknął wtedy oficer na
swoich żołnierzy.

II.

W kilka minut był już malec na wierzchołku. Ucze-
piony u samego czuba, stał pośród gęstwiny liści, z pier-
sią odkrytą, a słońce tak promiennie biło w jego jasną
głowę, że była jak gdyby złota. Oficer zaledwie mógł go
dojrzeć, tak na tej wyżynie maleńki się wydawał.

— Prosto przed siebie patrz i daleko! Jak najdalej
możesz! — krzyknął ku niemu.

Dosłyszał chłopak i, żeby lepiej widzieć, puścił się
prawą ręką drzewa i do czoła ją od słońca przystawił.

— Co tam widzisz? — zapytał oficer.

Pochylił się chłopak nieco ku niemu, i, osłoniwszy rę-
ką usta z jednej strony, żeby głos łatwiej szedł, odpowie-
dział:

— Dwóch ludzi konnych na wielkim gościńcu.

— Daleko?

— Będzie z pół mili.

— Ruszają się?

— Nie. Stoją.

— I co jeszcze widzisz? — zapytał oficer po chwili mil-
czenia. — Patrz teraz wprawo!

Chłopiec odwrócił się wprawo, potem rzekł:

— Niedaleko cmentarza, pomiędzy drzewami coś
błyszczycy... Coś jakby bagnety...

— A ludzi widzisz?

— Nie. Pewno się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który, przesywając
wysoko powietrze, daleko gdzieś poza domem skonał.

— Złaż, chłopcze! — krzyknął oficer. — Dojrzeli cię.
Nie chcę już nie więcej! Złaż zaraz!

— Kiedy się nie boję!... — odkrzyknął malec.

— Złaż! — powtórzył oficer. — A co widzisz na lewo?

— Na lewo?

— Tak, na lewo!

Chłopiec obrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili
drugi świst, ostrzejszy i niżej, przeszył powietrze. Chło-
pak wstrząsnął się cały.

— Do kaduka! — zawołał. — Mierz! we mnie jak w dro-
zda... Kulka przeleciała tuż, tuż...

— Złaż! — krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

— Zaraz zleżę! — odrzekł chłopiec. — Tylko żem się
o gałąź zahaczył, proszę pana. Na lewo, chciał pan wie-
dzieć?...

— Na lewo, ale złaż! — krzyknął oficer.

— Na lewo — zawołał chłopiec, odwracając się pierśią
w tę stronę — tam, gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem, i nagle
chłopak począł lecieć na dół, chwytając się gałęzi, poczem
spadł głową na dół, z otwartymi ramionami.

— Przekleństwo! — krzyknął oficer, skoczywszy ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko rozrzuconemi rękami, nieprzytomny. Krew cienkiem pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. A już wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli z koni. Schylił się oficer, rozerwał chłopcu koszulę — kula karabinowa przeszła mu lewe płuco.

— Nie żyje! — krzyknął oficer.

— Owszem, żyje! — odrzekł stary wachmistrz.

— Ach, biedny, dzielny chłopcze! — wołał oficer. — Odwagi! Odwagi!

A gdy tak mówił: odwagi, i przyciskał mu swoją chustką ranę, chłopczyną przymknął oczy i opuścił głowę. Umarł.

III.

Zbladł oficer i patrzył na niego przez chwilę, potem miękko położył mu głowę na trawie, podniósł się, stanął nad nim i znów patrzył. Wachmistrz i dwaj żołnierze patrzyli także na chłopca, stojąc nieruchomo. Inni zaś zwróceni byli ku nieprzyjacielowi!

— Biedny chłopczyną! Biedne, dzielne dziecko! — powtarzał oficer smutnie.

Poczem zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią jak całunem małe, nieżywe ciało, zostawiając odsłoniętą twarz tylko. Wachmistrz położył przy zmarłym jego trzewiki, czapkę, kijek napół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, poczem oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł:

— Przysłemy po niego ambulans wojskowy. Zginął jak żołnierz. Pochowają go żołnierze. Będzie miał pogrzeb wojskowy!

To powiedziawszy, przesłał ręką pocałunek od ust umarłemu i krzyknął:

— Na koń!

Skoczyli wszyscy na siodła, oddział się połączył i ruszył w drogę.

A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe.

O zachodzie słońca posunęły się przednie strażę włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przebiegał z rana oddział kawalerji, posuwał się dwoma szeregami wielki bataljon bersaljerów¹⁾, którzy kilka dni przedtem mężnie zdobyli wzgórze św. Marcina.

Wiadomość o śmierci chłopca doszła już do tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili swój obóz. Ścieżyna, biegnąca wzdłuż jasnego strumienia, o kilka tylko kroków oddalona była od małego domku.

Więc kiedy pierwsi oficerowie tego bataljonu zobaczyli małego trupka, jak leżał u stóp drzewa, przykryty trójkolorowym sztandarem, oddali mu pokłon szpadami; jeden zaś z nich schylił się nad brzegiem strumyka, zerwał kilka kwiatów, których było tam pełno, i rzucił zmarłemu. Inni bersaljerzy, idąc, schylali się także, rwali kwiaty i rzucali je tak samo. W kilka minut ciało chłopczyny było nimi zupełnie pokryte, a oficerowie i żołnierze, idąc, mówili:

— Brawo, mały Lombardczyku!

— Żegnaj, chłopczyną!

— Żegnaj, złotowłoso!

— Niech żyje sława!

— Żegnaj, mały żołnierzu!...

Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zasługi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle na bosc nożyny, na piersi skrwawione, na jasną główkę jego. A on jak gdyby spał

¹⁾ Bersaljerzy — strzelcy piesi.

na trawie, otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy,
uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopczyzna
tę pośmiertną sławę i jak gdyby rad był, że oddał życie
za swoją Lombardję.

Edmund Amicis.

138. A jak poszedł... król

A jak poszedł król na wojnę, Stach śmiertelną dostał
Grały jemu surmy zbrojne, ranę,
Grały jemu surmy złote Król na zamek wraca
Na zwycięstwo, na ochotę... zdrowy.

A jak poszedł Stach na boje, A gdy wjeżdżał w jasne
Zaszumiały jasne źródle, wrota,
Zaszumiało kłósów pole Wyszła przeciw zorza złota,
Na tęsknotę, na niedolę... I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali, jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopcy.
Dzwoniły mu przez dąbro-
wę

Szumiały orły chorągwiane, Te dzwoneczki, te liljowe...
Skrzypi kędyś krzyż wios-
kowy.

Marja Konopnicka.

Czego więcej musi być w wojsku: wodzów, czy żołnierzy? Kto
ma trudniejsze na wojnie zadanie? Coby zrobił wódz bez żołnierzy?
A żołnierze bez wodza?

139. Polacy w Hiszpanji.

W noku 1808 Napoleon pusuwał wojska swoje w głąb
Hiszpanji, chcąc zająć miasto jej stołeczne — Madryt. Sta-

nał osobiście z armją pod wysokimi górami, które zasła-
niały tę stolicę, i postanowił przejść przez wązkie i strome
wąwozy Sommo-Sierra. Ale pozycja była tak warowna, że
zdobycie jej zdawało się niepodobnem. Była to droga
kręta, stroma, wykuta między wysokimi skałami. Na ka-
żdym jej załamku ustawiono po 4 armaty, a na samym
szczyście baterję z ośmiu dział.

Czternaście tysięcy Hiszpanów zajęło tę pozycję, z tem
przekonaniem, że nieprzyjaciel nie zdobędzie jej, że wszyscy
nacierający muszą zginąć, gdy się zapuszczą w wąwóz
między niedostępnymi skałami, w którym po dwóch stro-
nach byli zaczajeni żołnierze, gotowi gradem kul powitać
zuchwałych napastników.

Dnia 29 listopada 1808 r. o wschodzie słońca roz-
począł się bój.

Napoleon pchnął najpierw do walki piechotę fran-
cuską. Poszły pierwsze kolumny.

Armaty ryknęły ponuro, wślad za niemi padły
pierwsze, bezładne strzały tyraljerów¹⁾. Huk przeraźliwy
wstrząsnął powietrzem. Armaty grały coraz szybciej, co-
raz zajadlej. Hiszpanie razili ołowiem. Piechota francu-
ska topniała w ogniu, znacząc każdy krok krwawemi stru-
gami. Ale za tym pułkiem stał już drugi, za drugim trzeci,
za trzecim czwarty.

Pułki piechoty szły. Szły ponure, milczące, rozumie-
jąc, że na zgubę pewną idą, że nim zdołają do skał dotrzeć,
armaty nieprzyjacielskie zdziesiątkują je i zmiażdżą.

Napoleon stał pod drzewem, mierzył oczyma plac boju
i słuchał co chwila raportów ordynansów²⁾. Te brzmiały
wciąż jednakowo:

— Pułk zdziesiątkowany! Ogień nieprzyjaciela zabój-
czy! Dostępu niema!

¹⁾ Tyraljerzy — strzelcy, poprzedzający główną armję.

²⁾ Ordynans — żołnierz posłany z rozkazem.

II.

Nagle cesarz wskoczył na konia i ruszył ku górom. Za nim tuż poszedł trzeci szwadron¹⁾ szwoleżerów²⁾ polskich, prowadzony przez Koziętulskiego.

Napoleon minał idące do ataku pułki piechoty i zatrzymał się dopiero na szerokiej płaszczyźnie, zasianej ciałami poległych.

Tu rozproszone nieco dymy odsłaniały widok na ciemną gardziel wąwozu Sommo-Sierry, w głębi którego ustawiona baterja sypała zabójcze pociski.

— Ponowić atak! — zawołał cesarz, i świeży pułk piechoty porwał się z miejsca.

— Niech żyje cesarz! — huknęli żołnierze, przeciągając w pobliżu.

Pułk szedł hardo, z podniesionym orłem. Napoleon ścigał go wzrokiem. Widział, jak masy ciał słały się, jak ranni, wpół żywi darli się naprzód. Po chwili orzeł cesarski chwiał się już bezwładnie ponad cofającymi się szczątkami pułku.

Cesarz rzucił okiem w stronę, gdzie bielił się pas siwych płaszczów, a czerniały ceratowymi pokrowcami okryte ulanki Polaków.

— Szarża³⁾ natychmiast! Szwadron szwoleżerów! — zawołał.

Ordynans skoczył z rozkazem do Koziętulskiego. Ten dobył pałasza i zatoczył koniem przed szwadronem. W mgnieniu oka zwinęła się linja, wyciągnęła w czwórki. Szable błysnęły.

— W imię Boże, naprzód! — rozległ się stalowy głos Koziętulskiego. — Naprzód! Cesarz patrzy! — podniósł pałasz do góry i spał konia ostrogami.

— Niech żyje Napoleon! — huknęli szwoleżerowie i pochylili się w siodłach.

Szwadron sunął jak wichur ku ziejącej ogniem gardzieli. Z oczu żołnierzy tryskały iskry.

— Naprzód! — dźwięczał głos Koziętulskiego.

— Naprzód! — wołali kapitanowie Dziewanowski i Krasieński.

— Naprzód! — huczał ostatni żołnierz, idący na tyle plutonu¹⁾ Krzyżanowskiego.

Konie szły jak burza, jak wezbrany potok górski, jak lawina. Wyciągnęły szyje, rozwarły chrapy, ledwie ziemi dotykając kopytami.

A za nimi gonił wzrok cesarza, w którym było widać zdumienie i podziw.

Szwadron wpadł w wąwóz. Baterja hiszpańska, ustawiona na pierwszym skrócie, sypnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zważyło się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Koziętulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł. Dowódca stoczył się pod ścianę wąwozu.

— Na armaty, dzieci! Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

Szwoleżerowie wpadli na kanonjerów²⁾ hiszpańskich, zanim ci po raz drugi zdążyli podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach³⁾. Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszy zawadzając o kanonjerów. Czego nie dokonały cięcia, trątały konie.

III.

Gardziel wąwozu za pierwszą baterją zwężała się, tworząc zaciemniony korytarz, a wkońcu załamywała się

¹⁾ Szwadron — oddział kawalerji, od 100 do 200 ludzi liczący.

²⁾ Szwoleżery (chevaux légers) — lekka jazda.

³⁾ Szarża — atak, natarcie.

Pluton — oddział kilkunastu żołnierzy

Kanonjer — artylerzysta, żołnierz pilnujący działa.

³⁾ Laweta — osada armaty na kołach.

i znów się wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów broniła oddzielna baterja, zagradzała drogę i każda była dość silna, by atakowi stać czoło, by zetrzeć go na miazgę.

Wiedział o tem wódz hiszpański i spokojnie czekał za górą, rychło fala żołnierzy francuskich, szamocząca się u stóp Sommo-Sierry, odejdzie upokorzona. Gdy szwadron Koziatulskiego porwał się do szarży, uśmiechnął się pogardliwie... Lecząc ponad pierwszą przepłynął baterją, gdy w powietrzu rozległ się potężny okrzyk zwycięstwa, wódz hiszpański zbladł.

Szwadron pędził naprzód. Tych stu dwudziestu ludzi rzucało się na armję, na grad kul, na góry, na skały, na Sommo-Sierra.

Przed drugą baterją padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonjerów odłam skały uderzeniem w piersi zwałił z konia Piotra Krasińskiego. Dziesięciu żołnierzy okupiło drugą redutę¹⁾.

Dziewanowski prowadził dalej.

Na trzecim załamie ogień nieprzyjacielski wzmógł się, Kule zrywały szwoleżerom czapy, szarpały płaszcze i mundury na strzępy, raniły i zabijały konie, dziesiątkowały szeregi. Salwa była straszna. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozwiął, kanonjerzy leżeli stratowani, ale i Dziewanowskiego nie było na czele.

Za chwilę okrzyk przerażenia wydarł się z piersi broniących ostatniej reduty Hiszpanów. U stóp ich, na krańcach niezdobytego wąwozu, ukazały się szare płaszcze szwoleżerów polskich, i zanim zdolali lonty przyłożyć do dział, już krew zalała zagwożdżone armaty, a wielki, potężny okrzyk zwycięstwa: „Niech żyje cesarz!“ — obil się o zręby skał.

¹⁾ Reduta — mała fortyfikacja, obwiedziona wałem i rowem.

Wąwóz Sommo-Sierra był zdobyty, a resztki Hiszpanów uciekały ku Madrytowi. Plac boju opustoszał. Góry ucichły. Napoleon, otoczony sztabem¹⁾, wjechał na pobojowisko, oglądając uważnie wąwóz. W oczach miał dumę zwycięzcy, ale i podziw, i cześć dla tych, którzy to miejsce zdobyli.

Drz.

Jakimi cnotami Polacy mogą się pochwalić? A jakie mają wady?

140. Opowiadanie wiarusa.

W Sommo-Sierra są wąwozy; Ale nasi nie folgują,
Napoleon wiódł obozy, Choć armaty strasznie grały;
A że chłodne były ranki, Ogień bucha: co wypala,
Dalej ja tu do blaszanki. To się ludzie z koni wala.
A gdy piję zdrowia dwoje: Z Koziatulskim szarżowali,
Napoljona, potem swoje, Bułanego mu zabili,
Słyszę: trąbka gra sygnały, Pióro z czapki ustrzelili —
Konie tu już to tak znały, Wziął innego, dalej, dalej!
Stępa, stępa to — jak dzieci. Kule się jak grad sypały,
Wtem od sztabu ktoś nad- W jego szablę uderzały.
leci, Dobrze mówią, że nie minie,
Koziatulski, znałem jego, Kto ma zginąć, to i zginie,
Miał konika bułanego, A kto nie — to ujdzie cały.
Dobyl szabli: „Szwoleżery „Dalej wiara!“ — i kamraty
Hej, wiarusy, dalej w klusy, Już wpadają na armaty;
A dobędziem Sommo-Sierry! Słońce jakby po to wstało,
Niema strachu na Mazura, By zwycięstwo oświecało.
Dalej, chłopcy, za mną, hura! I tak nasze szwoleżery
Stroma ścieżka między skały. Wzięły szaniec²⁾ Sommo-
Kirasjery rejterują, Sierry.

¹⁾ Sztab — zbiór wyższych oficerów.

²⁾ Szaniec — okop.

Dziewanowski wtedy zginął, I że, wodzu, dłonie twoje
 Coszalonem męstwem słynał, Zamkną zgasłe oczy moje!“
 Cesarz był przy jego zgonie, Gdybyć wtedy człowiek zgi-
 Dłoń stygnącą wziął w swe nał,
 dłonie, Dużo biedyby ominął,
 A on rzecze: „Błogosławie I nie wiedział przyszłej doli.
 Mojej śmierci, gdy wzrok Miło zginąć z tą nadzieją,
 widzi, Że się Polsce losy śmieją—
 Ze się Polak nie powstydy, A dziś... oj! to serce boli!
 Ze to nasi w takiej sławie,

Teofil Lenartowicz.

Porównaj to opowiadanie z poprzedzającym.

141. Palona kawa.

Podczas wojny z Anglią Napoleon, chcąc ten kraj zu-
 bożyć, zabronił kupowania towarów kolonialnych¹⁾ i kazał
 spalić wszystkie, jakie były w portach francuskich.

Razu jednego, przejeżdżając konno w pobliżu wiej-
 skiej plebanji, Napoleon poczuł mocny zapach palonej
 kawy.

— He, he! — zawołał cesarz — otóż i kontrabanda²⁾.
 Musimy wstąpić do proboszcza, aby to sprawdzić na
 miejscu.

To mówiąc, z adjutantem wchodzi na plebanję i za-
 staje proboszcza właśnie z piecykiem w ręku.

— Piękny przykład, niema co mówić! — woła ce-
 sarz — cóż to jegomość robisz?

— Spełniam wolę twoją, najjaśniejszy panie — od-
 parł spokojnie proboszcz — i palę towary kolonialne.

¹⁾ Towary kolonialne (kawa, herbata, korzenie) i sprowadzała
 wtedy Anglia i prowadziła nimi handel z Europą.

²⁾ Kontrabanda — przewożenie (przemycanie) do kraju zakaza-
 nych towarów. Kontrabandzista — przemytnik.

142. Bój pod Lipskiem (1813, 10, X).

Poczerwiała orły złote, Zaslaniają go tam nasze,
 Orły Francji poczerwiała¹⁾, Tak z pod Lipska uszły cało,
 Skrwawil jasne swoje pióra Tak ich nakrył swoją chwa-
 I nasz srebrny orzeł biały! łą,
 — Dalej, dalej, orły moje, Swojej szabli błyskawicą
 W nowe trudy, w nowe boje, Książę Józef z swą konnicą
 W słońcu chwały wam wy- Przez Elsterę idą hasi,
 złościć, A wtem most zapalał Sasi.

Wysłonecznić pióra swoje! — Już odcięta dla nas droga,
 Rzekł Napoljon, ręką skinął, Hufce polskie — w mocy wro-
 Resztę armji swej rozwinął; ga.
 A z nim losy swoje wiąże Książę Józef w nurty spoj-
 Poniatowski Józef książę. rzał.

Pod Lipskiem się Sasy bro- W bok rumaka wbił ostro-
 nią, gę:
 Nad Elstery modrej tonia, — Bóg mi honor dał Pola-
 Nad Elstery modre wody ków,
 Ciągnie nasz bohater mło- Bogu tylko zdać go mogę! —
 dy! Ściągnął uzdę, szablą blis-
 nał,

Już jesienne słońce wstało, Wzniósł ku niebu modre
 W nurtach rzeki się prze- rzało.
 Poniatowski się tam bije — Za mną, wiaro moja! —
 I Francuzów odwrót kryje. krzyknie

Napoljońskie sławne rot, I w spienione nurty skoczy.
 I konnice i piechoty Poniosły go wody sine,
 Cofają się w głuchej ciszy, W głąb śmiertelną go po-
 Nikt tam strzału nie dosłyszy niosły,
 Wyczerpany, w głodzie, A gdzie zginął nasz bohater,
 w znoju, Smutne wierzby tam wy-
 Nie ma Francuz już naboju, rosły.

Tylko piersi i pałasze

Jan Sawa.

¹⁾ Po wielu zwycięstwach zaczął Napoleon przegrywać.

143. U Niemcewicza.

(Wyjątek z listu).

Jednego poranku przyjechał do mnie Potocki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicza; muszę więc Mamie opisać tę wizytę.

Ursynów leży o małą milkę od Warszawy, za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka, jeziorna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z nowym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto, niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już dom poety: nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem. Zbliżaliśmy się pieszo, z sercem skruszonym; przywitał nas dosyć obojętnie, ułożyłem mu jakiś na prędce komplement, który przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. — O źle! — myślałem sobie — na toż przyjechałem tutaj, żebym mu pokazywał? Szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. „Panie hrabio, — rzekł do Potockiego — wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać“. To mówiąc, uklonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie.

Śliczny Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu, podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego

jednak napisu nie widać, bo je staruszek ścierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. P. stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę. „Myślę, — odpowiedziałem mu — iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz: słodko, przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy, odpocznie na starość w tak cichym dworku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie“.

Wtem lokaj, przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolnić z sobą. Jedna z nich przy gościach mówiła mu kilka razy: „Pan jesteś tak głupi, jak ja“. A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: „kto jesteś?“ odpowiedziała: „żona panowa“. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na wypadek w trzeci akt tragedji (*Mindowe*¹⁾); na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony, gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego popatrzyło się, widać było znacznie nateżoną uwagę, popatrzał mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi, najeżonymi

¹⁾ *Mindowe* — Mendog, książę litewski,

brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: „Ach, czemuż tej tragedji grać nie można!“ Ten wykrzyknik bardziej mi pochlebił, niż wszystkie potem dawane pochwały. Czytam dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent, i duch obywatelski utrzyma“. Potem dodał: „Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk; warto, niech czeka szczęśliwszych czasów, chciałbym ją całą czytać“... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca“. Prawda, jak to po staropolsku?... Otóż cała wizyta.

Juljusz Słowacki.

Jakie znasz poezję Niemcewicz, a jakie Słowackiego? Co wiesz o Niemcewiczu?

144. Hymn o zachodzie słońca.

Smutno mi, Boże! dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazuruwej wodzie
Gwiazdę ognistą.

Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski.

Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkiem morzu oblakany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem

Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.

Zem je znał niegdyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.

Więc, że modlitwa dziecka nie nie może,
Smutno mi, Boże!

Juljusz Słowacki.

Jakie uczucia ten wiersz wyraża?

145. „Niech się dzieci moje kochają”.

(Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu).

I.

Było to w roku 1855-ym. Mickiewicz już od lat dwudziestu kilku przebywał poza granicami kraju, pożerany tęsknotą, trawiony gorączką pracy dla jego wolności, wicznie oczekując chwili, w której ta upragniona wolność miała się urzeczywistnić. I zdawało mu się, że tej chwili szczęśliwej doczekał.

W roku 1854-ym na Wschodzie zerwała się burza... Nad morzem Czarnem zagrzmiały działa, rozpoczęła się wielka wojna Turcji, Anglii i Francji przeciw Rosji.

Wśród Polaków emigrantów z r. 1831-go odżyły dawne nadzieje. Jak niegdyś za Napoleona I-go, tak wówczas w Bułgari, do Turcji wtedy należącej, poczęto formować legjony polskie, aby z nimi wkroczyć do kraju.

Mickiewicz, pełen głębokiej wiary w szczęśliwy dla Polski koniec „wojny krymskiej“, od dawna rwał się na

Wschód, gdzie trzeba było godzić waśnie, zachęcać do wytrwałości i męstwa.

Znękany niedawną śmiercią żony, niepewny o los drobnych dzieci, złożył troski osobiste na ołtarzu ofiarnym Ojczyzny i w końcu września przybył do Konstantynopola, skąd udał się natychmiast do obozu polskiego pod Burgas. Tu cieszył się widokiem rodaków, objeżdżał obóz, odbywał mustry, ale zarazem gryzł się niezgodą wodzów, która jak przekleństwo zda się ciążyć na wszelkich naszych sprawach publicznych.

W połowie października powrócił do Konstantynopola, gdzie w szczupłym kółku rodaków, wśród których najbardziej mu oddanymi byli Henryk Służalski i Żyd z pochodzenia, a Polak z duszy — Armand Lewi.

Zamieszkał Mickiewicz na przedmieściu Jeniszeri, w dzielnicy nizinnej, pełnej niezdrowych wyziewów. Wynajął sobie obszerny pokój od niejakiego Rudnickiego, u którego też się stołował. Przyrządzano tam na obiady barszcze, kapuśniaki, kołduny, bigos i inne potrawy, które Adamowi ojczyznę przypominały, ale na on czas nie były zdrowemi.

W Konstantynopolu panowała cholera...

26 listopada z rana — czytamy w jednym ze wspomnień — Mickiewicz uczuł się niezdrowym, dostał mdłości, które jednak prędko przeszły. W południe powtórzyły się jeszcze raz, lecz nikt nie podejrzewał strasznej choroby. Około godziny czwartej pojawiły się kurcze: nie było wątpliwości — cholera. Chory opadał na siłach, chciał Służalskiemu dyktować testament — już nie mógł. Kazał iść po księdza „Litwina“ (był taki, znajomy, ksiądz Ławrynowicz), ale gdy przyszedł, już konający stracił mowę. Ostatnie jego słowa, do Służalskiego wymówione, były: „Powiedz moim dzieciom, niech się kochają zawsze“. Skończył o godzinie 8-ej minut 40 wieczorem.

II.

Ciało wieszczą, ubrane w polską czamare, złożono na środku izby w trumnie dębowej, przy której kolejno czuwali nieodstępni przyjaciele — Służalski, Lewi i inni rodacy. W parę dni potem odwiedził zwłoki Adama Teodor Tomasz Jeż, który w sprawach Polski wtedy również w Konstantynopolu przebywał.

„Poszliśmy we dwóch — pisze Jeż — Kozłowski i ja. Na pierwszym piętrze otworzył nam Rudnicki na klucz zamknięty pokój.

Nie zdołałem opisać uczucia, z jakim przestępowałem próg izby, służącej za schronienie dla martwych szczątków człowieka, dla którego cześć, nakształt czci religijnej, w duszę moją od dzieciństwa wrosła. Wchodziłem na palcach, z głową pochyloną, z pokorą, co w dół mnie gnioła, jak się do świątyni wchodzi. W postawie modlitewnej stanąłem i w milczeniu słuchałem Rudnickiego, który mi półgłosem opowiadał o trumnie potrójnej: wewnętrznej oławianej i dwóch zewnętrznych drewnianych.

Oblicza Mickiewicza i po śmierci nie oglądałem. Widziałem jeno trumnę ogromną, dębową, okutą, zaśrubowaną i zaopatrzoną w antaby¹⁾ mosiężne. Spoczywała na środku izby, na stołkach. Nie przykrywał jej całun, nie powlekała farba, nie otaczały światła, nie było przy niej nikogo. Zajmowała środek izby, w której sprzęty i meble pozostały tak, jak za życia wielkiego nieboszczyka.

Stałem długo przed trumną jego w pokorze ducha, zdjęty skrucą głęboką.

W dni parę później rozeszła się między nami wiadomość, że, stosownie do ostatniej nieboszczyka woli, ciało jego przeniesione zostanie do Francji, i że na przeniesienie to nadeszło ze strony rządu francuskiego pozwolenie.

¹⁾ Antaba — rękojeść, rączka do trzymania.

O godzinie oznaczonej, przed dom, w którym ciało leżało, zgromadzili się przebywający w Konstantynopolu Polacy. Zebrało się nas sporo cywilnych i wojskowych, — ludzi kilkuset. Ze Skutari nadciągnął oddział piechoty pod bronią, z oznakami żałoby na karabinach, z bębnami, krepą osłoniętymi. Wązka a kręta ulica zapechana była ludem, wśród którego widzieć się nie dawał inny, aniżeli polski żywioł. Wydało się, że sami jeno polacy odprowadzają pochodem pożegnalnym zwłoki poety swego, celem wyprawienia ich na spoczywanie wieczne. Czekaliśmy na karawan.

Karawan nadciągnął i przede drzwiami się zatrzymał. Stałem nieopodal. Widziałem, jak wyniesiono z wysiłkiem niemałym trumnę wielką, przy której w mundurach czerwonych i w granatowych z wyłogami kurtach obsługę czynili Służalski i Lewi. Wyniesiono trumnę, okryto ją całunem; — eskorta wojskowa uszykowała się we dwa po dwóch stronach karawanu szpalery, bęben się głucho odezwał, wóz ruszył i w chwili tej na przodzie, przed orszakiem księży, słyszeć się dały tony ponure marsza pogrzebowego. Kolonja włoska ofiarowała się z popędu własnego a bezinteresownie w sposób ten złożyć hold i oddać usługę ostatnią nieboszczykowi.

Dzień był grudniowy, posępny, mglisty, mgła niekiedy zmieniała się w drobniuchny deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalewało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depeząc błoto i moknąc, posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem ulicami wązkiemi wydobywał się z niziny jenniszerskiej pod górę perotską, i kiedy na górę wyciągnął, odsłonił się oczom naszym widok, o ile niespodziewany, o tyle rzewny. Wydało się nam, jakem rzekł wyżej, żeśmy sami Polacy. Pokazało się, żeśmy się mylili. Poza nami niby rzeka, ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanaми czarnymi. Okiem ich ogarnąć nie można było; czoło ko-

lumny tej nas dotykało, koniec gubił się gdzieś w dali nie-dojranej. Ludzie szli w milezeniu, w skupieniu ducha, znamionującym udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy.

Nie sami jednak oni z pośród ludności, Konstantynopol zamieszkującej, na eksportację się stawili. Nie było jeno Turków; okrom nich atoli wszystkie zresztą narodowości miały swoich w szeregu pogrzebowym przedstawicieli. Widziałem: Serbów, Dalmatów, Czarnogórców, Albańczyków, Greków, Włochów. Bułgarzy zeszli się najliczniej.

Na ulicy Pera, nieopodal od gmachu ambasady rosyjskiej, znajduje się zamaskowany od frontu domami kościoł katolicki. Przed kościołem karawan się zatrzymał. Wniesiono do środka trumnę. Setna część ludzi wcisnąć się za nią i wysłuchać nabożeństwa żałobnego nie mogła. Reszta w szeregach ścieśnionych, w błocie i na wilgoci przed kościołem czekała, aż się ceremonia religijna skończyła i wóz ruszył. Znowuśmy szli za trumną orszakiem ogromnym przez Perę, Galatę do Tofane, gdzie się znajdowała przystań dla kaików i łodzi, obsługujących statki, do Konstantynopola przybywające i z Konstantynopola odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, zawczasu na cel ten zamówioną; w łodzi ulokowali się ksiądz w komeżce, z krzyżem w ręku, i osób kilka. Widziałem ją, jak odpłynęła, i żal mi taki serce ścisnął, jakby ta łódź uwodziła istotę, z którą istotą moją żyłem się całkowicie. Czyż nie tak jest? Czyż wśród nas, obecnie nawet po upływie tylu lat od zgonu Mickiewicza, znajdzie się człowiek piśmienny, coby z nim żyty nie był?”

III.

Po przybyciu do Francji, zwłoki Adama po uroczystem nabożeństwie złożono w Montmorency pod Paryżem,

na cmentarzu emigracyjnym, obok grobu Juljana Niemcewicza.

I leżały te drogie szczątki Wieszcza-tulacza na obcej ziemi aż do roku 1890, gdy za synowską myślą polskiej młodzieży akademickiej w dniu 4-ym lipca uroczyste, wobec przedstawicieli całego narodu polskiego, złożone zostały na Wawelu, w grobach królewskich...

Ilekróć wśród uroczystej ciszy podziemi wawelskich z sercem ściśnionem podchodzę do kamiennego grobowca Wieszcza, zda mi się, że słyszę z tej piersi nieśmiertelnej ulatujące ostatnie słowa:

„Niech się dzieci moje kochają!”

M. Brzeziński.

Jak mamy rozumieć i wypełniać tę ostatnią wolę Mickiewicza?

146. Z „Pana Tadeusza”.

Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powróciś cudem na Ojczyzny łono!...
Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;

	Str.		Str.
40. Dwór wiejski. <i>A. Mickiewicz</i>	85	65. Sosna. <i>L. Kondratowicz</i>	145
41. Izba wiejska. <i>M. Konopnicka</i>	87	66. Zawisza Czarny. <i>J. Niemcewicz</i>	145
42. Wiochna. <i>T. Lenartowicz</i>	91	67. Tatry. <i>C. B.</i>	148
43. Woda i wino. <i>I. Krasicki</i>	94	68. Tatry. <i>W. Pol</i>	150
44. Co Kurta robił w podwórku? <i>M. Konopnicka</i>	94	69. Przygoda w podróży. <i>H. Sienkiewicz</i>	152
45. Chłopski koń. <i>M. Konopnicka</i>	100	70. Wschód słońca. <i>A. Mickiewicz</i>	155
46. Koń, który chodził własnymi drogami. <i>R. Kipling</i>	101	71. Z opowiadań Sabaly. <i>Z. Urbanowska</i>	156
47. Pogrzeb Filusia. <i>I. Krasicki</i>	107	72. Dolina Kościeliska. <i>S. Goszczyński</i>	159
48. Roześmiała mi się dusza. <i>El.</i>	109	73. Szklana góra. <i>K. W. Wójcicki</i>	160
49. Wieczór w lesie. <i>H. Sienkiewicz</i>	110	74. Limba. <i>K. Tetmajer</i>	163
50. Nocleg na paszy. <i>L. Kondratowicz</i>	112	75. Legenda słowacka. <i>W. Karoli</i>	164
51. Czarnoziem. <i>M. Heilpern</i>	116	76. Czego chcesz od nas, Panie. <i>J. Kochanowski</i>	166
52. Wstań, o dziecię. <i>M. Konopnicka</i>	118	77. W puszczy Białowieskiej. <i>H. Sienkiewicz</i>	167
53. Wet za wet	119	78. Poręby. <i>H. Stettlerówna</i>	169
54. Przysłowia gospodarskie	120	79. Puszczanie. <i>H. Sienkiewicz</i>	171
55. Święta miłości. <i>I. Krasicki</i>	121	80. Kurpie. <i>M. Morzkowska</i>	173
56. Przyroda naszego kraju z przed lat 1000. <i>S.</i>	121	81. Przygoda <i>M. Strykowski</i> . <i>K. Hoffmanowa</i>	174
57. Rzeki, wpadające do Wisły. <i>Deotyma</i>	123	82. Na stawie. <i>K. Gliński</i>	177
58. Mazury. Według <i>J. Karłowicza</i>	126	83. Rzeczpospolita Babińska. <i>Ł. Gołębiowski</i>	178
59. Mazur. <i>W. Pol</i>	127	84. Karliński. <i>A. Pajgert</i>	180
60. O śpiących rycerzach w Tatrach. <i>J. Kasprowicz</i>	129	85. Stałość Regulusa. <i>J. Chęciński</i>	182
61. Rycerze. <i>A. Pajgert</i>	134	86. Duma o Żółkiewskim. <i>J. Niemcewicz</i>	184
62. Kraków. <i>C. B.</i>	135	87. Z życia Aleksandra Wielkiego. Według <i>Krasnowolskiego</i>	187
63. Dzwon Zygmunta <i>E. Wasiński</i>	139	88. Złoto i żelazo. <i>J. Niemcewicz</i>	187
64. Z ptasiej niedoli. <i>A. Dygański</i>	140		

	Str.		Str.
89. Stefan Czarniecki. <i>C. B.</i>	188	115. Lew chory. <i>I. Krasicki</i>	243
90. Śmierć Czarnieckiego. <i>A. Czajkowski</i>	192	116. Upał. <i>H. Sienkiewicz</i>	243
91. Z pamiętników Paska. <i>A.</i>	194	117. Przed burzą. <i>G. Zieliński</i>	245
92. Trzech Budrysów. <i>A. Mickiewicz</i>	198	118. Polowanie na tygrysa. <i>Z Brehma</i>	246
93. Mucjusz Scewola. <i>J. Chęciński</i>	199	119. Małpa. <i>J. Massalski</i>	247
94. Trzeci szturm do Stawiszcz. <i>B. Zaleski</i>	201	120. Tygrysica Nerona. <i>J. Chęciński</i>	248
95. Męstwo Zagłoby. <i>H. Sienkiewicz</i>	204	121. Słoń. <i>M. Brzeziński</i>	250
96. Powitanie. <i>Jaśkowski</i>	209	122. Zachód słońca. <i>A. Mickiewicz</i>	253
97. Ocalenie Trębowli. <i>H.</i>	211	123. Dbalność ptaków o gniazda. <i>Z B. Dyakowskiego</i>	254
98. Dziewczę polskie. <i>L. Jabłonowski</i>	213	124. Ptactwo. <i>W. Pol</i>	256
99. Ptaszki w klatce. <i>I. Krasicki</i>	214	125. Puhacz. <i>B. Dyakowski</i>	256
100. Krzysztof Kolumb. Według <i>A. Potockiego</i>	214	126. Zając i żaba. <i>A. Mickiewicz</i>	259
101. Chmury. <i>A. Mickiewicz</i>	218	127. Do ziemi wiecznych lodów. <i>Z Umińskiego</i>	260
102. Lasy i łąki morskie. <i>M. Brzeziński</i>	219	128. Człowiek i zdrowie. <i>I. Krasicki</i>	264
103. Stary rybak. <i>K. Gliński</i>	220	129. Z opowiadań Eskima	265
104. Wieloryb. <i>M. Brzeziński</i>	222	130. Żółw i mysz. <i>I. Krasicki</i>	269
105. Zdaleka. <i>L. Rydel</i>	225	131. W domu japońskim. <i>Z. K.</i>	269
106. Świerk i brzoza. <i>C. N.</i>	225	132. Dumka wygnańca. <i>T. Lenartowicz</i>	271
107. Pod lasem. <i>M. Konopnicka</i>	227	133. Gospodarstwo Kościuszki. <i>C. B.</i>	272
108. Na niedźwiedzia! <i>H. Sienkiewicz</i>	228	134. Zgon Mohorta. <i>W. Pol</i>	274
109. Zając i niedźwiedź. <i>F. Morawski</i>	232	135. Na Bielanych. <i>C. N.</i>	278
110. Step na wiosnę. <i>H. Sienkiewicz</i>	233	136. W maju. <i>L. Rydel</i>	281
111. Uciezka. <i>G. Zieliński</i>	234	137. Mała wideta lombardzka. <i>E. Amicis</i>	282
112. W puszczy meksykańskiej. <i>W. Anczyc</i>	236	138. A jak poszedł król na wojnę... <i>M. Konopnicka</i>	288
113. Obrazek. <i>K. Gliński</i>	240	139. Polacy w Hiszpanji. <i>C. B.</i>	288
114. Spotkanie z lwem. <i>Z Brehma</i>	241	140. Opowiadanie wiarusa. <i>T. Lenartowicz</i>	293
		141. Palona kawa. <i>C. B.</i>	294

	Str.		Str.
142. Bój pod Lipskiem. <i>M. Konopnicka</i>	295	145. Niech się dzieci moje kochają. <i>M. Brzeziński</i>	299
143. U Niemcewicza. <i>J. Słowacki</i>	296	146. Wyjątek z „Pana Tadeusza”	304
144. Smutno mi, Boże. <i>J. Słowacki</i>	298		

Spis rzeczy podług treści.

1. Proza opowiadająca.

Opowiadania i obrazy historyczne, pamiętniki, życiorysy, podróże, obrazy z życia zwierząt i t. p.

Z życia młodej Polki. <i>Hoffmanowa</i>	12
Z ptasiej niedoli. <i>A. Dygański</i>	140
W puszczy Białowieskiej. <i>H. S.</i>	167
Rzeczpospolita Babińska. <i>C. B.</i>	178
Stefan Czarniecki. <i>C. B.</i>	188
Z pamiętników Paska. <i>A. Potocki</i>	194
Ocalenie Trębowli. <i>A. Potocki</i>	211
Krzysztof Kolumb. <i>A. Potocki</i>	214
Wieloryb. <i>M. Brzeziński</i>	222
Spotkanie z lwem. <i>Brehma</i>	241
Słoń. <i>M. Brzeziński</i>	250
Puhacz. <i>B. Dyakowski</i>	256
Do ziemi wiecznych lodów. <i>Z Umińskiego</i>	260
W domu japońskim. <i>Z. K.</i>	269
Gospodarstwo Kościuszki. <i>C. B.</i>	272

Na Bielanych. <i>C. N.</i>	278
Polacy w Hiszpanji. <i>Drz.</i>	288
U Niemcewicza. <i>Słowacki</i>	296
Niech się dzieci moje kochają. <i>M. Brzeziński</i>	299

2. Proza opisowa.

Opis właściwy i opis piękny, charakterystyka.

Przytułek noclegowy. <i>Z. Bukowicka</i>	50
Izba wiejska. <i>M. Konopnicka</i>	87
Wieczór w lesie. <i>H. Sienkiewicz</i>	110
Przyroda naszego kraju z przed lat 1000. <i>S.</i>	121
Mazury. Według <i>J. Karłowicza</i>	126
Kraków. <i>C. B.</i>	135
Tatry. <i>C. B.</i>	148
Puszczanie. <i>H. Sienkiewicz</i>	171
Stefan Czarniecki. <i>C. B.</i>	188
Lasy i łąki morskie. <i>M. Brzeziński</i>	219

Wieloryb. <i>M. Brzeziński</i> . . .	222
Step na wiosnę. <i>H. Sienkiewicz</i> . . .	233
Upał. <i>H. Sienkiewicz</i> . . .	243
Polowanie na tygrysa w Indjach. <i>Brehm</i> . . .	246
Słoń. <i>M. Brzeziński</i> . . .	250

3. Proza rozumująca.

Rozprawki etyczne i przyrodnicze, porównania, odezwy.

Szkoła. <i>E. Amicis</i> . . .	2
Ptaki i dzieci. <i>C. N.</i> . . .	24
List do kolegi. <i>C. N.</i> . . .	32
Przyjaciele robotnicy. <i>E. Amicis</i> . . .	49
Na pasterce. <i>Z. Bukowiecka</i> . . .	78
Czarnoziem. <i>M. Heilpern</i> . . .	116
Świerk i brzoza. <i>C. N.</i> . . .	225

4. Proza epiczna.

Powiastrki, obrazki, opowiadania historyczne, podania, baśnie, legendy, przypowieści, anegdoty i t. p.

a) *Mową niewiązaną.*

Józio. <i>B. Prus</i> . . .	5
Nauka małego Chińczyka . . .	16
Młody Amerykanin. <i>M. G.</i> . . .	19
Wychowanie małych bocianów. <i>A. Dygasiński</i> . . .	28
Zabawa dziecięcą. <i>S. Słowacki</i> . . .	3

Mali niewidomi. <i>E. Amicis</i> . . .	38
W terminie. <i>W. Kosiakiewicz</i> . . .	44
Zdarzenie prawdziwe. <i>Z. Bukowiecka</i> . . .	54
Miłość bliźniego . . .	58
Przypowieść o talentach . . .	60
Kamienie wyklęte. <i>W. Sz.</i> . . .	61
Faryzeusz i celnik. <i>Serwat.</i> . . .	66
Omyłka, błąd i fałsz . . .	67
Wagi Ofira. <i>B. Prus</i> . . .	70
Anielka. <i>B. Prus</i> . . .	80
Co Kurta robił. <i>M. Konopnicka</i> . . .	94
Kot, który chodził własnymi drogami. <i>R. Kipling</i> . . .	101
Wet za wet . . .	119
O śpiących rycerzach w Tatrach. <i>J. Kasprówic</i> . . .	129
Przygoda w podróży. <i>H. S.</i> . . .	152
Z opowiadań Sabaly . . .	156
Szklana góra. <i>K. W. Wójcicki</i> . . .	160
Legenda słowacka. <i>W. Karoli</i> . . .	164
Przygoda Macieja Strykowski. <i>K. Hoffmanowa</i> . . .	174
Stalność Regulusa. <i>Chęciński</i> . . .	182
Z życia Aleksandra Wielkiego. Według <i>Krasnowolskiego</i> . . .	187
Mucjusz Scewola. <i>J. Chęciński</i> . . .	199
Męstwo Zagłoby. <i>H. Sienkiewicz</i> . . .	204
Na niedźwiedzia! <i>H. S.</i> . . .	228
W puszczy meksykańskiej . . .	236
Tygrysica Nerona . . .	248
Z opowiadań Eskima . . .	265
Mała wideta lombardzka. <i>E. Amicis</i> . . .	282
Łona kawa . . .	294

b) *Mową wiązaną.*

Obrazki, legendy, ballady, śpiewy historyczne, dумы.

Święta toga. <i>W. Pol.</i> . . .	53
Za służbą. <i>K. Ujejski</i> . . .	56
Ksiądz definitor. <i>L. Kondratowicz</i> . . .	75
Dwór wiejski. <i>A. Mickiewicz</i> . . .	85
Pogrzeb Filusia. <i>I. Krasicki</i> . . .	107
Nocleg na paszy. <i>L. Kondratowicz</i> . . .	112
Rzeki, wpadające do Wisły . . .	123
Dzwon Zygmunta. <i>E. Wasilewski</i> . . .	139
Sosna. <i>L. Kondratowicz</i> . . .	145
Zawisza Czarny. <i>I. Niemcewicz</i> . . .	145
Karliński. <i>A. Pajgert</i> . . .	180
Duma o Stanisławie Żółkiewskim. <i>J. Niemcewicz</i> . . .	184
Śmierć Stefana Czarnieckiego. <i>A. Czajkowski</i> . . .	192
Trzech Budrysów. <i>A. Mickiewicz</i> . . .	198
Trzeci szturm do Stawiszcz. <i>B. Zaleski</i> . . .	201
Powitanie. <i>J. N. Jaśkowski</i> . . .	209
Dziewczę polskie. <i>L. Jabłonowski</i> . . .	213
Stary rybak. <i>K. Gliński</i> . . .	220
Zgon Mohorta. <i>W. Pol.</i> . . .	274
Opowiadanie wiarusa. <i>T. Lenartowicz</i> . . .	293
Bój pod Lipskiem. <i>M. Konopnicka</i> . . .	295

5. Poezja liryczna i liryczno-opisowa.

Pieśń, dumka, oda, hymn; liryka opisowa i liryka dydaktyczna.

Dziecięce lata. <i>L. Siemieński</i> . . .	1
Praca. <i>Wł. Belza</i> . . .	4
Ciche wzgórze. <i>A. Asnyk</i> . . .	11
Dziewczyna. <i>T. Lenartowicz</i> . . .	14
Nie daj mi, Boże! <i>Z. Zacharkiewiczówna</i> . . .	28
Letni wieczór. <i>A. Asnyk</i> . . .	31
Z pamiętnika Zofji. <i>J. Słowacki</i> . . .	37
Słonko. <i>A. Asnyk</i> . . .	43
Szopka. <i>Or-Ot</i> . . .	48
Chrystus z nami. <i>A. Czajkowski</i> . . .	61
Co jabym ci chciała dać? <i>N. Żmichowska</i> . . .	69
Wiochna. <i>T. Lenartowicz</i> . . .	91
Chłopski koń. <i>M. Konopnicka</i> . . .	100
Roześmiała mi się dusza . . .	109
Wstań, o dziecię... <i>M. Konopnicka</i> . . .	118
Święta miłości. <i>I. Krasicki</i> . . .	121
Mazur. <i>W. Pol.</i> . . .	127
Rycerze. <i>A. Pajgert</i> . . .	134
Tat... <i>W. Pol.</i> . . .	148

Chmury. A. Mickiewicz . . .	218
Zdaleka. L. Rydel	205
Pod lasem. M. Konopnicka . .	227
Ucieczka. G. Zieliński	234
Obrazek. K. Gliński	240
Przed burzą. G. Zieliński . .	245
Zachód słońca. A. Mickiewicz	253
Dumka wygnańca. T. Lenartowicz	271
W maju. L. Rydel	281
A jak poszedł król na wojnę... M. Konopnicka	283
Smutno mi Boże... J. Słowacki	298
Z „Pana Tadeusza“	304

6. Piosenka dydaktyczna.

Bajki, przysłowia.

Osiel i lew	1
Mądry i głupi. I. Krasicki . .	1
Przyjaciele. I. Krasicki . . .	2
Woda i wino. I. Krasicki . . .	1
Przysłowia gospodarskie . . .	1
Złoto i żelazo. J. Niemcewicz .	1
Ptaszki w klatce. I. Krasicki .	2
Zając i niedźwiedź. F. Morawski	2
Lew chory. I. Krasicki	2
Małpa. J. Massalski	2
Zając i żaba. A. Mickiewicz .	2
Człowiek i zdrowie. I. Krasicki	2
Żółw i mysz. I. Krasicki . . .	2